

Miłosne gry Marka Hłaski  
Barbara Stanisławczyk

Mojemu mężowi - Andrzejowi Żyle

## ONA JEST TAKA ŚLICZNA

Było tak, jak napisał w opowiadaniu „Pamiętasz Wanda”.

„Wanda!

Podniosła na niego oczy.

- Co?

- Nic, nic - powiedział i zaśmiał się krótko.

Śmiech zabrzmiał nieszczerze jak zgrzyt metalu po szkłe. Wanda zrozumiała go. To było jak spowiedź. Odślaniał przed nią całą zgryzotę swego życia - życia, o którym nigdy nikomu nie mówił. To wiedziała. Przeszłość jego była niejasna, pogmatwana. Był zawsze skryty, milczący, zamknięty w sobie i pił na umór, po szewsku, z dnia na dzień, do ostatniego grosza. (...) Oczy ich spotkały się i przez jeden krótki moment, przebiegły po sobie spojrzeniem. Całowali się w strugach ulewnego deszczu, wśród gruzów”.

Wanda, o kilka lat od niego starsza, była we Wrocławiu jego szkolną koleżanką. Zanim spotkali się ponownie w 1951 roku w Warszawie, zdążyła wyjść za męża, urodzić dziecko i rozwieść się, potem mieszkała przy rodzicach w Zielonce pod Warszawą.

Marek także przeniósł się z matką i ojczymem do stolicy. Jakikolwiek były przyczyny przeprowadzki, oznaczały drastyczne pogorszenie warunków mieszkaniowych. Wygodny dom we Wrocławiu zamienili bowiem na pokój z kuchnią i łazienką o łącznej powierzchni 34,9 metra kwadratowego. Marek musiał spać w przedpokoju na składanym łóżku. Już rok wcześniej zrezygnował z nauki i - jak tylko skończył szesnaście lat - musiał, zgodnie z odgórnym nakazem, podjąć pracę. Miał już za sobą doświadczenia terminatora w zakładzie ślusarskim i kierowcy przy zwózce drewna w Sudetach, w Warszawie zatrudnił się w Zarządzie Gospodarki i Eksploatacji Sprzętu i Transportu „Metrobudowa” jako kierowca i starszy referent zaopatrzenia transportu.

Ktoregoś dnia wezwał Marka kierownik bazy na rozmowę z „jakąś straszną babą”:

„- Do partii należysz? - zapyłała.

- Nie.

-Do TPPR?

-Nie.

- Do związków zawodowych?

-Nie.

- To będziesz korespondentem robotniczym”.

Ta „straszna baba”, jak ją określił w „Pięknych dwudziestoletnich”, była z „Trybuny Ludu”. Za rzetelne pisanie o „bolączkach i osiągnięciach” w zakładach pracy otrzymał w nagrodę powieść Anatola Rybakowa „Kierowcy”. „Muszę przyznać, że wpadłem w osłupienie. Tak głupio i ja potrafię, powiedziałem sobie. I zacząłem”.

Napisał „Sonatę marymoncką”. Powieść przeczytał przyjaciel domu, literat z Wrocławia, Stefan Łoś, i wysłał ją wraz ze swoją rekomendacją do Związku Literatów Polskich w Warszawie.

W tym czasie Marek często przesiadywał u ciotki, Jadwigi Oraczewskiej, bo w rodzinnym domu, z matką i ojczymem, Kazimierzem Gryszkiewiczem, nie czuł się dobrze. Siadał na kanapie i śpiewał wujostwu ruskie pieśni. „Może to śmieszne i dziecinne (dziwak straszny ze

mnie) - przyznał się w jednym z listów - ale jak mi jest źle, to wyciągnę sobie jakąś «czastuszkę», pośpiewam, pośpiewam, pośpiewam i przechodzi". Któregoś dnia powiedział: - Wiesz, ciotka, opowiedziałbym ci o swojej wielkiej miłości, ale ja ci ją chcę najpierw pokazać.

- To przyjdź z nią w niedzielę. Pojedziemy razem na majówkę, po mieszczańsku - zachęciła ciotka.

Było lato.

Marek przyszedł pierwszy.

- No, gdzież ona? Ta twoja ukochana - zaciekawiała się ciotka.

- Zaraz przyjdzie.

Po chwili dzwonek do drzwi. Marek popędził do przedpokoju. Kątem oka ciotka zauważyła, jak poprawia dziewczynie włosy i strój. Wyraźnie zależało mu, żeby Wanda się spodobała.

Jadwiga Oraczewska zapamiętała jedynie ładne zęby i delikatną cerę. Ogólne wrażenie - przyjemne. Poszła do kuchni pakować prowiant, Marek wszedł za nią.

No i co, ciotka, i co? - nie mógł się doczekać jej opinii.

- Nie mam nic do powiedzenia - odrzekła. - Niebrzydka dziewczyna. Ale teraz idź się nią zajmij. Nie wypada, żebyśmy ją tu obgadywali.

Przed wyjściem Wanda chwyciła koszyk z jedzeniem.

- To Marek będzie niósł - sprzeciwiła się ciotka. A on na to:

- Dlaczego, jeśli chce, to może nieść.

Ciotka jednak orzekła stanowczo:

- Przy mnie będziesz niósł ty.

Rozmowa się nie kleiła, bo na wszystkie pytania ciotki Wanda odpowiadała „tak” lub „nie”. Zjedli więc gotowane jajka, kanapki z szynką i pomidory. Potem wujostwo odpoczywali na kocu, a młodzi spacerowali po lesie i co chwila się sprzeczali. Wanda popłakiwała.

Wieczorem Oraczewscy zaprosili ich do restauracji. Po kolacji sami wrócili do domu, a Marek z Wandą gdzieś jeszcze poszli.

Następnego dnia Marek przyszedł do ciotki niespokojny.

- No i co, ciotka, powiedz wreszcie.

Ciotka była szczerą.

- Ładna dziewczyna, ale, mimo że ty nie masz matury, a ona ma, to wydaje się o wiele od ciebie głupsza.

- Wiesz co, ciotka - nie zrażał się siostrzeniec - takie najlepiej nadają się na żony. Krzykniesz, a ona uszy po sobie.

I bez końca mówił, że się żeni, bo Wandzia jest śliczna.

- Marek, przysięgam ci, jeszcze tysiąc takich ślicznych spotkasz - tłumaczyła Oraczewska, a wuj go zniechęcał:

- Co zrobisz, jeśli ona zacznie się zastanawiać, czy kolor kupki dziecka jest prawidłowy?

Marek trochę się skrzywił, ale nadal tkwił w postanowieniu. Żeni się i już. Natychmiast.

Przerażona ciotka, nie widząc innej rady, powiedziała:

- Jak jesteś taki zakochany, trudno,żeń się. Ale musisz najpierw skontaktować się z matką. Nie możesz ożenić się bez jej wiedzy.

Maria Hłasko przebywała w sanatorium dla nerwowo chorych w Wonieściu, ojczym był w podróży służbowej.

3 lipca 1952 roku Marek wystosował do matki list:

„Kochanie!

Nie gniewaj się na mnie, że nie piszę. Ale, Mamo, gdybyś wiedziała, co się ze mną dzieje, nie miałabyś mi tego za złe. Naprawdę, Mamusiu, jest mi tak strasznie i nie mam w Warszawie nikogo bliskiego, do kogo mógłbym pójść. Ty chyba wiesz, ile mnie to kosztuje. Musisz mi

wierzyć. A tymczasem nie wiem, co mam robić. Wanda ma dziecko i Ty wiesz, jak to jest z mieszkaniem.

Pisze Ci całą prawdę. Ty wiesz, że mniej więcej od pół roku żyjemy ze sobą. Jednak ona mieszka z bratem, matką i dzieckiem w takiej norze, że nawet sobie nie i wyobrażasz. I nie ma gdzie indziej mieszkania. Starła się jak mogła, ale to jest strasznie ciężko. Myśleliśmy, że nam się inaczej życie ułoży, a tymczasem wiesz, jak tej jest. Ja myślałem, że będę się uczyć i za rok, dwa pobierzemy się. Mamo! Tymczasem jest inaczej. Do niej zalecał się jakiś magister, czy ktoś taki, w każdym razie bardzo zamożny. Chce ich wszystkich zabrać do siebie, ma mieszkanie, doskonale zarabia i jest, jak na obecne warunki, bardzo zamożny. A ja, to wiesz. Mamo! Ja chodzę jak błędny. Ona chce tak zrobić, bo dziecko nie może tam dłużej mieszkać. Dla mnie to jest jasne, że ona to robi. Matka jej każe. Ale ja, Mamo? Ja naprawdę nie mogę sobie miejsca znaleźć. I nie mam komu tego wszystkiego powiedzieć.

Mamusiu. Ja nigdy w życiu nie przeżywałem tego, co teraz. Wiem, że byłem złym dzieckiem i tak dalej. Ale to by się wszystko dało naprawić. Mam teraz możliwość dostać jedną, drugą, i nawet trzecią pracę, a naprawdę nic nie mogę robić. Ręce mi się trzęsą, w ogóle coś się ze mną dzieje. Nie mogę spać, nie wiem, co mam robić. Ta dziewczyna też płacze i nie wiem, jak to się w ogóle skończy. Tu ja, a tu znowu matka i dziecko, a przecież to wszystko moja wina. Ja ją bardzo kocham, Mamo, i dlatego, kiedy chciałem naprawdę żyć jak człowiek, to mi się tak strasznie wszystko skomplikowało? Nie mam takiej sekundy wolnej, w której bym nie myślał o niej. Nie mogę w sobie zatrzeć tego wspomnienia i wiem, że to będzie mnie prześladować. A ja nie mogę sobie dać rady. I to, że jestem sam, Mamo, że nie mam do kogo iść. To jest straszne, Mamo. Nie mogę naprawdę iść w tej chwili do pracy, nie mam siły. I wiem, że mi nikt nie może pomóc. To mnie zabija.

Tak chciałbym wierzyć w to, że na świecie jest jeszcze coś pięknego i czystego, że pieniądze nie stanowią o wszystkim, a tutaj, Mamusiu... Już nie chodziłoby mi o nic, ale ona jednak była inna, a dzisiaj, Mamo, jak się patrzy wokół siebie, to naprawdę same straszne brudy. Nie wiem, jak będzie za 5 lat. Wtedy człowiek stanie się takim samym bydlęciem jak inni, i po co to wszystko, w ogóle. To jest straszne, Mamo.

Mamo!

Jeżeli możesz mi jakoś pomóc, to zrób to. Naprawdę stoję nad przepaścią i boję się, że po tym wszystkim to już chyba będzie koniec. To jest taka dobra i miła dziewczyna, naprawdę szlachetna. Niech ci Kazimierz powie. Mamusiu, ja Ci nic nie piszę, jak mi masz pomóc i w jaki sposób, ale niech Twoje serce powie Ci najlepiej. Tylko postaraj się mnie zrozumieć. Wiem, że w życiu wiele zawiniłem wobec Ciebie, ale musisz mi wierzyć, nawet jak się nie zgodzisz i nie pomożesz, to też będę się uczył i pracował dla Ciebie. Ale jestem naprawdę półobłąkany. Więc jeśli możesz coś zrobić, to zrób. Odpisz mi koniecznie, natychmiast, albo nawet zatelefonuj o swojej decyzji, bo nie mogę wytrzymać. Tylko, Mamo, proszę Cię, naprawdę zastanów się dobrze i rozważ to wszystko".

Matka go uspokajała: „Boli mnie serce na Twoje cierpienie i zawody, ale wierzaj mi, Syneczku, przyjdą nowe przeżycia, lepsze i piękniejsze, a te zbledną i znikną. Młodość nie będzie długo na to czekała. Większość zawodów życiowych wypływa z nieumiejętnego doboru ludzi. (...) Wybór Twego serca też okazał się bardzo nieszczególny i znowu cierpisz, Bądź ostrożniejszy, nie kieruj się wyłącznie sercem, rozum w sprawach uczucia też ma coś do powiedzenia".

Ale nie, gdy ma się osiemnaście lat. Wówczas myśli się, że serce jest zdolne odwrócić sens starych prawd, uznając je za zwykle porzekadła. Tak samo Marek wierzył w jego siłę i nie ustępował. A wtedy matka mu powiedziała: „Jesteś dorosły, żeń się. Ale pamiętaj, u nas mieszkać nie możesz. Nie pomieścimy się wszyscy. I musisz utrzymać swoją rodzinę, ponieważ mnie na to nie stać".

Po rozmowie z matką nigdy więcej nie przyprowadził narzeczonej do ciotki Jadzi i o ślubie nie mówił, chociaż nadal stanowili z Wandą parę.

Tego samego lata Jadwiga Oraczewska umówiła się w kawiarni z dwoma siostrzeńcami - Andrzejem, Czyżewskim, który przyjechał z Wrocławia, i Markiem. Na spotkanie nie przyszedł żaden z nich. Andrzej usprawiedliwił swoją nieobecność, Marek zaś nawet nie zjawił się na kolacji. Następnego dnia zaczepił Oraczewską woźny z Zakładu Osiedli Robotniczych, gdzie pracowała. Woźny, o którym wszyscy wiedzieli, że jest kapusiem, powiadomił ją, iż w nieczynnej bramie na Marszałkowskiej siedzi jej siostrzeniec. W Zakładzie znano Marka, gdyż często odwiedzał ciotkę. Nazywano ją tam „ciotka Kanada”, co też miało związek z siostrzeńcem. Kiedyś bowiem powiedziała mu, że kupiła na popołudnie bilety do kina, Murek z radości krzyknął na cały głos: „Ciotka, Kanada”. I od tego czasu miała ów przydomek.

Kiedy poszła pod bramę i ujrzała Marka, nie kryła rozczarowania:

- Jak ty tak mogłeś postąpić?! Nie przyszedłeś do kawiarni i nawet mnie nie powiadomiłeś?! -

- Byłem na ślubie Wandy - wyznał ze smutkiem w głosie.

- Jak to na ślubie? Przecież jeszcze parę dni temu miała wychodzić za ciebie.

Ale złóż ręce do Boga i podziękuj, jeśli wybrała innego.

Marek był jednak zrozpaczony, a ciotka poważnie zaniepokojona. Maria nadal bowiem przebywała w sanatorium, ojcym Marka w podróży, a ona miała wykupione bilety na wczasy w Iwoniczu Zdroju. Wychodziło na to, że Marek miałby zostać sam w Warszawie. I to w takim stanie. A ciotka wiedziała, że zawsze był naiwny. Poprosiła więc Andrzeja Czyżewskiego, żeby został z kuzynem kilka dni. Markowi zaś zaproponowała, dając mu kieszonkowe: „Weź urlop i przyjeżdżaj do nas do Iwonicza”.

Marek przyjął radę zbyt dosłownie. Zwolnił się z pracy, jednak do Iwonicza nie przyjechał. Ciotka miała zmarnowany urlop. Martwiła się, co też siostrzeńcowi strzeli do jeszcze młodej głowy. Po raz pierwszy ucieszyła się, kiedy mąż otrzymał podczas urlopu wezwanie do biura. Nakazała mu: „Dowiedz się koniecznie, co się dzieje z Markiem”. Po powrocie wuj oznajmił: „Nic się nie dzieje, siedzą sobie z Wandą jak dwa gołąbki”. Nie było żadnego ślubu, Wanda chciała tylko Marka przestraszyć.

Jesienią Jadwiga Oraczewska znowu usłyszała w pracy o swoim siostrzeńcu. Tym razem donosiły koleżanki, że widują Marka w Ogrodzie Saskim, jak spaceruje zmarznięty z jakąś dziewczyną. To była ta sama Wanda. Wszystkim zrobiło się żal bezdomnej pary.

Matka Marka wprawdzie nie chciała, by syn się żenił, ale nie miała zamiaru wyrzucić jego dziewczyny za drzwi. Powiedziała więc: „Nie masz pieniędzy, ale masz mieszkanie. Dlaczego nie zaprosisz jej do domu? Zrobię wam kawę, a na karku siedzieć nie będę”.

I Wanda zaczęła przychodzić na Mickiewicza. Wiele lat później Maria Hłasko opowiadała: „Nie była to odpowiednia partnerka dla niego. Marek dopiero rozpoczynał, dopiero wchodził w pisanie. Owszem, była ładna. Ale to wszystko. Na szczęście szybko mu przeszło”.

W grudniu 1952 roku Hłasko otrzymał list od Bohdana Czeszki, w owym czasie uznanego pisarza, któremu Stefan Łoś przesłał do oceny debiutancką powieść swego podopiecznego - „Sonatę marymoncką”. Marek z niepokojem czekał na ten list. Codziennie pytał: „Matka, nic dla mnie nie było? Nic nie było?”. Marię Hłasko zmęczyło już to wyczekiwanie. Aż wreszcie przyszedł gruby pakiet. Czeszko pisał:

„Kolego Hłasko! (...) Zdolności pisarskie macie - inaczej nie pisałbym do Was, nienawidzę bowiem natrętnych grafomanów (...). To, że macie zdolności, o niczym nie świadczy - pisarzem jeszcze nie jesteście, i jeszcze długo nie będziecie. Jak długo nie będziecie - od Was zależy”. Po czym Czeszko wyłożył, na czym polega pisanie. Co pisać i jak pisać, co i jak czytać. Na koniec zachęcił: „Kontaktujcie się ze mną. Piszcie i przesyłajcie (w małych ilościach) rzeczy Wasze na adres: B. Czeszko, Warszawa, Iwicka 8a m. 5. W

następnej korespondencji przekażę Wam numer telefonu. Może się wtedy umówimy. Piszcie bez lipy Wasz list".

Uradowani czytali słowa Czeszki kilkanaście razy, a kiedy przyszła Wanda, Marek pokazał jej list, licząc, że podzieli jego radość. Wanda przeczytała obojętnie i bez słowa komentarza zmieniła temat: „A wiesz, Marek, mamie udało się kupić sześciokilogramową szynkę na święta”. Marek na chwilę zaniemówił. To jedno zdanie wystarczyło, żeby się wstydził, iż kiedykolwiek wspominał, że ją kocha. Natomiast list Czeszki przechowywał do końca życia.

Kilka miesięcy później, już w 1953 roku, otrzymał ze Związku Literatów Polskich trzymiesięczne stypendium twórcze, przedłużone o następne kilka miesięcy. W maju wyjechał do Wrocławia, gdzie miał się zająć wyłącznie pisaniem. I stracił zainteresowanie Wandą. Ona zaś nachodziła jego matkę, mając nadzieję, że dowie się od niej, gdzie jest narzeczony. Maria Hłasko wspomniała o tym w liście do syna, a on odpowiedział: „Jeżeli chodzi o Wandę, to niech Mamusia poda jej mój adres. Ja nawet bardzo proszę. Mam do niej jedną prośbę i nie wiem, jak jej szukać. A co do rad, to niech Mama jej żadnych rad nie udziela. Niech idzie do wróżki. Po co ma mieć potem do Mamy pretensje? Ale adres niech jej Mama poda. A jak będzie chciała rad, to niech Mama jej napisze, żeby poszła pod latarnię. To dla tego rodzaju kobiet najwłaściwsze miejsce”.

Wanda rzeczywiście odwiedziła go we Wrocławiu na początku czerwca 1953 roku. Po jej wizycie Marek zwierzał się matce. „Oczywiście sceny, płacz, łzy, chciała jeszcze raz zaczynać wszystko od początku, ale ja już miałem dosyć. Pojechała więc, tylko nie wiem dokąd”.

Następnym razem Wanda wysłała do Wrocławia swojego znajomego, aby się dowiedział o nowy adres Marka, który zdążył się przenieść od ciotki, Teresy Czyżewskiej, do Stefana Łosia. Sama więcej do Wrocławia nie przyjechała, tylko wysyłała listy. A Marek pytał matkę: „Czy Wanda przychodzi do Ciebie? Píše mi, że krzywo się palą papierosy, co oznacza, że ją zdradzam. To mnie jeszcze bardziej utwierdza w przekonaniu, że należy wierzyć we wszystkie przesady, bo robię to z całą przyjemnością, czekając tylko tragicznych konsekwencji. (Mówić jej o tym nie potrzebujesz!)”.

Miał wówczas romans z Hanką Kruszewską-Kudelską, sekretarką z wrocławskiego oddziału Związku Literatów.

Kiedy zaś Wanda odwiedziła Marię Hłasko kolejny raz, usłyszała co trzeba i więcej się nie odezwała ani do Marii, ani do jej syna. A rodzina Hłaski zapomniała nawet, jakie Wanda miała nazwisko.

## DLA DWOJGA JESIEŃ

We wrocławskim oddziale Związku Literatów lat pięćdziesiątych Zbigniew Kubikowski I napisał, że „był to mechanizm martwy. Jedynym bez zastrzeżeń sympatycznym elementem struktury organizacyjnej Związku pozostała jego uroczą pisarką, Hanką Kruszewska”. Anna, nazywana Hanką, była niewątpliwie dziewczyną ładną; wysoką, o figlarnych oczach i zalotnym uśmiechu, który wiele obiecywał. Wystukiwała na maszynie jakiś protokół ze spotkania literackiego w upalny dzień sierpnia 1953 roku - papieros dopalał się obok w popielniczce - i cieszyła się na myśl, że za kilka dni będzie pływać w chłodnej wodzie Bałtyku. Prezes wrocławskiego oddziału Związku Literatów, Stefan Łoś, obiecał jej załatwić

zastępstwo. Powiedział: „Jest tu taki młody, początkujący literat, Marek Hłasko się nazywa, on cię zastąpi”. Pewnego dnia wszedł wysoki blondyn w bateldresie. Miał zielone oczy i wykrzywioną na wzór Bogarta twarz. Zapytał:

- Czy jest pan Łoś?

- Nie, nie ma - oznajmiła zgodnie z prawdą.

Odrzekł, że w takim razie poczeka. Usiadł obok i zaczął przeglądać leżącą na biurku pracę magisterską Kruszewskiej. Hanka była właśnie w trakcie jej pisania, pracując bowiem, studiowała. Powiedział, że praca jest bardzo interesująca, a jej w tym momencie zacięła się maszyna. „Naprawię” - zaproponował, a Hanka zobaczyła, jak strasznie trzęsą mu się ręce. Długie, smukłe, działające na wyobraźnię; ręce erotyczne. „To hektolitry wódki, które wypilem za kierownicą” - wyjaśnił jak starzec wspominający długie, ciężkie życie.

Hanka wyjechała na wczasy, a kiedy wróciła, Marek odprowadził ją z placu Nankiera, gdzie mieściła się siedziba Związku, okrężną drogą przez park pod jej dom przy ulicy Ołtaszyńskiej. Do środka jednak nie wszedł, aby nie spotkać się z mężem Hanki, Aleksandrem Kudelskim, i ich roczną córeczką, Marzenką.

Małżeństwo Hanki to był mezalians i nieporozumienie. Pochodziła ze starych rodów ziemiańskich - inteligentnych: Kruszewskich po mieczu i Naramowskich po kądzieli. Według przekazów rodzinnych ojciec był spokrewniony z generałem Ignacym Kruszewskim, jednym z wielkich dowódców Powstania Listopadowego. Hanka przechowuje jego opublikowany w 1930 roku pamiętnik z tamtego okresu. Brat matki, doktor Mieczysław Naramowski, był znanym przed wojną psychiatrą i neurologiem wojskowym. Oboje rodzice Hanki również ukończyli wyższe studia i pracowali jako nauczyciele gimnazjalni. W Lublinie, gdzie się osiedlili, należeli do ścisłej elity. Nic więc dziwnego, że to właśnie matka Hanki, Zofia, razem ze swą przyjaciółką, pisarką Ewą Szelburg-Zarembiną, witały Józefa Piłsudskiego, kiedy 30 lipca 1915 roku wjechał do Lublina.

We wrześniu 1939 roku ojciec cudem uniknął losu oficerów wywiezionych do Kobielska, Ostaszkowa, Katynia... Kiedy usłyszał od kolejarza, dokąd jadą, zaryzykował ucieczkę. Wraz z czterema kolegami wyrwali deski w podłodze wagonu i wyskoczyli z pędzącego pociągu. Po wojnie ojciec poczuł się kolonizatorem Ziemi Zachodnich. Przyjechał z rodziną do Wrocławia i tam dalej pracował w zawodzie pedagoga na stanowisku dyrektora Technikum Dentystycznego. A Hanka i Renia zdały na polonistykę.

To właśnie na studiach Hanka poznała przyszłego męża. Redagował dodatek do „Słowa Polskiego”, a Hanka chciała zostać dziennikarką. Elegancki Sasza vel Olek Kudelski kłaniał się jej regularnie. Pod koniec studiów spotkała go przypadkiem w restauracji „Pod Siódmką”. Jadł zupę pomidorową i flaki, Hanka zamówiła to samo. Tydzień później poszli na spacer z jego psem Rolfem, potem do kawiarni na truskawki z bitą śmietaną i wtedy Sasza jej się oświadczył. Z perspektywy czasu, zastanawiając się, dlaczego z zastępu adoratorów wybrała właśnie jego, powiedziała: „Z głupoty”. Była rozpuszczoną, beztroską panienką z dobrego domu, przyzwyczajoną do wygod i dostatniego życia. Obydwie z siostrą wychowywane były na damy, w atmosferze literackiego salonu (matka była polonistką) i w towarzystwie bon. Młodsza - brzydsza i nieśmiała Renia - kryła się pod stół, kiedy przychodzili goście. Za to Hania, od dziecka pewna swych uroków, zalotna i kokietyjna, brylowała z wdziękiem.

A na czwartym roku studiów profesor historii, wierna córka stalinizmu, powiedziała: „Nie myślcie sobie, że będziecie pracować we Wrocławiu. Pójdziecie tam, gdzie partia was pošle. A partia pošle was na wieś”. Dla wytwornej Hanki oznaczało to tyle samo, co zsyłka na Sybir. Woląa małżeństwo z Kudelskim.

Jej rodzice popadli w rozpacz; zbojkotowali ślub, znajomi bowiem powiedzieli im: „Co wy robicie, przecież to ubek, który trzęsie Wyższą Szkołą Handlową”. Oficjalnie był tam dyrektorem biblioteki. O przynależności do tajnych służb nic Hance nie powiedział, tak jak

nie przyznał się, że ma zaawansowaną gruźlicę. Dowiedziała się wszystkiego, kiedy była jego żoną. Że szantażował donosami studentki, w związku z czym mało która nie przeszła przez jego łóżko. Że osobiście zrywał i deptał krzyże w siedzibie Towarzystwa Przyjaciół Dzieci. Aż partia uznała, że przesadza, i udzieliła mu nagany. Przed ślubem Sasza mówił, że za walkę w wileńskiej AK siedział w 1944 roku na Łubiance. I rzeczywiście przechowywał na pamiątkę pasiak więzienny. Nie dopowiedział tylko, że został stamtąd przewieziony do Moskwy, a następnie oddelegowany do Białegostoku, już jako komunista. I że w łagrach nabawił się gruźlicy. Zamiast miodowego miesiąca były więc szpitale i sanatoria.

Kiedy Marzenka skończyła roczek, Hanka wróciła na studia i rozpoczęła pracę w Związku Literatów. Wtedy, pod koniec lata, zjawił się tam Marek. A pewnego dnia po wakacjach odprowadził ją do domu. I odprowadzał tak codziennie przez kilka miesięcy. To była ich jesień, piękna, ciepła, złota. Lasek, wzgórze, łąka nad Odrą. Pasowali do siebie o tyle, że obydwójce chcieli kształtować swe życie na wzór literatury. Marek miał dopiero dziewiętnaście lat, Hanka dwadzieścia pięć, ale to nie miało znaczenia.

Jak Agnieszka i Pietrek z „Ósmego dnia tygodnia” szukali miejsca, gdzie mogliby się skryć tylko we dwoje. Z tą jednak różnicą, że Hanka w przeciwieństwie do czystej, nietkniętej Agnieszki miała już dwóch narzeczonych, męża i przeżyła romans z Janem Kotem, który „wyszlifował ją intelektualnie”. Była bliższa postaci Weroniki z „Sowy, córki piekarza”. Do niej pasowałyby słowa: „Teraz ty połóż się na mnie. (...) Jeśli to już wszystko ma się stać, to niech to stanie się teraz i tak. Chcę widzieć gwiazdy i te drzewa po drugiej stronie rzeki, kiedy odwrócę głowę. I czuć ziemię pod sobą, a nie jakiś skrzeczący tapczan czy łóżko. Twardą i ciepłą ziemię.”

Wzięła liść, który zerwała uprzednio, i trzymała go w ustach, a potem leżałem koło niej i całowałem jej usta gorzkie od zieleni, i paląc papierosa, patrzyłem na chwiejące się po drugiej stronie rzeki srebrne teraz trzciny”.

To, co przeżywała z Markiem, to był szal, całkowite zapomnienie. Najpiękniejsza jesień jej życia. Wystarczyło, że Marek trzymał ją za rękę - i już była szczęśliwa. Kudelski wyjechał kolejny raz do sanatorium, a wtedy Hłasko wszedł z nią do mieszkania i pozostał tam do powrotu jej męża. Kłął dosadnie, nosił dziurawe skarpetki, pięty wychodziły, był bez grosza.

Przy niej nie pił. Tylko raz widziała go nietrzeźwego. Odebrała wtedy z pralni paltocik córki i poprosiła, żeby przywiózł go do domu. Kiedy wróciła, ze Związku, paltocika nie było, Marek zaś ledwo trzymał się na nogach. Ubranko sprzedał na wódkę.

Krótko się jednak na niego złościła, był taki uroczy; czuły kochanek, romantyk, marzyciel. Chciał się z nią żenić. Przyrzekał, że jak rodzony ojciec zaopiekuje się Marzenką. Ale Hanka wiedziała, że do małżeństwa Marek się nie nadaje. Wtedy on powiedział „I co, zostaniesz z tym Kudelskim? Przecież wasze małżeństwo jest już spieprzone”. Nie chciała zostać z mężem. Po tym, co przeżyła z Markiem, wydawało się jej, że nie będzie w stanie. Wzięła więc Marzenkę i przeprowadziła się do rodziców. A Hłasko podpisał umowę z Wydawnictwem Iskry na druk „Sonaty marymonckiej” i udał się do Warszawy. Hanka też tam po jakimś czasie pojechała, na szkolenie dla sekretarek. Marek zaprosił ją do rodzinnego domu. Przyszedł po nią do hotelu ubrany w długi brązowy płaszcz, niepasujący do jego stylu. Zwykle nosił wojskowe ciuchy z demobilu, albo kanadyjki i swetry. Zazdrościł Markowi Porębowiczowi, siostrzeńcowi ojczyma, oryginalnych jeansów, na jakie go nie było stać. Musiał się zadowolić podróbkami, ale za pierwszą pensję w „Po prostu” kupił sobie na ciuchach najprawdziwsze wranglery. Tymczasem w hotelu „wyglądał jak ostatnia oferma”. Widocznie odczytał to z wyrazu twarzy Hanki, bo zmieszał się i stracił humor. Powiedział, że to matka kazała mu włożyć płaszcz Kazimierza. Na Mickiewicza odzyskał dobry nastrój. Radośnie dokonał prezentacji: „Haneczko. Mamo”. Ta kolejność uraziła matkę i dalsza rozmowa przy kawie

była dość sztywna. O wiele milej Hanka wspomina późniejsze chwile, kiedy włączyli się we dwoje po mieście. Znowu szukali miejsca, gdzie mogliby być sami, i rozmawiali jak Weronika z Rackmanem w „Sowie, córce piekarza”:

„Powiedz coś, na litość boską - powiedziała.

- Przecież mówię przez cały czas.

- Powiedz coś, czego nie mogłabym zapomnieć.

- Nie znam takich słów. (...)

- Żebyś był przynajmniej szalonym człowiekiem - powiedziała. - Może byłoby potem łatwiej. Ale powiedz mi, co mam właściwie pamiętać? Twoją twarz? Twoje słowa? Chcę pamiętać. Jestem tak samo marna jak i ty. Więc co zostanie? I jak to właściwie będzie?

- Z początku będziesz płakać - powiedział. - Potem przez jakiś czas będziesz mieć miłosne afery. Potem spotkasz takiego samego idiotę jak ja i zmusisz go, aby się ożenił z tobą, aby po jakimś czasie zacząć dręczyć go opowieściami o tym, jak wspaniałym człowiekiem byłem ja, i będziesz wypominać mu jego marność. Koniec.

- To nie będzie tak.

- Będzie zupełnie inaczej. Po prostu nic się nie stanie. Po prostu mnie zapomnisz i to wszystko. Dlaczego miałbym prawo myśleć, że będzie inaczej?”

Hanka wróciła do męża ze względu na córkę, ale nie zapomniała. Ani ona, ani jej mąż. Dwoje najbardziej niepasujących do siebie ludzi dzieliło wspólny dach, łoże i wspomnienie tego samego zdarzenia, które dla niej było niezapomnianą przygodą, dla niego upokorzeniem.

Hanka kilka lat siedziała w domu, bo dziecko gruźlika wymagało opieki, lecz gdy tylko mogła, wróciła do pracy. Przez pewien czas była urzędniczką „Społem”. Któregoś dnia do biura niespodziewanie wszedł Marek.

- Co ty tu robisz? - zdziwili się jednocześnie.

Hłasko nie nosił już dziurawych skarpetek, nie liczył, że ktoś postawi mu obiad. Jego książki wychodziły w dużych nakładach, według jego scenariuszy realizowane były filmy. Miał pieniądze i hojnie je wydawał; stawiał kolegom, kelnerom przyklejał do czoła stuzłotówki i rozdawał banknoty sierotom pod domem dziecka. Przeżyli krótką powtórkę jesiennej miłości z 1953 roku.

Z Kruszewską spotkał się jeszcze raz, ostatni, kiedy przyjechał do Wrocławia na plan filmu według jego opowiadania „Ósmy dzień tygodnia”. Tym razem przyszedł na spotkanie w towarzystwie Soni Ziemann, która grała rolę Agnieszki. Powiedział: „Haneczko, to jest Sonia. Ale ty zostaniesz najpiękniejszą kartą mojego życia”.

Rackmanowi w „Sowie, córce piekarza” na zakończenie włożył w usta inne słowa: „O Weronice i jej mężu nie słyszałem niczego i postanowiłem o nich nigdy nie mówić i nigdy nie myśleć. Nie było zresztą po co, tak czy inaczej, czekało ich jeszcze jakieś dwadzieścia lat nudy”.

Nie dwadzieścia, tylko trzy, licząc od ostatniego ich spotkania. I nie nudy, ale zgrzyoty. Kudelski skupował starodruki, obrazy, jeździł po świecie, handlował i zarabiał, a jej wmawiał, że jest niczym. Zaczynała prawie w to wierzyć. Tak jak chciał, wstąpiła do PZPR-u, otrzymując legitymację nr 2440198. Została pierwszym sekretarzem POP przy szkole podstawowej, potem przy studium nauczycielskim. A kiedy nadszedł czas odwrotu, najpierw odeszła od Kudelskiego, a dopiero dziewiętnaście lat później zerwała z partią.

Na dobre wróciła do rodzinnego domu z ogrodem. Minał czas świetności salonu przy Krzyckiej, w którym zaraz po wojnie gromadziła się stara i nowa inteligencja wrocławska. Parweniuse zdobywali tam kulturalne ostrogi, a gospodarze, zamiast wdzięczności, zapewnili sobie ich niechęć. Jak to niezręczni świadkowie. Kiedy dawni salonowi bywalcy objęli uniwersyteckie stanowiska, nie chcieli widzieć siostr Kruszewskich jako swoich podwładnych. Młodsza, Renia, uciekła więc do Warszawy, gdzie została profesorem językoznawstwa. A Hanka zrobiła doktorat i znalazła sobie miejsce w liceum



ogólnokształcącym jako nauczycielka języka polskiego. Z byłymi uczniami przyjaźni się o wiele bardziej niż z własną córką, bo ta odziedziczyła urodę i charakter ojca i jakoś trudno jest im się porozumieć. Hanna sprzedała dom przy Krzyckiej. Rodzinne meble i pamiątki upchnęła w małym mieszkaniu w mrówkowcu, Teraz ma czas, by wspominać te wszystkie lata, w których szukała Marka w innych mężczyznach, ale znajdowała jedynie gorsze podobizny.

## TYLKO RAZ KOCHAŁEM

Zetknięcie tych dwojga to był pomysł literacki, do którego przyznawało się więcej autorów. Elżbieta Szaniawska<sup>2</sup> twierdziła, że to ona była ciekawa, co wyniknie ze spotkania najpiękniejszej kobiety w Warszawie i młodego geniusza literackiego. Dwu symboli miłości, piękna i talentu. I to ona ich poznała. Marek Hłasko miał wtedy dwadzieścia dwa lata. Hania Golde zawsze, aż do pewnego dnia, wyglądała na dwadzieścia, choć miała blisko dziesięć lat więcej od Marka. Była rzadkim przypadkiem urody połączonej z dystynkcją, inteligencją i urokiem, który sprawiał, że wszyscy ją podziwiali i w różny sposób kochali się w niej. Nie była miss, była królową. Wszyscy patrzyli, jak siadała, jak jadła, jak się poruszała, i było wiadomo, że tak się siada, je, porusza. Krzysztof Kąkolewski, który zachwycał się nią i darzył przyjaźnią, lecz nie miłością, gdyż wiedział, że Hania kocha innego, wspomina ją tak: „Piękna, wyrazista twarz. Umiała mile patrzeć. Było to spojrzenie pytające, słodkie, zamglone. Towarzyszył mu grymas wydatnych, kształtnych ust; rodzaj pocałunku w przestrzeń. Człowiek oddawał się jej we władzę”.

Literackość pomysłu polegała na zetknięciu ludzi, którzy będąc kochanymi, uwielbianymi, sami nie potrafili kochać. Bo tak myślano o Hani i Marku - że żadne z nich nie jest zdolne do prawdziwej miłości, tylko do zabawy i przygód. W czasach, gdy stalinizm zżymał się na jeansy, kolorowe skarpetki, tweedowe marynarki i jazz, warszawska cyganeria twórcza, uciekając od codziennej banalności, skupiała się w ówczesnych salonach towarzyskich, by rozprawiać o rzeczach ostatecznych, pić i prowadzić miłosne gry. Rewolucja obyczajowa dotarła do Polski o wiele wcześniej, nim opanowała Zachód. Pusto brzmiące propagandowe hasła komunizmu wyparty wzorce moralne, a swoboda erotyczna dawała pozory szczęścia.

Cyganeria miała swoje salony w Stowarzyszeniu Dziennikarzy Polskich, kawiarni SARP-u i SPATiF-u oraz w osławionej „Kameralnej” przy Foksal. „Kameralna” dzieliła się na trzy części; dzienną „Kamerę I”, tanią „trójkę” i „nocną”, otwieraną o godzinie dwudziestej pierwszej, a dostępną tylko dla wybranych gości - jak mówi jej stały bywalec, Andrzej Roman - „z forszą lub nazwiskiem”. Szatniarz, pan Franio, był w owym czasie najsurowszym krytykiem literacko-artystyczno-naukowym i decydem. Do osób, które szanował, zwracał się „panie redaktorze”, innych pytał: „Pana legitymacja?”. I wpuszczał albo nie. Marek Hłasko trzymał u pana Frania w szatni dyżurną marynarkę i krawat, w „nocnej” bowiem obowiązywała etykieta. Można było być pijanym, w jednym bucie i porwanej koszuli, byle na wierzchu nie zabrakło „mundurka”.

Hłasko przeżył w „Kameralnej” swoje dobre i złe chwile. Później napisał w „Pięknych dwudziestolotnich”, że przez wiele lat szukał takiego lokalu po świecie i nigdzie nie mógł znaleźć.

W „Kameralnej” zjawiała się też Hania Golde. Jak zwykle piękna, ubrana stosownie do obowiązującej klasycznej mody. Wtedy jeszcze mężczyźni lubiący mężczyzn nie wymyślali strojów, które miałyby obrzydzić kobietę, więc Hania nosiła kostiumy albo suknie w kwiaty i buty na półślupkach. Niekiedy wkładała długie za łokieć rękawiczki i zrzucała je niedbałym ruchem Rity Hayworth. Takie same stroje lansowała w rubryce mody, którą prowadziła w „Kurierze Polskim”. Nie musiała pracować. Jej mąż, Wiktor Golde, wybitny profesor Politechniki Warszawskiej, zapewniał jej bogate życie. Hanka pracowała dla przyjemności, była przy tym kompetentna i wszechstronnie wykształcona; obyta, czytana, znająca kilka języków. Jak przystało na pannę z przedwojennego domu Kirstów.

Kiedy wchodziła, przyciągała spojrzenia, wносиła nastrój euforii. Taką ujrzał ją przy barku w „Kameralnej” Marek Hłasko i taka została mu przedstawiona. Spotkało się dwoje godnych siebie rywali. Ocenili się błyskawicznie i, jak mistrzowie, skrzyżowali szpady. Wierzono, że zderzyły się dwa zimne głązy, ale ich starcie wywołało płomień. Hania wyznała później Krzysztofowi Kąkolewskiemu, że „w pół sekundy po ujrzeniu Marka podjęła decyzję, by nareszcie pokochać”. Marek wziął ją za uczennicę, która przez przypadek znalazła się w nocnym lokalu. Była w szarym szkolnym berecie. Nie wiedział, że Hania ma męża i dwie córki i że już wtedy wypowiadała słowa, które później stały się „najświętszymi słowami jego życia” z opowiadania o tym tytule. Hłasko widział w niej czystą, niewinną dziewczynę, która mogła zaspokoić jego głęboko skrywane pragnienie prawdziwej miłości.

Nie mógł się doczekać własnego mieszkania. Pragnął w nim zamieszkać z Hanką. A kiedy już się dowiedział, że ma córki, chciał się nimi opiekować jak ojciec. Bo w głębi duszy był uczuciowym tradycjonalistą, wręcz mieszcuchem. Kiedy w kwietniu 1956 roku otrzymał mieszkanie z puli Cyrankiewicza przy ulicy Częstochowskiej 16/18 na warszawskiej Ochocie, szykował je dla Hanksi i dzieci. Kupił meble z palonej sosny: dwa tapczany, dwa stoły, fotel, półkę na książki i dwa karnisze. Hanka pomieszkiwała u Marka, ale po jakimś czasie wracała do męża i córek na Łowicką, gdzie mieli piękne przedwojenne mieszkanie. Wiktor wybaczał jej wszystko. Cierpiał i wybaczał albo po prostu tolerował. Tylko to mógł zrobić, jeśli chciał, by nadał była jego żoną. A Hanka zawsze wracała. Może na swój sposób kochała Wiktora, a może był jedyną pewną rzeczą w jej życiu. Filarem. Po pijanemu żartowała: „Czy ty wiesz, co to znaczy mieć męża Żyda? Można naprawdę stać się antysemitką”.

Kiedy szła do Wiktora, Marek dzwonił, mówił, że właśnie odkręcił kurek z gazem albo połknął fiolkę prochów, bądź bez słowa odkładał słuchawkę... i Hanka przybiegała. Oboje lubili teatralne gesty, sami gubili się w tym, co jest faktem, a co tylko grą. Raz Marek podciął sobie żyły pod jej domem. Znalazł go opartego o drzewo Wiktor, przyprowadził do swojego mieszkania i opatrzył. Lubił Marka, chociaż miał powody, by go nienawidzić. A może tylko rozumiał, bo przecież znał to uczucie odtrącenia.

Kiedy Hania z Markiem byli razem, kłócili się i godzili tak jak Flora z Jasiem w opowiadaniu „Biała” Adolfa Rudnickiego, z którym Hania miała romans jeszcze przed poznaniem Marka. Klimat tego opowiadania doskonale do nich pasował:

„W małym świetle ściszonego radia ubierała się, wpatrując się w niego, z rozpuszczonymi włosami, zaczepna i napięta - małe, piękne, złe zwierzę. Jeszcze chwilę temu była łagodna, robiła wszystko, co chciał. (...) - Chcę cię odprowadzić, Flora. - A ja nie chcę! Ja chcę teraz być sama! Muszę teraz być sama! - Żałuje - pomyślał - jest zła na siebie, nienawidzi siebie, że to zrobiła, chociaż dopiero co powiedziała mi: <<Dobrze, że mamy już to poza sobą, że się już stało>>. Była już zmęczona oporem”.

Wyszła, a kiedy po kilku dniach spotkali się przypadkiem w kawiarni, „przy stoliku siedzieli: Bernard, Flora i jej mąż. Po raz pierwszy widział Goldmana w pełnym Świetle. Dłuższą chwilę nie śmiał spojrzeć mu w oczy. - Nie pij, Flora - rzekł Goldman. «jaki szorstki głos» - pomyślał Jaś. Co ty, głupi jesteś, Goldman? «Nie boi się go nic a nic» - pomyślał

dalej". A kiedy Goldman odszedł, Flora zwróciła się w stronę Jasia: - Jedziemy z całym teatrem, pociąg odchodzi o szóstej. - To co? - Miał ochotę zapłakać, z trudem hamował łzy. - To co? - podjęła. - To, jak chcesz, Jasiu, przyjdź trzy na szóstą, to ci się oddam. Ale jak! - Nie reflektuję - odpowiedział; był na dnie".

W czasie kolejnego spotkania, sam na sam, Flora tłumaczyła Jasiowi, że wtedy upiła się z rozpacz. Jaś powiedział: „Moglibyśmy być szczęśliwi”. A ona na to: „Szczęśliwa miłość! Słowo daję, że jesteś głupi, że aż strach. - No, nie wiem. - No, czego znowu nie wiesz? Nikt nie jest szczęśliwy! Mój Boże, to ty nawet takich rzeczy nie wiesz? Tak, jak jest, jest dobrze, Tęsknię, tęsknię bez przerwy - zniżyła głos - więc czego jeszcze chcesz?”.

Hanka musiała jednak myśleć o Marku poważnie, skoro pewnego razu zatelefonowała do jego matki i zaprosiła ją do kawiarni na rozmowę. Radziła się, jak ma postąpić: czy rozwieść się z mężem, zostawiając mu jedno dziecko, a drugie zatrzymując przy sobie, i wyjść za Marka? Maria Hłasko odpowiedziała: „Nie bardzo widzę Marka przy pieluchach”.

I jakiś czas później Marek Hłasko usłyszał od kumpli owe „najświętsze słowa jego życia”. Dokładnie tak jak w opowiadaniu, w którym Basia szepce w łóżku mężczyznom: „Pachniesz mlekiem jak mały piesek”, a oni powtarzają te słowa jej narzeczonemu. Literacki prototyp Basi, Hanka, wypowiedziała w ekstazie słowa: „Przeżyjmy to jednocześnie”. Kiedy Marek usłyszał od innych to, co - jak wierzył - było przeznaczone wyłącznie dla niego, popadł w rozpacz. Hanka przestała bywać na Częstochowskiej, a Hłasko znenawidził to mieszkanie, bo k0ojarzyło mu się ono właśnie z nią. To, co czuł, wyznał dopiero w „Pięknych dwudziestolnich” z dystansu wielu lat i z perspektywy innego kraju: „Ja sam kochałem się w życiu tylko jeden raz; było to jedenaście lat temu i potem nigdy już nie kochałem nikogo ani przez minutę; mimo iż bezustannie starałem się stworzyć sobie złudzenia. Wszyscy, którzy mnie znają i pamiętają, wiedzą, iż literatura przestała interesować mnie naprawdę z chwilą, kiedy rozstałem się z Hanią. Ale Hania nie zostawiła mnie samego: dostałem wtedy przydział na mieszkanie i mając wybór między Starym Miastem i Ochotą, wybrałem Ochotę, ponieważ w domu, w którym mieściło się gniazdo mego przyszłego szczęścia rodzinnego, mieścił się również żłobek dla dzieci; a Hania miała dzieci”. Natomiast w 1954 roku napisał tylko do matki lapidarnie: „Tutaj wojsko za dwa miesiące, książeczka nie skończona, olbrzymie trudności z pisaniem, mieszkaniem, forszą - a pomoc nie ma komu. Do tego, żeby już wszystko w życiu szło prawem serii - przypętała się taka historia i jeszcze raz wystąpiłem w roli romantycznego błazna. Spektakl skończył się fiaskiem, a ja płaciłem za to bardzo, bardzo ciężko”.

Nie miał zwyczaju roztrząsać swoich spraw intymnych. Jak mówi Andrzej Roman, dziennikarz i kolega Hłaski z czasów „Kameralnej” „to nie mieściło się w konwencji”. W męskim gronie rozmawiało się o Dostojewskim, o życiu, ale nie miłości. Dlatego Roman nigdy nie zapytał Marka o Hanię, choć domyślał się, że to ktoś dla niego ważny. Rozstanie z Hanką musiało być dla Hłaski szczególnie trudne, bo wyjątkowo „otworzył wtedy swe serce przed Poldkiem Tyrmandem”, oświadczywszy mu, że nie może żyć bez Hanksi. Tyrmand wysłuchał, po czym ze złośliwym uśmiechem powiedział: „Wobec tego została ci tylko zimna stal. Ale spróbuj wyjechać z Warszawy. Jedź gdzieś, gdzie jej nie będzie, i spróbuj pisać”. Hłasko wątpił w sukces takiej ucieczki, ale wyjechał do Kazimierza, kontynuował pisanie „Cmentarzy” i myślał o tym, że dopóki nie poznał Hani, wszystko było dla niego proste; jedyne, co go naprawdę interesowało, to relacja między mężczyzną a kobietą. Tylko to było ważne. Najważniejsze. Kiedy Hania odeszła, wszystko stało się groteskowe. Pił i szukał zapomnienia z innymi kobietami.

W 1958 roku, już jako sławny pisarz, laureat prestiżowej nagrody literackiej nadawanej przez wydawców, wyjechał do Paryża, a Hania Golde uświadomiła sobie, że Marek był jej jedyną i najważniejszą przegraną. Kiedy się upijała, gładziła mężczyznę po twarzy, całowała i mówiła: „Przypominasz mi Marka, och, jak bardzo przypominasz mi

Marka". Gdy dowiedziała się, że Krzysztof Kąkolewski, który w tym czasie również pracował w „Kurierze Polskim”, mieszka przy ulicy Radomskiej, nieopodal Częstochowskiej, rzekła: „Niesamowite, to zrządzenie losu”. Kąkolewski pisał wówczas jeden ze swoich kryminałów. Otworzył wino, bo tamtego dnia dialogi przychodziły mu ciężko, kiedy niespodziewane zjawiła się Hania. Też coś przedtem wypijała. „Idziemy pod dom Marka” - oznajmiła. Szli objęci Radomską, Żelechowską, Częstochowską. Nagle Hanka zatrzymała się przed jednym z budynków. Wyszukała płytę chodnikową. „Tu stał Marek, kiedy mnie żegnał, gdy ostatni raz wychodziłam od niego” - wyszeptwała. Upadła na kolana i całowała płytę. Jej przyjaźni z Kąkolewskim nie zakłócały miłosne gry, jak to było w przypadku innych mężczyzn, dlatego Hanka mówiła mu o sobie o wiele więcej niż innym. „Opłaca ci się to - zapewniała - kiedyś to opiszesz”. I opisał. Uczynił z niej Martę w reportażu „Znachor psychiatra”. Marta vel Hanka mówiła, że Rudnicki nie mógł wymyślić zakończenia opowiadania „Biała”, którego również była bohaterką. „Czekaliśmy osiem lat, co się ze mną stanie. Okazało się, że wyjdę w śnieżny dzień ze schroniska w Zakopanem i zniknę na zawsze, rozpląnę się w bieli. Z opowiadania można by wywnioskować, że robię to dla R. Ale jakbym się rozpląnęła w bieli, to tylko dla H.”. Dla Marka Hłaski. A może rozczarowanie życiem zrzuciła na karb tej niespełnionej miłości? Piła coraz więcej. Po pijanemu uwodziła mężczyzn i wtedy była radosna. Przez chwilę wydawała się szczęśliwa. Pragnęła przyjaźni i uwielbienia. Jakby w obawie, że tego zabraknie, hojnie ludzi obdarowywała. Zamawiała cygańską orkiestrę i stawiała wszystkim wódkę, a potem i siebie. Im więcej osób o tym wiedziało, tym więcej wokół niej zjawiało się „myśliwych”.

Była pierwowzorem wielu postaci literackich; opowiadano o niej, ale nikt nie mógł jej do końca odgadnąć. Sam Kąkolewski przyznaje słowami swojej bohaterki, że Maria vel Hanka jest nieopisywalna, nieprawdopodobna w sensie literackim, zbyt powieściowa. Obaj, Hłasko i Rudnicki, którzy o niej pisali, musieli - z nadmiaru materiału - zubażać pierwowzór.

Eligiusz Lasota, w latach pięćdziesiątych redaktor naczelny tygodnika „Po prostu”, prywatnie przyjaciel Hani Golde, nie zgodził się z żadną opinią, jaką o niej wypowiedziano. Z żadnym zdaniem. A kiedy miał ją określić, stwierdził: „Nie potrafię tego zrobić”.

Barbara Seidler (dziennikarka, reporterka) przyjaźniła się z Hanką wiele lat. Bywała u niej w domu, znała jej dzieci i matkę, która troskliwie zajmowała się wnuczkami i bardzo cierpiała z powodu zbyt swobodnych obyczajów córki. Barbara widziała przyjaciółkę w różnych sytuacjach, a i ją Hanka potrafiła zaskoczyć. Kiedyś zbierały razem materiały w Krakowie do reportażu z okazji którejś rocznicy powstania Nowej Huty. Na krótko przed odlotem do Warszawy jadły śniadanie w kawiarni Grand Hotelu. Hania przepuściła do tego czasu wszystkie pieniądze, więc śniadanie stawiała Barbara. Przy sąsiednim stoliku usiadł mężczyzna o wyglądzie dawnego chłopca. Miał długie, zniszczone ręce, a na nogach buty z cholewami. Patrzył na Hankę zauroczony, odpowiedziała mu uśmiechem i oznajmiła: „Ja z nim zostanę. Wymyślisz coś dla Wiktora”. Barbara wróciła sama. Oczekującemu na lotnisku Wiktorowi skłamała, że jego żona nie zdążyła zebrać dokumentacji. Hania przyleciała po dwóch dniach.

Tylko jednemu mężczyźnie kategorycznie odmawiała swych wdzięków, mimo że bezustannie ją adorował, wręcz uwielbiał. Był to etatowy esbek z „Kuriera Polskiego”. W 1967 roku podczas redakcyjnej popijawy Hanka wzniosła toast: „Za Żydów, za dzielny naród”. Esbek miał okazję się na niej zemścić. Doniósł do KC i Hanka została wyrzucona z pracy. Przeraziła się, że zostanie jej rola żony przy mężu. Ale Barbara Seidler wykorzystała wtedy swojego adoratora, niejakiego Józka Wykrętowicza, który pobiegł do szefa Biura Prasowego przy KC, Stefana Olszowskiego, i wyjednał dla Hani łaskę. Została przywrócona w prawach dziennikarza.

Rok 1967 był pod każdym względem dla Hani bardzo trudny, nie tylko z powodu kłopotów w redakcji. Bała się, że jej mąż, który miał żydowskie pochodzenie, wyjedzie z Polski na stałe, że ją wyrwie ze środowiska, wywiezie w obcy świat albo - jeśli ona nie zechce mu towarzyszyć - zabierze dzieci. Chociaż Wiktor Golde nigdy by tego nie zrobił. Kochał Hanę bezgranicznie i to on został przy niej, kiedy tego potrzebowała, do końca.

Przekroczyła tę granicę wieku, kiedy kobieta zaczyna zdawać sobie sprawę, że najlepsze lata ma już za sobą. Była w Paryżu i tam przy barze ujrzała Marka. Przeszła obok niego, a on jej nie zauważył albo nie poznał. To ją przerażyło. Minęła go, nie odezwawszy się. Była pewna, że to wiek ją tak odmienił, Nie dopuszczała myśli, że prawda jest bardziej banalna, że Marek jest po prostu pijany. Panicznie bała się starości, utraty powodzenia, tej aury, którą przez całe lata się karmiła. Opętała ją obsesja choroby kobiecej, wmawiała ją sobie mimo przeczących diagnoz lekarzy. Dopadał ją lęk. Może dlatego bardziej niż kiedykolwiek dotąd uczepiła się miłości. Nigdy nie zależało jej na tym, by wybrany mężczyzna był tylko z nią. Wystarczała jej przygoda. Wówczas była zdecydowana odejść od męża. Zamieszkała z Karolem M., znanym dziennikarzem, i chciała, żeby się dla niej rozwiódł. Ale on wrócił do żony. Barbara Seidler wnioskuje, że Hania wmówiła sobie wielkie uczucie do M. To jej stan psychiczny sprawił, że się zaplątała, zagubiła.

Miała być na imieninach redakcyjnego kolegi. Wszyscy długo na nią czekali, ale nie przyszła. Zakochany esbek, który na nią doniósł, ale nie przestał jej adorować, nie wyobrażał sobie, by impreza odbyła się bez Hani. Poszli po nią całą grupą. Drzwi były zamknięte, tylko w powietrzu unosił się zapach gazu. Reszty się domyślili. Wyważyli drzwi.

Barbara Seidler śpieszyła się z paczkami na tłusty czwartek do znajomych z kliniki medycznej na ulicy Oczki. Zaprzyjaźniła się z nimi, kiedy pisała książkę o transplantacjach i zespole profesora Orłowskiego. Szpital był w remoncie. Działała jedynie sala hemodializy. Spóźniona reporterka przebiegła obok stojącego w półmroku mężczyzny i dopiero kiedy go minęła, rozpoznała w nim Wiktora. Stał oparty o ścianę, bez ruchu, ze wzrokiem utkwionym w drzwi sali hemodializy. Nieobecny. Śmiertelnie blady. Ubrany w kurtkę, koszulę z czarnym wełnianym krawatem i rybackie buty, jakby dopiero co wrócił z wędkowania i zdążył się przebrać tylko do połowy. Nie zareagował na: „Cześć!” ani na pytanie: „Co ty tu robisz?”. Nie odezwał się, nie poruszył. Jak słup. „Wiktor, co się z tobą dzieje?” - dopytywała się Barbara. Na te słowa wybiegła pielęgniarka i przywołała ją.

- Znasz tego pana? - zapytała.

- To mąż mojej przyjaciółki.

- Ona leży w tej sali, niedługo umrze. W nocy przywiozło ją pogotowie. Połknęła dwie fiołki różnych barbituranów, popiła pół litrem wódki i odkręciła gaz - wyjaśniła pielęgniarka i dodała: - Zrób coś, bo on również umrze. Stoi tu od dwunastu godzin. Dwa razy zemdłał. Ma zaawansowaną cukrzycę, ale odmawia przyjęcia insuliny. Odesłał do domu córki, które nam o tym powiedziały.

Barbara podeszła do Wiktora:

- Wiktor - powiedziała - dlaczego włożyłeś w takiej chwili czarny krawat, przecież wiesz, że to znak żałoby, a tobie nikt nie umrze.

- Hania umrze - to były jego pierwsze słowa. - Lekarze mi powiedzieli, że Hania dzisiaj umrze.

- 67 Nie umrze. Ja mam intuicję. Musisz być silny i zdrowy, żeby się nią opiekować. Ona cię będzie potrzebować.

Te słowa wskrzesiły w nim życie. Pozwolił się zaprowadzić do pielęgniarek na zastrzyk i nie myślał już o umieraniu, tylko o tym, by żyć dla niej, dla żony.

Mijały tygodnie, Hania nadal leżała nieprzytomna. Wiktor sprowadził dla niej z zagranicy specjalne łóżko, żeby nie miała odleżyn. A profesor neurologii, Haumanowa,

mówiła, że panią Golde trzeba odłączyć od respiratora, bo i tak nigdy nie odzyska świadomości. Prosił Barbarę Seidler, żeby przekonała o tym Wiktora, ale Barbara odparła: „Pani profesor, ja mu tego nie powiem, bo ja go zapewniłam, że ona będzie żyła”.

Po trzech miesiącach Hania niespodziewanie się obudziła. Wszyscy uznali to za cud. Nic nie pamiętała. Wiktor mógł więc jej wmówić, że miała wypadek samochodowy, i opowiadać wymyślone szczegóły. Ostatni raz spojrzała w lustro i stwierdziła, że teraz może jeść tyle, ile chce. Pochłaniała słodycze, tyła i nie chciała widzieć żadnych oczu, w których mogła by się przejrzeć. Karolowi M. również nie pozwolono się z nią zobaczyć. Miał ją zapamiętać taką, jaką była dawniej. Tylko Wiktor pozostał z nią do końca. Opiekuńczy, oddany, wierny. Zapewniał jej lekarzy, pielęgniarki, masażyistów, aż doprowadził do tego, że Hanka mogła przejść od łóżka do stołu. A później nawet robić na drutach. Wyprzedził z domu wszystko, żeby ją leczyć. Zostały gołe ściany. Miał Hankę wyłącznie dla siebie, tyle że jej już nikt nie mógł pożądać.

Marek Hłasko mieszkał w tym czasie w Stanach Zjednoczonych, gdzie go ściągnął z Europy Roman Polański. Polański myślał, że podobnie jak Krzysztof Komeda komponował do jego filmów muzykę, tak Marek Hłasko będzie pisał scenariusze. Ale to, co tworzył Hłasko, okazało się za mało amerykańskie. Polański i jego producenci wszystko odrzucali. „Zrozumiałem, że Markowi obce jest pisanie na tak zwane zamówienie. No i Marek dość szybko zrezygnował z tego” - powie później reżyser. Natomiast Hłasko miał do niego żal. Mówił Zofii Komedowej: „Wyrzucił mnie wtedy jak psa, wypiął się na mnie. Zostawił bez środków do życia, bez jakichkolwiek kontaktów”. Znaleźli się jednak przyjaciele, którzy mu pomagali: Krzysztof Komeda, Marek Niziński<sup>3</sup>, Leopold Tyrmand, a także Otto i Stefa Lauterbachowie, którzy zdążyli w 1939 roku uciec przed nazistami z Krakowa. Lauterbachowie byli bardzo zamożni, mieli dom z basenem i kilka samochodów. Nie znaczy to, że dawali Markowi pieniądze. Był na to zbyt ambitny, przyjmował najwyżej pożyczki. Tak samo jak w czasach warszawskich. Eryk Lipiński wspominał pewien wieczór w „Symfonicznej”, kiedy to Marek Hłasko wdał się w awanturę z dwoma mężczyznami. Tamci go pchnęli, poleciała szyba, a kierownik sali zażądał od Marka zapłaty. Wtedy Hłasko zawołał do siedzącego najbliżej Lipińskiego: „Ty! Pożycz trzy stówy, jutro oddam!...”. Lipiński dał mu pieniądze, choć był przekonany, że je traci. Ale następnego dnia Hłasko zatelefonował z pytaniem, kiedy może wpaść, żeby zwrócić dług. Gdy przyszedł, Eryk Lipiński spojrzał mu w oczy i spytał, dlaczego udaje łobuza. Zdemaskowany Hłasko spuścił głowę. „Chcąc utrzymać swą legendę, nie powinien tych pieniędzy oddawać”.

W Ameryce było podobnie. Któregoś dnia zadzwonił niespodziewanie do Stanisława Mroczkowskiego, którego dawniej, w Warszawie, matka stawiała mu za przykład. Ciągłe powtarzała: „Czy ty nie możesz być jak Stasio Mroczkowski? Spójrz na Stasia”. Marek zagadnął go więc kiedyś na Marymoncie z pozowanym warszawskim akcentem: „Ty jesteś ten Mroczkoszczak, co się tak matce podobasz? To może się zamienimy, ty zamieszkasz u mnie, a ja u ciebie?”.

W Ameryce Stanisław Mroczkowski był już Stanleyem Mroczkowskim i profesorem fizyki na Uniwersytecie Yale:

- Mam problem - powiedział mu przez telefon Hłasko - ząb mnie boli. Cholera, nie mogę mówić, tak mnie boli. Potrzebuję na dentystę. Przyślesz dwadzieścia dolarów?

- Oczywiście - zgodził się Stanley.

- A mógłbyś przysłać pięćdziesiąt, to byłoby ze znieczuleniem?

- Bez znieczulenia jest zdrowiej.

- Kurwa jesteś - spointował Hłasko - ale przyślij te dwadzieścia.

Niedługo potem napisał do Mroczkowskiego Jerzy Giedroyc z prośbą, by zajął się Markiem. Stanley leciał do Los Angeles na wykłady, więc powiadomił Marka o swojej

wizycie. Marek bardzo się ucieszył. Ostatni raz widzieli się pięć lat temu w Paryżu, a wcześniej w Izraelu. W czasie lotu Mroczkowski zastanawiał się: „Będzie ten Marunio czy nie?”. Znając go, mógł się spodziewać, iż zapomni, że miał oczekiwać Stanisława na lotnisku. Ale był. Przywitał kolegę wzruszony, ze łzami w oczach. „Przepraszam cię - rzekł zawstydzony - mój samochód to grat, ale jeździ całkiem dobrze”. Ruszyli w drogę. W pewnym momencie Marek powiedział: „Wiesz, muszę spojrzeć na mapę, chyba pomyliłem drogę”. Przystanął, a po chwili podjechała do nich policja i nakazała im się wylegitymować. Karty kredytowe Marka budziły wątpliwości. Wsadzono więc obu podróżnych do budy i zawieziono do przejściowego aresztu, gdzie trzymano skazanych, zanim przetransportowano ich do miejsc odosobnienia. Hłaskę i Mroczkowskiego wpakowano do obszernej celi, w której znajdowało się ponad dwieście osób, wśród nich kryminaliści, narkomani, drobni złodziejaskowi: reprezentanci całego świata przestępczego z różnych stanów. Mroczkowski był bardzo zdenerwowany; to miejsce go przerażało, a nadto następnego dnia o dziewiątej rano miał prowadzić wykład. Hłasko zaś ze spokojem i wielkim zainteresowaniem zaczął się przysłuchiwać rozmowom więźniów. Największa grupa zbiła się wokół olbrzyma o wyglądzie bandziora, który opowiadał o egzekucji słynnego mordercy, skazanego na krzesło elektryczne: „Joe pocił się jak świnia, kiedy przywiązywali do krzesła jego nogi, ręce, pas i klatkę piersiową, a na końcu unieruchomili stalową opaską głowę. Ksiądz poprosił go, żeby się pomodlił przed ostatnią drogą, ale Joe odpalił księżulkowi, żeby się odpieprzył. Wtedy wykonawca wyroku (butcher) powiedział do strażników: «Put the juice!» (w języku slangowym: daj sok, co znaczy: włącz prąd - B.S.). W tym momencie kędziorki Joego stanęły dęba, proste jak druty”. Na te słowa odezwał się kobiecy głos: „O rany! Chłopaki! Myślicie, że mogliby tak prostować i moje włosy?”. Okazało się, że przez pomyłkę wrzucono do męskiej celi murzynkę na narkotycznym haju. I zaczęła się prawdziwa orgia. Prawie wszyscy więźniowie chcieli się z nią zabawić. Strażnicy ostudzili ich zapalając lodowatym prysznicem z hydrantu o dużym ciśnieniu. Dostało się i Mroczkowskiemu, i Hłasce. O szóstej po południu, po zmianie wartowników, Stanley Mroczkowski - jako jedyny osadzonych ubrany w garnitur, choć bez krawata - podszedł do krat:

- Jestem tu przez pomyłkę – próbowałem tłumaczyć wartownikom. Opowiedział całe zajście, na co jeden z nich odrzekł:

- Takich gadek, i znacznie lepszych, to ja się nasłuchałem przez dziesięć lat.

Ale drugi się zawahał:

- On wygląda całkiem przyzwoicie. Dajmy mu szansę. - I zadzwonił pod wskazany przez Mroczkowskiego telefon na Uniwersytet Yale.

Po chwili naczelnik więzienia wywołał nazwiska Mroczkowskiego i Hłaski. Z przeprosinami, ugościł ich kolacją, zapewniając, że gdyby mieli kiedykolwiek jakieś kłopoty, zawsze mogą na niego liczyć. Po wyjściu Marek zaproponował: „Chodź, oblejemy to”. Ale Stanley miał dość wrażeń jak na jeden dzień. Poza tym był na Marka wściekły. Rozjechali się każdy w swoją stronę.

W Stanach przebywali też w tym czasie Jan Kolt, Leszek Kołakowski, Czesław Miłosz i Leopold Tyrmand. Podczas jednego ze wspólnych spotkań strasznie na Marka naskakiwali, że chodzi ubrany jak nędzarz, Hłasko nosił wtedy ciągle jeansowe ogrodniczki i koszulkę polo bez kołnierzyka.

- Nie mam nic. Sonia. (była żona - B.S.) mnie okradła. Wszystko mi ta kurwa zabrała - tłumaczył, cedząc słowa, Marek, ale nikt temu nie wierzył.

- Co ty opowiadasz takie bzdury.

- No dobrze, sprzedałem, bo byłem głodny. Jestem wszarzem. Czy ty myślisz, że tutaj ci ktoś co da? W Polsce to ludzie mieli serce.

Koledzy radzili mu i krytykowali, aż wywiązała się awantura, zakończona biciem po twarzy.

- No widzisz, Marek, jak ty się skurwiłeś - powiedział Kott.

- Ty to mówisz?! - wziął Marka w obronę Mroczkowski. - Ty, który w Polsce gnoił ludzi? Kto odpowiadał za polską kulturę?

- Bo ja wtedy tak myślałem - bronił się Kott.

Marek Hłasko zakończył:

- Ja z tymi gnojami nie będę rozmawiał.

A do matki napisał na maszynie drżącymi rękami, część listu po polsku, część po rosyjsku: „(...) Ja oczeń udiwlaju, szto takaja umnaja, mudraja żeńszczyna kak Ty udiwlajeszsia, szto ja nie lublu ludziej. Na wierno; dla mienia każdyj czeławiek; adkrawiczno skazać - sawsiem czużej. Zdies nachodzitsia mnoga polaczkow; pa majemu oni wsie miełkije ludzie. Oni skuczajet rodzinu, pijet wodku, nie nauczylis gawariat pa angiłski, nienawizut Rosiji i ruskowo naroda - izwienitie, Mamasza, no wsie takije - na chuj mienia takoje obszczestwo? Amerykańcy eto wtaroje dzieła. Wracam z powrotem do języka macierzystego, abyś nie myślała, że jestem pijany”.

Polskie doświadczenia Mroczkowskiego Hłasko wykorzystał w literaturze, obdarowując nimi wuja Józefa z „Sowy, córki piekarza”. A było tak: po wojnie Mroczkowski wyjechał do Anglii, gdzie trafił wcześniej jego ojciec. Tylko oni dwaj uratowali się z Holocaustu. Aby się zapisać w Anglii na uniwersytet, Stanisław potrzebował metryki. Przyjechał więc po nią do zburzonej Warszawy. Urząd Stanu Cywilnego dzielnicy Saska Kępa, gdzie Mroczkowsky mieszkali przed wojną, został przeniesiony do podwarszawskich Pyr i tam też Stanisław musiał dotrzeć. Poszedł na dworzec o trzeciej rano, żeby dostać bilet na oblegany autobus. Był pierwszy. O czwartej przysiadł się do niego na dworcowej ławce milicjant, skuty kajdankami z aresztantem. zaproponował papieroska i zapytał:

- A pan gdzie jedzie?

- Do Pyr - odrzekł zgodnie z prawdą Mroczkowski.

- To dobrze się składa - ucieszył się milicjant. - Ja też do Pyr, odstawiam tego bandziora do więzienia - powiedział przedstawiciel władzy i zaproponował: - Kup pan bilet w jedną stronę. Z powrotem wrócisz pan ze mną, a za resztę zafundujemy sobie piwko.

Kiedy Mroczkowski wrócił na dworzec w Pyrach z dokumentem schowanym na piersi, milicjant zawołał na niego spośród tłumu ludzi: „Co łak długo, koleś? Ja już na ciebie z piwkiem czekam”. I rzeczywiście dwie butelki stały na stoliku, w tym jedna pusta. Mroczkowski, postawiony przed faktem, zwrócił milicjantowi pieniądze, podzielił się z nim pozostałym piwem, po czym złączeni kajdankami wsiedli do autobusu. A tam tłok, przepychanki, gdyż nie wszyscy chętni mogli się zmieścić. Matka wpycha dziecko, ktoś kogoś bije, kierowca krzyczy, że autobus za mocno obładowany i nigdzie nie pojedzie. Upał, że ledwo można oddychać... Wtem ktoś Mroczkowskiego puka w plecy. Patrzy, kobieta w chustce. „Pan kryminalny?” – pyta. Mroczkowski myśli szybko: „Miasto w gruzach, bieda, powiem jej, że kryminalny, to umie zlinczują”. Więc mówi: „Polityczny”. A kobieta na to: „Pan patrzy na tych czterech z tyłu. Jak tylko wysiądziemy, milicjant dostanie w czapę, a pan jest wolny”. Długo musiał tłumaczyć towarzystwu, jaka jest prawda.

Pod koniec lat sześćdziesiątych Mroczkowski był profesorem w Yale, a Marek Hłasko pracował w fabryce z Murzynami i Irlandczykami. Przenosił ogromne blachy aluminiowe, które - ze względu na swe rozmiary i kruchość - nie mogły być sortowane mechanicznie. Wynajmował trzypokojowe mieszkanie na obrzeżach Hollywood przy Poinsettia Place. Wolał takie niż kłitkę w ekskluzywnej dzielnicy Beverly Hills czy Santa Monica. W czasie kalifornijskiej zimy, kiedy inni się pocią i chodzą z krótkim rękawem, Hłasko włączał w swoim mieszkaniu piecyk elektryczny i zasłaniał okna szarymi kocami, a pod koszulą nosił kilka warstw bielizny. Panicznie bał się przeziębień. Pisał nawet do matki: „Zauważyłem u siebie przesadną skłonność do przeziębień, chociaż usunięto mi migdały, biorę wciąż witaminy i nie palę; tak więc wyleczyłem się z wieloletniego bronchitu. Niemniej jednak



najmniejsze przeziębienie kładzie mnie na tydzień, a że żyję sam, to muszę wstawać, gotować sobie, kupować i trudno mi się tego pozbyć"(15 stycznia 1969 roku).

Doktor Lauterbach z Los Angeles twierdził, że Marek był strasznym hipochondrykiem. To samo zresztą mówiła matka Hłaski. „Od dziecka bał się choroby, szpitali, śmierci. Cokolwiek się stało, czy się skaleczył, czy bolało go gardło, przybiegał do mnie i pytał: «Mamo, powiedz, nic mi nie będzie? Nic mi się nie stanie?». Mówiłam: <<Marek, nie histeryzuj>>".

W Ameryce od noszenia blach zrobiły mu się na rękach bąble, a po ich pęknięciu rany. Przejęty tym prosił, żeby Lauterbach dał mu coś przeciwko zakażeniu. Ale Otto tylko opatrzył rękę, mówiąc, żeby nie wymyślał bzdur. Wtedy Marek poszedł do najbliższego lekarza. Zapłacił kilkanaście dolarów i dostał zastrzyk przeciwwężcowy. A kiedy wrócił do domu, przestraszył się, że pewnie jest na lek uczulony. Roztrzęsiony zadzwonił do Marka Nizińskiego, u którego była jego matka, Ewa Krzyżanowska i Zofia Komedowa, z żądaniem, by natychmiast przybywali go ratować albo przynajmniej czuwali przy jego śmierci. Zanim dojechali, Marka już nie było w domu. Nizinski na to: „Tu niedaleko jest taki irlandzki pub, na pewno tam go znajdziemy". Przebywanie wśród Irlandczyków było drugim, obok roboczego stroju, wyrazem jego manifestacji. Zwykł mówić: „Jestem tu pariasem i z pariasami się przyjaźnię". Poszli więc do pubu. Przy okrągłym barku stał Marek, pił piwo i śpiewał polskie pieśni. Zapomniał o tętcu. Zofia Komedowa bardzo źle się wtedy czuła, jej mąż walczył o życie. Marek zawołał jednego z Irlandczyków. „Masz jej wymasować kark!" - powiedział, a do Zofii: „Zobaczysz, jak on to świetnie robi". Rzeczywiście masaż przyniósł ulgę, a jeszcze bardziej dwa piwa zmieszane z whisky, które kazał jej wypić. Potem zaczął śpiewać „Chryzantemy złociste", które były modne, kiedy wyjeżdżał z Polski. Irlandczycy odpowiedzieli mu swoją narodową piosenką, a zebrani w barze orzekli, że irlandzka jest ładniejsza. Zirytowany Hłasko zaśpiewał inną, tamci kolejną swoją - i znowu werdykt był po stronie Irlandczyków. W sukurs przysłała mu Zofia Komedowa. Zaśpiewali na dwa głosy ukraińską dumkę („Na zielonej Ukrainie...") i wygrali.

Zofia Komedowa nigdy nie lubiła Ameryki. Mówiła, że to nie jest kraj dla Słowianina. Ilekroć się tam znalazła, tęskniła do Polski, tak jak tęsknił Hłasko. Nie była zadowolona, kiedy Krzysztof Komeda podpisywał umowę na muzykę do kolejnego filmu „The Riot". Ale kompozytor się zgodził, gdyż Buzz Kulik ujął go swoimi polskimi korzeniami. Zofia musiała wrócić do kraju, bo tam został jej czternastoletni syn. Bała się o niego; był to niespokojny rok 1968. I słusznie się bała, bo - jak się okazało - syn roznosił ulotki po klatkach schodowych,

Była już w Warszawie, kiedy Komeda siedział ze znajomymi przy kawie. Jeden z nich, Jodłowski, ojciec piosenkarki i aktorki Elżbiety Jodłowskiej, zaproponował: „Dopijcie, to wam powrózę z fusów". Wróżył każdemu po kolei, a kiedy przyszała kolej na Komedę, Jodłowski zbladł. Zamilkł. Wszyscy zaczęli wołać: „Mów! No mów!". I wtedy powiedział: „Krzysiek, musisz się pilnować, bo grozi ci nagła śmierć".

Wróżbę powtórzył trzy razy i trzy razy wychodziło to samo. Jodłowski próbował sprawę zbagatelizować, zapewniając: „Na pewno się pomyliłem". Nie pomylił się. Pewnego dnia Komeda z Hłaską po wspólnie spędzonym wieczorze przy butelce poszli na spacer. Krzysztof się przewrócił, uderzył głową o skałę. Marek wziął go na plecy, ale też się potknął i polecieeli razem. Potem szpital, prześwietlenie i powrót do domu. Po kilku miesiącach nagły ból głowy. W szpitalu odwiedził Komedę Marek Niziński, który później napisał:

„Krzysztof śpi. Na stoliku przy łóżku kartka: «Kochany, byłem, spałeś, nie chciałem cię budzić, Marek (Hłasko - B.S.)». Siedzę i przeglądam gazety. Krzysztof budzi się i chce iść do łazienki, pomagam mu. Leci przez ręce... Mijają długie godziny. Operacja udała się. Usunęli skrzep, który naciskał na mózg. Krzysio żyje. Najbliższe czterdzieści osiem godzin pokaże, co ma być dalej. Marek z potworną prośbą w oczach pyta mnie, czy Krzysztof nie miał jakiegoś upadku na nartach - nie, nie miał. Marek wypytuje lekarzy, co było przyczyną,

"Przyczyny nie ma, bo kto wie, są skutki - chirurg mówi - albo kilka tygodni temu, albo lata wstecz. Kto wie?». Dopóki Niziński żył, wracały do niego słowa Hłaski: „Jeżeli Krzysio umrze, to i ja też pójdę". Bardzo się z Krzysztofem przyjaźnili i rozumieli. Przygrywał Hłasce do „Chryzantem złocistych" i „Ostatniej niedzieli". Tylko jemu. Wściekał się, gdy prosił go o akompaniowanie ktokolwiek inny.

Jak tylko Zofia Komedowa dojechała do chorego męża, zadzwonił do niej Hłasko, mówiąc, że jest winien Krzysztofowi 100 dolarów. Że spodziewa się jakichś pieniędzy. Prosił też, by odebrała należność tego samego dnia, kiedy dostanie czek, gdyż inni jego wierzyciele mogliby ją uprzedzić. Po kilku dniach zadzwonił znowu z wiadomością, że jedzie do niej Stefa Lauterbach z czekiem na te 100 dolarów, by zabrać Zofię do banku.

Z Komedową spędził swoje ostatnie święta Wielkiejnocy. Były jajka, szynka, chrzan i piwo. Ale ani Zofia, ani Marek nie mieli na nic ochoty. Mało jedli, mało pili. To były smutne święta. Rozmawiali o Krzysiu, o Polsce, o sobie... i o Hance Golde. Hłasko wyznał, że Hanka była jego największą miłością. Zapytał Zofię, czy wie, jak Hanka umarła. Ktoś doniósł mu o jej samobójstwie. Napisał wówczas dedykowany jej pośmiertnie wiersz, a kiedy dowiedział się od Zofii, że Hanka jednak żyje, krzychał: „Dlaczego mi nie powiedziałaś wcześniej, że Hanka żyje?! Dlaczego mi od razu nie powiedziałaś?!". Ale Zofia w ogóle nie miała pojęcia, że do Marka dotarły jakieś wieści o Hani. Nic też nie wiedziała o wierszu. A Marek, kiedy ochłonął, ogromnie się cieszył, że Hanka nie odeszła. Wciąż kochał albo ją, albo wspomnienie o niej. Wracał do Hanki myślami jeszcze w „Opowiem wam o Esther", po swojemu interpretując jej życie: „Wszyscy mężczyźni w tej sali patrzyli na nią, ale ona nic o tym nie wiedziała; była zbyt młoda i zbyt ładna, aby rozumieć ich spojrzenia. Zupełnie jak ta, którą miałem przed nią i która dopiero potem, kiedy już skończyła ze mną i zaczęła z innymi, zaczęła myśleć, iż mężczyźni ją kochają; ale nie zrozumiała tego nigdy, że nienawidzą jej, gdyż była zbyt ładna, aby któryś umiał uwierzyć, iż pokocha go naprawdę i pozostanie z nim. Do zrozumienia tego potrzeba jej jeszcze paru lat; ale potem, kiedy już to zrozumie naprawdę, zrozumie natychmiast, że wiedza jej jest jałowa; i tak dzieje się z nimi wszystkimi".

W ostatnim wywiadzie, jakiego udzielił, powiedział: „Wielka miłość zdarza się w życiu tylko raz, wszystko, co następuje potem, jest tylko szukaniem tej utraconej miłości".

Od czasu zerwania z Hanią miłość w książkach Marka Hłaski kończy się zawsze źle. Coś przeszkadza, by kobieta i mężczyzna byli szczęśliwi, by byli razem. W jego życiu jest zresztą podobnie. O kobietach mówił „kurwy: te nasze matki i siostry, i narzeczone. Kobiety nie kochają. Posiadają czasem wzruszające uczucia zwierzęce.. Ale to nie jest miłość". Za to pisze do nich czułe, piękne, egzaltowane listy, jakby adresował je nie do rzeczywistych osób, a do postaci wymyślonej, jakiegoś ideału, marzenia czy wspomnienia. Po jego śmierci Niziński powiedział: „Marek nosił przyschniętą maniacką wiarę w dobroć ludzką, sprawiedliwość Bożą, w odwzajemnioną miłość oddanej bezgranicznie kobiety, piękną, romantyczną i sentymentalną. Marek przez całe swoje życie chciał znaleźć kobietę, której by codziennie mógł kupować siedem czerwonych róż i tańczyć z nią tango".

W Ameryce rzadko widywano go w towarzystwie kobiet uznawanych za narzeczone, najwyżej z jakąś przelotną kochanką. To już nie był ten śliczny Marek, którego Zofia Komedowa zapamiętała z Polski, kiedy wszedł do warszawskiego klubu Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich przy Foksal, a ludzie zaczęli szeptać: „O, Hłasko!". Wtedy był szczupły, z jasnymi włosami, nieco ciemniejszymi przy przedziałku. Płukał je w rumianku, żeby były jaśniejsze, albo tlenił.

W Ameryce, kiedy przestał palić, roztył się. 14 stycznia 1969 roku skończył trzydzieści pięć lat. Był sam i cieszył się, że tak jest. A przynajmniej tak pisał matce.

## OPIEKUŃCZY ANIOŁ

W 1957 roku Marek Hłasko zjawił się we Wrocławiu na planie filmowym „Ósmego dnia tygodnia”, wskazał na nieznajomą i zapytał: „A ta kurwa to kto?”, W jego ustach słowo „kurwa” nie miało ciężaru, jaki właściwy jest temu określeniu. Mówił tak, ilekroć się popisывał, chciał zaimponować, grać rolę mizogina.. Takim go zapamiętał, zaprzyjaźniony z Markiem w owych czasach, Andrzej Roman: „W kontaktach z kobietami łatwo przechodził od kwiatów do kopa, nie bardzo wiedząc, kiedy stosować jedno, kiedy drugie. A najchętniej siedziałby z dziewczyną pod krzakiem, trzymając ją za rękę i szepcząc czułe słowa”. Ale to nie wypadało „twardemu mężczyźnie”, kowbojowi literatury, na jakiego Marek się zgrywał. Pytał więc oschle: „Kto to, ta kurwa?”.

To była Sonia Ziemann - aktorka odtwarzająca główną rolę w filmie. Najwyraźniej mu się spodobała. Jedną z kilku wersji ich poznania przytacza Henryk Rozpędowski. Tę z „Markiem bezczelnym”: „Stał w filmowym atelier i wpatrywał i się w nią tak natarczywie, że - chociaż niewidoczny za blokiem solnych świateł - wytrącał Sonię z gry. Poprosiła o przerwę i podeszła z tłumaczem do reżysera, żeby zwrócić mu uwagę, że przeszkadza, i aby go wyprosić. Marek stał oparty niedbale o ścianę czy o dekorację i zdawało się, że przed chwilą napił się octu. Miał nie tylko natarczywy wzrok i bezczelny wyraz twarzy. Miał wdzięk milutkiego Gary'ego Coopera i urok uskrzydłonego anioła.

- Co pan właściwie tu robi?
- To on właśnie pyta, co pani tu robi.
- Myślę, że gram Agnieszkę,
- On mówi, że nie tak, jak on ją napisał.
- Ach so?”

Hłascie film się nie podobał. W „Pięknych dwudziestoletnich” napisał później, że chociaż „Ósmy dzień tygodnia” był kiepskim opowiadaniem, to można było z niego zrobić dobry film. „Tylko filmy trzeba umieć robić, Ford, który Warszawę zna tylko z okna swego auta, umieścił akcję filmu na Starym Mieście; Agnieszka pęta się po cukierkowych ulicach; tam z kolei stoją statyści ubrani w koszulki gimnastyczne i udają lumpenproletariuszy, którzy zaczepiają dziewczynę. W tym opowiadaniu (...) chodziło mi o jedną sprawę: dziewczyna, która widzi brud i ohydę wszystkiego, pragnie dla siebie i dla kochanego chłopaka jednej tylko rzeczy: pięknego początku ich miłości. Ford zrobił film na temat, że ludzie się nie mają gdzie rznąć, co oczywiście nie jest prawdą; rznąć można się wszędzie”.

Pewnego wieczoru we Wrocławiu zawiózł Sonię taksówką na jedną z tych brzydkich ulic, gdzie nocą nie palą się latarnie, pomiędzy pijaków i niedomyty lud pracujący, i powiedział: „Na tej ulicy jest prawda. Tu rozgrywa się akcja w moim opowiadaniu”.

Przy realizacji „tego cholernego «Ósmego dnia»” - jak napisał w „Pięknych dwudziestoletnich” - pomiędzy nim a Sonią „zawiązały się tak zwane nieuchwytnie nici sympatii”. Zamiast kwiatów Marek posyłał jej pluszowe misie. Siedem jednakowych sztucznych zwierzaków zajmowało kanapę w jej garderobie. „Raz się upił, w nocy łomotał do drzwi hotelowego pokoju, a następnie, zmożony snem, legł pod nimi. (...) Marek dobijał się do pokoju Soni, ponieważ na parkiecie sali tanecznej Monopolu on zatańczył z nią raz, okropnie, a potem cały czas tańczył z nią, niewiele lepiej, Zbigniew Cybulski, jej filmowy partner”, i mówił jej zdradzieckim a nośnym szeptem: «James Dean nicht gut». Więc Hłasko - Dean o czwartej nad ranem w filozoficznej rozmowie chciał jej udowodnić, że przeciwnie, że on jest «gut»”.

Marek Porębowicz, siostrzeniec ojczyma, przypomniał sobie, jak pewnego dnia spotkał Marka na wrocławskiej ulicy w towarzystwie pięknej Soni. Hłasko wysiadł z amerykańskiego samochodu i przedstawił Porębowicza siedzącej w środku kobiecie; „Mój ambitny kuzynek”. Przybrany „kuzynek” studiował grafikę na Akademii Sztuk Pięknych. Po krótkim przywitaniu Marek szybko pożegnał się, ale po chwili wrócił, mówiąc Porębowiczowi, który też był zmotoryzowany: „Jak będziesz ruszał, to pierdolnij tego «Buicka» (akcentując przesadnie «Bjuuuka») w zderzak” - i znowu wsiał do samochodu.

Na Wielkanoc pojechali z Sonią do Kazimierza Dolnego. Towarzyszył im tłumacz - Hasko nie znał wówczas niemieckiego - agent filmowy, Harry Heidemann (prywatnie zazdrosny pretendent do roli partnera Soni), oraz fotograf i jego żona. Marek z Sonią uciekali jednak od towarzystwa i, w sytuacjach nie znoszących obecności osób trzecich, radzili sobie bez tłumacza. Marek zwracał się do niej „gestapówko” i „du verfluchte Preussin”, czyli „ty przekłeta Prusaczko”. „Tego nauczył się od razu i to było urocze” - mówiła Sonia. Marek natomiast opowiadał później wspólnemu znajomemu, Henrykowi Rozpędowskiemu: „Kiedy rano pukano do drzwi hotelowego pokoju, żeby zabrać ją na zdjęcia, robiłem tak: - składał ręce jak człowiek, który chce dać nurka do wody - i pytałem: «bul, bul, bul? - mam się myć w łazience? Czy też - tu poruszył ramionami jak skrzydłami ptak - na balkonie>>”.

Film został nakręcony i Sonia wyjechała bez pożegnania. W tym czasie pochłaniała ją sprawa rozwodowa z pierwszym mężem, Rudolfem Hambachem, właścicielem fabryki pończoch, z którym miała syna Pierre'a. A Marek mówił czułe słowa innym kobietom; przeżywał dramat miłosny z Hanią Golde i leczył jego rany z innymi. A z Agnieszką Osiecką miał nawet zamiar się żenić.

Jeszcze zanim poznał Sonię, w końcu stycznia 1957 roku, napisał pismo do prezesa ZLP, Antoniego Słonimskiego, z prośbą o umożliwienie mu wyjazdu za granicę. „Moi starsi koledzy ze Związku Literatów stale namawiali mnie, abym na pewien wyjechał na Zachód, oczywiście do Paryża. Poradzono mi, abym złożył podanie o przyznanie mi stypendium”. W kwietniu Ministerstwo Kultury i Sztuki zatwierdziło sześciotygodniowe stypendium zagraniczne do Francji i Belgii. Hłasko miał otrzymać 70 procent diety urzędniczej obowiązującej w tych krajach, koszty podróży musiał pokryć sam. Z uruchomieniem dewiz jednak zwlekano „ze względów budżetowych”. Tymczasem w „Kulisach” rozpoczęto druk fragmentów „Cmentarzy”, które nie mogły zjednać pisarzowi przychylności władz. W prasie zaś pojawiały się wzmianki o planowanych wjazdach zagranicznych Hłaski. W styczniu 1958 roku zdążył jeszcze odebrać nagrodę literacką Polskiego Towarzystwa Wydawców Książek za „Pierwszy krok w chmurach”. W czasie projekcji Kroniki Filmowej, w której pokazywano wręczenie nagród, sala krzyczała: „Marek, trzymaj się!”. Już wówczas przywarła do niego sława buntownika i opluwacza ustroju. „Przyznana mu nagroda wydawców miała charakter demonstracji i po niej postanowiono Hłaskę uspokoić, powołując go w sołdaty. Ponieważ jest szoferakiem, i dobrym znawcą motorów, więc powołano go do marynarki, do łodzi podwodnych, gdzie służba trwa 3,5 roku”. Marek Hłasko wszedł na najwyższe w Polsce literackie szczeble jako symbol Października i wraz z końcem odwilży musiał zniknąć, tak jak wszystko, co ją przyniosło. Minister kultury i sztuki, Karol Kuryluk, cofnął kolegiąlnie przyznane Hłasce przez specjalną komisję ZLP stypendium. Jednak 21 lutego 1958 roku Marek wyleciał do Paryża, dosłownie na chwilę przed odebraniem mu paszportu. Otrzymał bowiem „niby niewinne” wezwanie do uzupełnienia służby wojskowej. Ze szponów ubecji wyrwał go „wierny” Jerzy Andrzejewski dzięki swoim poselskim kontaktom.

Hłasko nie zwlekał już z wyjazdem ani chwili. Pożyczył od zaprzyjaźnionego warszawskiego korespondenta „New York Timesa”, Grusona, trochę „żywej gotówki” a conto honorarium za nowelę, którą ten umieścił mu w amerykańskim czasopiśmie, i kupił bilet na samolot. „Srebrny ptak wzbił się w powietrze, domy jak zapałki, pola jak szachownice - wszystko to znamy”. Szybko był w Paryżu. Miał przy sobie 8 dolarów. Duże kwoty, jakie

zarobił na filmach i książkach, rozdał, rozpozyczył; przefurmanił. Maria Hłasko opowiadała: „Ja nie dostałam nawet grosza, w noc przed jego wyjazdem wyjął notes i zaczął pisać, u kogo mam się upomnieć o pieniądze, nie będę wymieniała, ale były tam bardzo dobrze znane nazwiska. Kiedyś, już po Marka wyjeździe, poszłam do Filmu Polskiego, by odebrać jakieś zaległe honorarium, panie z księgowości zaczęły się mnie pytać, dlaczego ja nie przychodziłam po pieniądze. Nie wiedziałam, o co chodzi, one mówiły, że Marek, jak miał dostać pieniądze, to na schodach ustawiała się kolejka, a on sięgał do kieszeni i dawał. On zarówno łatwo dawał, jak i brał”.

W Paryżu Hłasko „wylądował w objęciach Laffitte”. Zygmunt Hertz wyjechał po niego na lotnisko, ale nie zdążył na przylot samolotu. Czekał więc na dworcu Les Invalides, dokąd odwożono pasażerów. Tam to zobaczył bardzo zdenerwowanego młodego człowieka w kozuchu, który po upewnieniu się, że mówi z Hertzem, wykrzyknął: „Całe szczęście, że pan tu jest, bo już chciałem zapisać się do Legii Cudzoziemskiej!”.

Zaraz napisał do Soni Ziemann, z którą wymienił kilka listów jeszcze przed swoim wyjazdem. Z Laffitte informował ją, że jest za granicą, że ją kocha i czeka. Nie przyjechała od razu, musiała być na festiwalu filmowym we Włoszech. Wysłali więc telegram, że zobaczą się za dwa miesiące, kiedy będzie kręcić w Paryżu nowy film „Colorado”. Ale w Paryżu nie zjawiła się sama. Przyjechał także zakochany w niej i nie odstępujący na krok, Harry Heidemann. Przez kilka miesięcy rozwijał się miłosny dramat w trójkącie: Sonia, Harry, Marek. Były potajemne spotkania Soni i Marka w Maisons-Laffitte albo w kawiarni, bukiety kwiatów, jakich nie widziano w eleganckim hotelu Queen Elizabeth, i sceny zazdrości Harry'ego, który wyobrażał sobie, że rywal zniknie z życia kochanki, z ich życia, na jej rozkaz. Ale tak się nie stało. Zbyt wiele spraw zawodowych i osobistych łączyło tamtych dwoje. Interesy filmowe, wspólny dom w St. Moritz, nie mówiąc o tłącym się uczuciu. Trzeba było żywiołowego charakteru Hłaski, by zerwać z dnia na dzień, zaryzykować pewną miłość dla nowej, nieznannej, zwariowanej. Sonia próbowała wyjaśnić sytuację, ale Marek znał język niemiecki tylko „w części seksualnej”, więc szczęśliwi, oboje nadmiernie podekscytowani, nie bardzo mogli się dogadać. Marek, przyzwyczajony do łatwych zwycięstw, wściekł się i odszedł z przekleństwem na ustach. Po dwóch dniach złość mu jednak minęła, ubłagał „wujcia” Zygmunta Herta - by ten z kolei przebłagał Sonię. Giedroyc nie nadawał się na postillon d'amour między nim a Sonią. Wolał, by wyznania typu: „Powiedz tej gestapówce, że ją kocham”, tłumaczył ktoś inny. To Zygmunt Hertz, który „matkował” Hłasce, poprosił w jego imieniu Sonię o spotkanie, pisząc, że jeśli ona odmówi, to nie wiadomo, co będzie, bo Marek jest w takim stanie, że wszystko może się stać. I Sonia, znowu potajemnie, wymknęła się Harry'emu, żeby zobaczyć się z Markiem. Ale zaraz musiała jechać z ekipą filmową do Nicei, gdzie kręcone były sceny do filmu „Colorado”. Marek, wraz z Zofią i Zygmuntem Hertzami, również pojechał do Nicei. Amerykański „Time” podał, że młody gniewny z za żelaznej kurtyny przepuścił w kasynach Monte Carlo 4 tysiące dolarów - wszystko, co miał. Rozpędowski twierdził, że Marek upił się razem z korespondentem „Time'u”, dlatego w druku pojawiła się łagodniejsza wersja zdarzeń z jego udziałem. W rzeczywistości: „Marek pije, błaznuje, bluźni, rozdaje garściami dolary portierowi i hotelowym boyom”. A Hłasko zaprzeczał i złorzeczył dziennikarzom, którzy z każdego jego kroku czynili sensację. „Nikczemnicy, łajdacy, łachudry...” - mówił o nich i twierdził, że kasyna gry w Monte Carlo nawet nie widział. Jego gest znało jednak - zarówno w Polsce, jak i za granicą - wiele osób. Zachodniemiecki wydawca, Wilhelm Moll, opowiedział wiele lat później Marii Hłasko taką oto historię: „Przyszedł do mnie Marek i chciał, bym dał mu pieniądze.

- Za co? - zapytałem. - Przecież nic jeszcze dla mnie nie napisałeś!

- Jak to, przecież ci opowiedziałem ten kawałek.

- To za mało, chciałbym to zobaczyć na biurku.

- Na biurku? To ja ci zaraz to biurko roz... - i wyrzucił je”.

Ze strachu Moll dał mu 3 tysiące zaliczki. Potem się pogodzili i poszli do restauracji na obiad. W drodze powrotnej spotkali starą prostytutkę stojącą na rogu ulicy. A było zimno, mroźno. Marek przystanął, sięgnął do kieszeni, gdzie schował całą zaliczkę - portfela nigdy nie nosił - wyjął garść banknotów i wręczył kobiecie, mówiąc: „Idź do domu, jest zimno”. Moll nie mógł uwierzyć; parę godzin wcześniej o mało go nie pobił z powodu pieniędzy, a teraz rozdaje całymi garściami.

Tego typu niezwykle, ekscytujące sceny najlepiej zapadają w pamięć i takie najczęściej przywołują ludzie, którzy się z Hłaską zetknęli. Tymczasem Zofia Hertzowa zapewniała, że po przyjeździe do Paryża „przez trzy miesiące nie wypił nawet kieliszka wina”. Znalazł się w centrum zdarzeń, na które nie był przygotowany. Jerzy Giedroyc twierdził, że „legenda o nim jest zupełnie fałszywa. Wcale to nie jest alkoholik. To po prostu chłopiec, skrzywdzony i nieszczęśliwy chłopiec, który się zbuntował”. A stanął wobec tragicznych decyzji i wielkich wyborów.

Giedroyc - kilka dni po przyjeździe Hłaski do Paryża - analizując sytuację, powiedział: „Sprawa wygląda w ten sposób, że ma paszport ważny do kwietnia, 25 marca miał się sławić do wojska, we wrześniu przekracza granicę wieku służby wojskowej (...). W zasadzie zdecydowany jest na zostanie. Nie chcę jednak dopuścić do zbyt szybkiego postawienia kropki nad i. Trzeba dać reżymowi szansę na kapitulację. Chcę więc zrobić następująco: daję mu nagrodę literacką «Kultury» (ogłoszona będzie w numerze kwietniowym) i wydaję w możliwie najszybszym tempie jego książkę, Bardzo się zapalił do niego Julliard.<sup>4</sup> Dziś jest podpisanie umowy. Julliard wysłał pismo stwierdzające, że obecność Hłaski w Paryżu jest niezbędna do jesieni w związku z tłumaczeniem, i to pismo da tutejszemu konsulowi, niewinnie proponując przedłużenie paszportu. Jeśli nie chcą awantury, będą mieli wyjście, inaczej będzie huczek. Mam wszelkie dane, by go lansować na terenie międzynarodowym i że będziemy mieli «poulain» może nawet przewyższającego rozgłosem Miłosza. Już zainteresowaliśmy Einaudi w Rzymie i Kiepenheuera w Niemczech. Opukuję Anglię i Stany(...) Miejmy nadzieję, że to będzie sukces «Kultury»”.

Jerzy Giedroyc, jak sam przyznał, był i jest przede wszystkim politykiem i wszystko, co robił, czym się zawodowo zajmował, służyło robieniu polityki. Było jej narzędziem. Takim samym aktem, politycznym, było przyznanie Markowi Hłasce i nagrody „Kultury” za „Cmentarze”, co nie znaczy, że książka nie zasługiwała na wyróżnienie od strony literackiej. Jednak decyzja zapadła, zanim maszynopis został dostarczony do Paryża: „Zdaje się, że dostanę skonfiskowaną książkę Hłaski (ma przyjechać lada dzień do Paryża). Wydam ją, dam nagrodę «Kultury», mam zapewnione tłumaczenie francuskie i niemieckie” - pisał do Andrzeja Bobkowskiego<sup>5</sup>. Bobkowski brał pod uwagę sytuację osobistą Hłaski, dlatego radził szefowi „Kultury”: „Musi Pan bardzo uważać, żeby chęcią wywołania bardzo efektownej awantury z reżymem nie uśmiercił Pan chłopca podwójnie - i duchowo, to jest pisarsko, i wprost fizycznie. Bo jeżeli on wróci, to i tak w żołdacy go wezmą i tam dadzą mu po cichu radę. Zakatrupią faceta bez trudności albo popchną go do jakiegoś głupstwa (...). Skończą go jak nic”. Podobną opinię wypowiadał Jerzy Stempowski: „Zanim przyznamy mu nagrodę «Kultury», musimy wiedzieć, czy Hłasko zostanie, czy wróci, aby nie przesądzać tej sprawy trybem ubocznym. Nagroda zmniejszy wydatnie szansę jego powrotu. Jeżeli chce wracać, nie trzeba go tą nagrodą obciążać. Pan zna Hłaskę i patrzy w tej chwili w jego oczy, niech więc Pan decyduje”.

Jerzy Giedroyc po rozmowach z Markiem, w czasie których dopiero zrozumiał „tę potworną atmosferę w Polsce”, uznał, że „chłopiec jest nie tylko zdecydowany, ale zdesperowany”, i na przełomie marca i kwietnia 1958 roku wydał „Cmentarze” i „Następnego do raję”, a także przyznał mu nagrodę literacką „papierek lakmusowy” w batalii z reżymem. Po czym tryumfował - „rozgrywka się udała”. Konsul nie tylko osobiście rozszerzył Hłasce paszport na wszystkie kraje Europy i obu Ameryk oraz przedłużył jego ważność do

października, ale zaprosił do złożenia kurtuazyjnej wizyty w ambasadzie, co Hłasko „niechętnie, ale zrobił”. „W ambasadzie przyjęto go niezmiernie czule, wymyślając na Kuryluka, że cofnął mu stypendium etc., i nawet narzucając się z pomocą finansową, której jasne, że nie przyjął. Konsul go poprosił na kolację do siebie, gdzie był drugi sekretarz ambasady, robiący wrażenie ubeka. Kolacja niesłychanie wystawna (...). Zagrali, jak mówił Hłasko, «na chama»: potworne ilości alkoholu, potem objazd nocnych lokali i domów publicznych etc. Na początku ten ubek zaczął go natrętnie wypytywać o «Kulturę» i o mnie (Giedroycia - B.S.), ale na zapytanie Hłaski, czy to kolacja prywatna, czy przesłuchanie, natychmiast się wycofał. Skończyło się na tym, że obaj wodzowie straszliwie się zaleli, a Hłasko, frais et dispos (świeży i rzeński - B.S.), wrócił nad ranem do domu i chwilowo skończył z czynnikami «urzędowymi» (...). Uważam to za nasz największy sukces: uniknięcie skandalu politycznego i wykazanie bezsilności cenzury. Myślę, że casus Hłaski będzie ważnym precedensem dla intelektualistów w kraju”.

Środowisko paryskiej „Kultury” - po pierwszym wielkim politycznym „huczku” wokół jego osoby - miało co do Hłaski gotowy plan: zrobić mu nazwisko w Europie i wysłać do USA. „Chłopak ma fach w rękach, (...) niech tam pracuje i studiuje na jakimś uniwersytecie, niech się nauczy angielskiego, niech wlezie w ten inny świat, zwyczajny, świat chleba, a nie pieprzenia się intelektualnego. To może go uformować i zapewnić rozwój wielkiego talentu (...). Moim zdaniem powrót dla niego to śmierć (...). Trzeba go teraz ostrożnie poprowadzić jak młodego boksera - i to nie literacko, lecz życiowo (...). I chyba trochę krócej go trzymać, dać mu linię, pewną dyscyplinę, której na pewno mu brak (...), niech bąków nie zbija, niech się nie intelektualizuje i nie kurwi, niech się weźmie do angielskiego albo - jak już skończy odwalać gwiazdę - niech idzie choćby za darmo popracować w jakimś warsztacie, gdzie się naprawia motory Diesla, bo jako znający Diesla wszędzie zrobi forszę i zarobi czas na pisanie (...). Zamiast «umożliwić mu pisanie», lepiej dla niego, żeby mu się to uniemożliwiło na jakiś czas i żeby tylko patrzył” - namawiał Jerzego Giedroycia Andrzej Bobkowski. Hłasko jednak obserwował świat zza kierownicy już w Polsce i chciał od tego uciec, a do dyscypliny nigdy nie był przyzwyczajony. Krajowi pisarze, uważani wtedy za znakomitych, na wiele Hłasce przyzwalali i wiele mu wybaczało. Natychmiast ulokowali go na szczycie polskiej literatury, gdy miał zaledwie dwadzieścia lat. Na takim samym szczycie wylądował wśród polskiej emigracji we Francji. Aż tu nagle, po niespełna kilku miesiącach, chciano przywrócić jego życiu właściwe proporcje; umieścić w jakimś warsztacie Diesla, gdzie miałyby się na nowo uczyć życia, „otrzeć, podrapać, skaleczyć (w innym wymiarze niż komunistyczny)”, zarabiać na pisanie, studiować, wszystko pod okiem i przyzwoleniem protektorów, którzy chcieli mu zapewnić mieszczańskie szczęście, „bo innego nie ma”. Życie na Zachodzie, to codzienne, mu się nic podobało. Nie znalazł tego Paryża, który znalazł z literatury i wspomnień babek; ujrzał „miasto drobnych urzędasów, pracujących od rana do wieczora, pędzących w pogoni za zarobkiem lub przesiadujących w jednej z dosłownie kilku tysięcy knajp”. Nieprawdopodobnie skąpych ludzi. Nawet, mu się nie chciało pojechać na film z ulubionym Jamesem Deanem. Czuł się obco, samotnie, źle. „Nie wiem, dlaczego czułem się tak beznadziejnie śmieszny i samotny. Kiedy szedłem ulicą i patrzyłem na tych wszystkich ludzi siedzących w kawiarniach, śmiejących się i pijących, zdawało mi się, iż jestem najbardziej nędzną figurą. Oczywiście nie przyszło mi nawet do głowy, że powinienem pójść do jakiejś szkoły i zacząć uczyć się francuskiego”. Nie widział tam dla siebie miejsca, nie mógł pisać, poważnie zaczął myśleć o powrocie do Polski: „Życie bez idei jest nonsensem, nikt nie ma prawa żyć bez idei, życie bez idei i bez wiary jest ryszotkiem; i wszystko, co można zrobić w takim przypadku, to tylko zginąć z hałasem i nienawiścią do samego siebie. Jest to jedyna konsekwencja. Tylko podróż na drugą stronę umożliwi człowiekowi zrozumienie komunizmu - komunizm jest wiarą tragiczną, ale był i jest wiarą prawdziwych ludzi. Rzygać mi się chce, patrząc na małość i nędzę tego świata; na

tych embrionów w samochodach, na tę zorganizowaną, wymoszczoną, ułatwioną i ratalnie spleconą drogę do śmierci. Najszczęśliwszy bytem w Polsce - kiedy nie miałem co jeść, co palić, kiedy chodziłem w podartych portkach i kiedy wierzyłem, że jakoś sobie ułożę swoje życie. Postaram się pojechać do Włoch, a potem wracam do Warszawy - i będę jeździł w teren, będę laził kilometrami po błocie, będę rozmawiał z dyrektorami PGR-ów; z łazikami i przodownikami, z milicjantami i traktorzystami; i nie umrę spokojnie, dopóki nie znajdę wiary i apoteozy, wtedy będę szczęśliwy..."

Nie chciał odcinać sobie drogi powrotu. A wyjazd do Ameryki, z prawem do pozostania tam, mógłby to właśnie oznaczać, bo jak sugerował Bobkowski, „facet powinien się dobrze sprzedać i wykorzystać do nitki swoją pozycję i znaczenie «wybrania wolności»(...). Jeżeli Amerykanie żądaliby jakiegoś okupu w rodzaju pogadania z nim w radiu, to dać im to - jeżeli go pokoczę w tym wypadku, to mu przyjdzie bez trudności i bez pokurwienia się". Bobkowski i Giedroyc odbierali wahanie Hłaski jako "cykorię przed puszczeniem się w nieznane", „życiem na własny rachunek", tchórzostwo. Za granicą Hłaskę uczyniono nagle pisarzem politycznym, jakim się nigdy nie czuł. W „Pięknych dwudziestolennich" przyznał: „Teraz dopiero zdaję sobie jasno sprawę z tego, że wzięłem się do nie swoich spraw w <<Cmentarzach>>; byłem jednak ciekaw, czy możliwe jest napisanie opowiadania opartego tylko i wyłącznie na autentycznych faktach". Jego książki, odbierane jako wyraz buntu wobec rzeczywistości, były elektem nie jakiegoś manifestu politycznego, ale wrażliwości literackiej i bystrego spojrzenia, reporterskiego postrzegania rzeczywistości. Jak to również zauważył sam Giedroyc, to był tylko zbuntowany, skrzywdzony chłopiec.

Na początku Hłasko próbował sprostać wizerunkowi, jaki mu stworzono na Zachodzie. Tuż po wydaniu "Cmentarzy" L'Express przeprowadził wywiad z pisarzem, prezentując go następująco ; „Dwudziestolenni Marek Hłasko jest w Polsce tak znany, jak Françoise Sagan we Francji. Pokolenie powojenne rozpoznaje siebie i swoje problemy w jego opowiadaniach i filmach, tak jak młodzi Amerykanie odnaleźli się w powieściach «Beat Generation», a młodzi Anglicy w dziełach «angry young men»". A Hłasko wypowiada obrazoburcze myśli: „Jest absolutnie oczywiste, że w krajach totalitarnych politycy i pisarze znajdują się na przeciwległych biegunach (...). Według mnie intelektualści, których tu spotykam, reagują na to, co się dzieje w tamtym świecie, wyłącznie z punktu widzenia własnej postawy moralnej, lecz nie posiadają tego strasznego, codziennego doświadczenia. Dlatego mam poczucie zupełnej niemożności powiedzenia im czegokolwiek. (...) Jeśli powiedziałbym, że największym marzeniem robotnika jest upić się na dwie godziny, by zapomnieć się zupełnie - nie uwierzyliby. A jednak to prawda. Nieszczęściem człowieka żyjącego w kraju totalitarnym jest nie opuszczające go uczucie groteski i śmieszności samego siebie, (...) zredukowanie marzeń, (...) zredukowanie pragnień, (...) niemożność reagowania na świństwa widziane każdego dnia, na każdym kroku".

Andrzej Bobkowski był wściekły na ten jego wywiad: „Zgrywa pierwszorzędną, ale zupełnie nie w moim smaku. Po co znowu te jakieś pieprzenia o obowiązku wobec Pooooolski i poookolenia? Czy raz ktoś nie mógłby mieć tego otwarcie w d... - a tym bardziej on? Obłudne pieprzenie głodnych kawałków. Ta ojczyzniana obłuda nas zarzyna na każdym kroku. Po romantyzmie przyszła polska droga do socjalizmu i nas wykończy".

W tym, co mówił, Hłasko nie był obłudny, tak jak nie był obłudny, pisząc w liście do Osieckiej, że komunizm jest „wiarą tragiczną, ale był i jest wiarą prawdziwych ludzi" i że najszczęśliwszy był w Polsce, kiedy chodził w podartych portkach. Ale we własnym kraju okrzyknięto go zdrajcą, wyklęto go, z czym nie mógł się pogodzić. Józef Mackiewicz wytykał Hłasce brak konsekwencji: „Warszawska «Trybuna Ludu» wystąpiła z «oskarżeniem» Hłaski, że włączył się do antykomunistycznej literatury. I na to ów laureat najnowszej europejskiej mody odpowiada z Paryża z oburzeniem: «To jest oszczerstwo! To jest policyjna denuncjacja!>>. I nie ma nikogo, kto by się tym oburzeniem zgorszył. A czy mogą sobie



państwo wyobrazić, jak by zareagowano, gdyby ktoś pomówiony o «włączenie się do antyfaszystowskiej literatury»>> odkrzyknął publicznie: «To oszczerstwo! To denuncjacja!»>>»".

Hłasce trudno było wówczas, w Paryżu, wypowiedzieć się jednoznacznie po którejś stronie, rezygnując z drugiej, bo jak później napisał, „w jednej połowie jest nie do życia, a w drugiej nie do zniesienia”. Skrajna bezkompromisowość, w każdej dziedzinie, była powodem jego wielu kłopotów i klęsk. Każdą ocenę sytuacji warunkowało zwykle jakieś „ale...” A tymczasem życie wymagało odpowiedzi: tak lub nie. Wydawało mu się więc, że wybiera złoty środek, o czym pisał Agnieszce Osieckiej: „Ja tu nic nie robię poza tym, że napełniam tzw. obrzydzeniem wszystkich domowników - nie należę bowiem do ludzi czynu i walki. Znalazłem sobie świetną formułę i klucz do życia: postanowiłem nic nie robić, aby nie mieć potem wyrzutów sumienia, że w czymkolwiek uczestniczyłem. Voila”.

Czy miłosne perypetie z Sonią były więc ucieczką od tamtych trudnych wyborów? Miłością? Czy tylko ekscytującą zabawą, grą, jak w „Brudnych czynach” - literackim lustrze rzeczywistych przeżyć Haski, gdzie dwóch rywali walczy o względy jednej kobiety. W życiu padają równie teatralne słowa jak na kartach książki. Marek mówi Soni: „Zabiję Harry'ego i wreszcie będziemy należeć do siebie”. Obaj jego rywale, w życiu i książce, giną. Harry we własnym samolocie, jego literacki sobowtór, Anderson, w sposób bardziej brutalny, bo z rąk konkurenta. Nie musieli umierać, by został rozstrzygnięty miłosny spór. W momencie śmierci obaj byli już dawno pokonani. Z dawnymi kochankami łączyły ich tylko sprawy zawodowe i nie odwzajemnione uczucie. Harry na tyle pogodził się z porażką, że został literackim agentem Hłaski. Latem 1958 roku zajmował jednak stałe miejsce u boku Soni. Razem byli na planie filmowym, razem w hotelu i w podróży. A Marek? Uciekał od wielkiego ciśnienia spraw, problemów, decyzji. Nie mógł pisać. Bo „co ma pisać? o czym ma pisać? że w Paryżu dużo ludzi? że tu ładnie? że lazurowe niebo i palmy? że turyści?”. Czmychnął więc do Niemiec, gdzie był jego kumpel z Polski, Janek Rojewski<sup>6</sup>, i razem przepuszczali majątek odziedziczony przez niego po rodzicach. Zaniepokojony Jerzy Giedroyc pod koniec września pisał do Andrzeja Bobkowskiego: „Z Markiem nie jest dobrze... Rozrabia jak w Warszawie, pije strasznie, puszcza pieniądze etc. Teraz wyjechał do Włoch. Nie mam nawet jego adresu i nie wiem, gdzie odsyłać jego korespondencję. Tu zaś leżą nie podpisane kontrakty, listy etc. I to przy narastającym powodzeniu w Stanach! W październiku mu się kończy paszport i boję się, że najgłupiej wybierze «wolność» i w sumie nie pojedzie nawet do Stanów. W tej sytuacji najrozsądniej by było, by wrócił. Wygaduje zresztą na Laffitte, jak może. To zresztą mniejsza z tym, tylko szkoda chłopca. Mam nadzieję, że zjawi się na tyle wcześniej, że będzie go można jeszcze jakoś z tego błota wyciągnąć”.

Ale się nie zjawił. Bawił z Rojewskim na Sycylii. W ostatniej chwili pojechali do Rzymu przedłużyć paszport.

Tam jednak poradzono mu, by udał się w tej sprawie do polskiej Misji Wojskowej w Berlinie Zachodnim. Wziął ze sobą na świadka Janka Rojewskiego, któremu powiedział: „Ty wiesz, co będą pisać o mnie, jeśli tu zostanę. Powiedz tym paru ludziom, których obaj lubimy, jak to wyglądało naprawdę”. W Berlinie usłyszał, że ma natychmiast wracać do kraju:

- Wróćcie do Warszawy, pochodzicie trochę po mieście i znów wyjedźcie.
- A skąd mogę wiedzieć, że tak będzie naprawdę? - upewniał się Hłasko.
- Ja wam daję słowo honoru - rzekł konsul.
- Ja to słyszałem w Paryżu.

Wtedy Rojewski, który do tej pory milczał, wpadł w furie.

- Nie wierz ani jednemu słowu - powiedział. - Ja byłem w Rosji i znam ich. Zgnoją cię. Nie wierz w ich honor i w ich obietnice. Niech ci przedłużą paszport tutaj, albo nie wracaj.

Hłasko wstał i powiedział do konsula:

- Nie mówię panu do widzenia. Nie spotkamy się już nigdy.

Ten epizod opisał realistycznie w „Pięknych dwudziestoletnich” i tak samo relacjonował go na gorąco Jerzemu Giedroyciowi.

Został jednak schwytany w pułapkę: z Berlina Zachodniego nie mógł już wyjechać, bo nie miał żadnej innej wizy, a jego paszport tracił ważność. Jednocześnie doradcy utwierdzali go w przeświadczeniu, że w kraju „żywego go z tej łodzi podwodnej nie wypuszczą” i „jeżeli ma skłonności samobójcze”, to niech wraca. Jan Nowak-Jeziorański, w owym czasie dyrektor sekcji polskiej Radia Wolna Europa, pokazał Hłasce kopię protokołu XII Plenum KC PZPR z wypowiedzią pisarza, Leona Kruczkowskiego, który powiedział między innymi: „Mam na myśli sprawę Hłaski, który kiedyś zaczął swoją karierę literacką od niewinnej noweli «Pierwszy krok w chmurach», a obecnie kończy ją ostatnim krokiem w błoto, w błoto wywiadów imperialistycznych”. Postawiono mu więc najcięższy zarzut.

Poprosił o azyl polityczny. Znalazł się w obozie przejściowym dla uchodźców, Marienfelde, gdzie potencjalni azylanci byli sprawdzani pod względem poprawności politycznej.

„No więc tak, stało się. Siedziałem przez jakiś czas w łagrze; Jugosłowianie, Czesi, Polacy - wszyscy marzą, aby wrócić, aby im zostało zapomniane, i tylko strach jest ich prawdziwym paszportem. Na sali sto trzydzieści osób - za drutami z drugiej strony, kobiety. Wrzaski, pijaństwo, pokazywanie fotografii żon i dzieci. Mitomańskie opowieści, nieprawdziwe wspomnienia, skłócone relacje budowane z mozołem na użytek chwili i po upływie chwili zapomniane; i ten spokój, ten przeklęty spokój, ten przeklęty brak strachu, że już się nic nie stanie, błogosławiona sytuacja umarłego, jak zawsze - proszeczeki nasenne, po dziesięć, po ile się da. Ale nic. Doświadczenie, którego, jak wiemy, nie udaje się nikomu przekazać. Zresztą kto wie (...). Mnie było wszystko jedno; tu czy tam być cudzoziemcem”.

14 października 1958 roku Marek Hłasko otrzymał paszport azylancki - FREMDENPASS Nr F 229801 - ważny na dwa lata. Nie był w dobrym nastroju, przeciwnie, czuł się przygnębiony i bardzo samotny. Oczekiwał od matki listu, który „da mu siłę i który będzie jak dotknięcie Jej ręki”.

Sonia Ziemann usłyszała wiadomość o azylu dla Hłaski przez radio, kiedy wracała z Brukseli do domu rodzinnego w Berlinie. Odnalazła Marka w pensjonacie przy Albrecht-Achillesstrasse, gdzie mieszkał z Rojewskim. Ten chwilowo wyniósł się w cień, bo zakochani chcieli być tylko we dwoje. Polska restauracja, polskie płyty i polskie słowo: „kotku”, „serce”, które „na zawsze weszły do słownika Soni”, spaceru za miasto. Już wtedy Sonia na dobre wybrała Marka, nie Harry'ego, choć pojedynkę dwóch kochanków jeszcze się nie skończył. „Obserwując jej stosunek do Marka - pisał we wspomnieniach Henryk Rozpędowski - patrząc na jej zachowanie i słuchając jej poglądów i opinii, pojąłem, że ta trzeźwa kobieta jest romantyczką. Czego się czasem wstydziła. A Marek fascynował. Ekscytował. Porywał. Był w jej oczach przybyszem z innego świata, (...) rozwichrzonym Polakiem o dzikich, lecz zwykle wspaniałych pomysłach, z wszystkim, co Niemcom, Francuzom czy Anglikom nie znane, z tym czymś, co porywa, oszałamia i odbiera dech, a co nigdy nie da się zdefiniować”.

Poznała go z rodzicami, swoim synem, Pierre'em, i wprowadziła do rodzinnego domu. Przez czternaście dni każdego ranka dostawała bukiet róż, drugi otrzymywała jej matka, Alice.

W tym samym czasie Hłasko w liście do swojej matki pisał: „Moja sytuacja dokumentowa, o czym zapewne wiesz, musiała ulec zmianie. To nie jest stan na długo, ale nic lepszego nie dało się w tej chwili zrobić. Pisziesz mi, Mamo, że z mojego pobytu w Berlinie wyciągasz pewne wnioski. O ile dobrze Cię zrozumiałem, masz na myśli moje ewentualne małżeństwo. Proszę Cię o jedną przysługę: zadzwoń do «Czaczkes» (Agnieszki Osieckiej

B.S.) i powiedz jej, że tylko ona jedna może być moja żoną bez względu na to, gdzie i kiedy to się stanie. Chyba, że ona pierwsza nie będzie chciała. Myślę, że w tej sprawie - Ty i ja - zgadzamy się chyba".

Nie pierwszy to i nie ostatni raz Hłasko przekonywał jednocześnie dwie lub kilka kobiet o tym, że są jedynymi, najukochańszymi i że tylko ona, każda z nich, się liczy. Czy mówiąc lub pisząc takie słowa, wierzył w nie, czy tylko spełniał oczekiwania zakochanych w nim kobiet, nie chciał ich ranić? Chciał je mieć wszystkie jednocześnie? A może, jak sugerują niektórzy, Hłasko nie potrafił kochać kobiety? Bohater „Brudnych czynów” - alter ego Hłaski - tak myślał o tych wszystkich, które mogłyby być jego siostrami lub żonami: „Nigdy żadnej z was nie lubiłem naprawdę ani trochę i ani przez chwilę. Może właśnie za to, że wam się naprawdę wydaje, iż możecie uczynić coś dla mężczyzny. Z tobą było mi dobrze, bo dawałaś mi sen. I to cholerne zmęczenie”.

Miał w jakiś sposób rozdwojoną naturę; z mężczyznami być nie chciał, a z jedną kobietą dłużej być nie mógł. W chwilach intymnych zwierzeń skarżył się Henrykowi Rozpędowskiemu, że nie jest „idealnym samcem”, choć kochanki Marka twierdziły co innego. Nie był zadowolony ze swego wyglądu, mimo że większość ludzi, którzy się z nim zetknęli, zarówno kobiety, jak i mężczyźni uważali, że był bardzo przystojny, ba, piękny. Marek nie lubił swojej gładkiej, z czasem nieco pulchnej twarzy. Mówił, że twarz prawdziwego mężczyzny powinna być sucha i poorana bruzdami. Jak mógł marszczył ją, wykrzywił, nadawał jej zgorzkniały, ponury grymas.

Sonia uwielbiała wygląd Marka, zwłaszcza smukłe dłonie, które jeszcze w Polsce kazała sfotografować, a po jego śmierci chciała zrobić ich odlew. Harry Heidemann wciąż miał jednak do niej prawo i nie miał zamiaru nikomu go odstąpić. Rozpędowski twierdzi, że Hłasko „opuścił pole samczej walki” i dlatego 22 stycznia 1959 roku wyjechał do Izraela. Wiadomo jednak, że już wtedy Marek podjął decyzję o powrocie do kraju, a „nie chciał wracać w atmosferze skandalu, sensacji i wrzasku”, dlatego wyjechał z Niemiec. Na podróż do Izraela namówił Marka Janek Rojewski, który z racji swoich żydowskich korzeni osiadł tam na jakiś czas. Rojewski załatwił Hłascę współpracę z izraelskim dziennikiem „Maariv”, a pismo wysłało mu oficjalne zaproszenie potrzebne do otrzymania wizy. Hłasko miał pisać felietony, ale pisanie w Izraelu mu nie wychodziło. Starał się o powrót do Polski, i tu natrafiał na same kłody. Tylko z kobietami nie miał problemu, najwyżej z powodu ich nadmiaru, bo same go szukały. Damy i dziwki. Te pierwsze, na których twarzach pojawiały się rumieńce na dźwięk jego nazwiska, gotowe były dawać mu pieniądze; drugie jednak chciałyby coś zarobić, a wtedy: „patrzmy na nią z osłupieniem: jesteśmy nędzarzami i za tę sumę moglibyśmy żyć przez tydzień. Pomału osłupienie nasze przechodzi w rozpacz: nie mamy przecież tyle forsy. A potem patrzmy na nią z nienawiścią: przecież każdy może ją mieć; każdy, kto ma tę sumę, ale nie my. A potem ta nienawiść kieruje się przeciw naszej własnej osobie: (...) inni ludzie w tym wieku mają domy, samochody i konta bankowe; my nie mamy nic. Przegraliśmy życie; przegraliśmy przyszłość; a teraz przegraliśmy tę noc”. Hłasko o swoich doświadczeniach sutenerskich pisał a rebours w „Pięknych dwudziestoltnich”. Stanisław Mroczkowski powiedział na ten temat tylko tyle: „Marek, alfons i omega”. Władysław Tubielewicz<sup>7</sup> zapewniał, że wszystko, co napisał w „Pięknych dwudziestoltnich”, jest prawdą: „Szukał, zwłaszcza w Izraelu, ciemnego towarzystwa. Uważał, że tylko tam odkryje istotę życia, a łatwo mógł się z nimi porozumieć, gdyż w tych kręgach mówiono głównie po rosyjsku i po polsku”.

Była późna noc. Kawiarnia, w której pracowała żona Henryka Rozpędowskiego, Renata, prawie opustoszała. Siedziało tylko kilku mężczyzn w towarzystwie kobiety. Mężczyźni coś między sobą mówili, a kobieta płakała. Kiedy Renata przechodziła obok stolika, kobieta szepnęła jej potajemnie: „Ejfo Marek? Gdzie Marek? On by ich załatwił”. Ale

Marka nie było, a mężczyźni zaraz zabrali ją ze sobą. Renata nigdy więcej zapłakanej nieznajomej nie widziała.

Rzuciła pracę w kawiarni. Wyjeżdżali z mężem do Monachium, gdzie Henryk miał rozpocząć pracę w Radiu Wolna Europa. Wtedy nie wiedział, że to Marek zarekomendował go w liście do Jana Nowaka-Jeziorańskiego. Czuł się więc wygranym dzięki własnym zasługom i na niedawno jeszcze wielkiego Hłaskę, którego utwory tłumaczono na wiele języków świata, którego pokazywano w telewizji, o którym pisano w gazetach, mógł patrzeć jak na prawdziwego „losera”. W Izraelu Hłasko zadawał się darowaną połową talerza owsianki na cały dzień, bo drugą połowę zjadał Rozpędowski. Przed pożegnaniem siedzieli na molo, a Henryk z pozycji tego, który odniósł sukces, namawiał Marka na powrót do Niemiec: „Sonia na ciebie czeka, spłaci twoje długi w hotelach, knajpach i u przyjaciół, zapłaci podróż, załatwi pozwolenie na wyjazd do Niemiec i stały tam pobyt. Nie musisz się z nią żenić, możesz załatwić sprawę na zasadzie miłości bliźniego (...). Tutaj wieczne przepocona koszula i wyleniałe portki, w brzuchu, jeśli nie pusty, owsianka albo falafel z sosem, od którego oczy stoją w słup, kawa wtedy, gdy ją zafunduje miłosierna barmanka. Jesteś w próżni, pisać nie możesz, przy korzystnym obrocie rzeczy wokół ciebie prostytutki, a ty ich alfons. Dziwki i więzienia, chamsiny, węże i skorpiony”.

Jeszcze w drodze na lotnisko, na przyczepie starej trójkołowej ciężarówce prowadzonej przez Araba, Rozpędowski nie ustawał w perswazji: „Będiesz tworzył. Nie w tym kraju. Tu pić nie przestaniesz. Pijaństwo przerasta twój talent, wczoraj byłeś pisarzem, jutro będziesz zaślinionym pijaczkiem pod opieką społeczną”.

Murek słuchał w milczeniu, a po wyjeździe swojego kompana przesłał Soni słowa filmowej piosenki:

„love me, love me, say you do.  
let my fly awal with you.  
For my love is like the wind  
And Wild is the wind”.

Czyli:

„Kochaj mnie, kochaj, powiedz, że mnie kochasz,  
Pozwól mi odlecieć z tobą,  
I to moja miłość jest jak wiatr,  
Jak dziki wiatr”.

Sonia przyleciała do Izraela. A dwa dni po niej Harry Heidemann. Tutaj jednak Harry poniósł ostateczną klęskę. Sonia nieodwołalnie wybrała Marka. Chcieli wziąć ślub na miejscu, ale ksiądz nie chciał im go udzielić. Marek był bowiem katolikiem, ona protestantką, na dodatek rozwiedziona. A w Izraelu śluby cywilne nie istnieją. Nałożyli więc sobie obrączki bez sakramentu i odbyli „podróż poślubną” po Galilei pożyczonym starym jeepem. Marek opisał ją później w opowiadaniu „Wszyscy byli odwrócenii”, które zadedykował Soni,

Nie byli ze sobą długo, ponieważ Sonia musiała wracać na plan filmowy do Austrii, a Marek nie mógł z nią pojechać. Miał bowiem kłopoty z izraelskim wymiarem sprawiedliwości z powodu wydarzenia, które opisał w „Pięknych dwudziestoletnich”:

„Wszedłszy kiedyś do baru przy ulicy Yaarknu, poprosiłem o kieliszek koniaku. Dosiadła się do mnie jakaś dziewczyna i poprosiła umie, abym postawił jej także. Powiedziałem, że jestem pusty, i uprzedziłem barmana, że płacę tylko za siebie. Po czym poprosiłem o drugi, trzeci kieliszek; tamta dama piła wraz ze mną. Wreszcie dostałem rachunek; barman wystawił mi rachunek na sześć kolejek,  
- Nic z tego nie będzie - powiedziałem. - Uprzedziłem, że płacę tylko za siebie.

Barman dał mi dobry rachunek; sięgnąłem po popielniczkę, aby strząsnąć popiół, ale rozwścieczona córka Koryntu odsunęła popielniczkę.

- Dla takich gości jak ty szkoda nawet popielniczki - powiedziała.

- To ty to powiedziałaś - rzekłem i zgasilem papierosa na jej policzku".

Władysław Tnbielewicz, który był z Markiem w owym czasie w Izraelu, potwierdził to zdarzenie, dodając: „Właściciele nocnych lokali nie lubią takich sytuacji, chcieli Marka poskromić, wtedy on zaczął rzucać kamieniami". Zrobiła się wielka afera. Hłasko został aresztowany, a prasa upowszechniła wiadomość na cały świat. Formalnie sprawa skończyła się czterema dniami więzienia, karą pieniężną i tęgim laniem od policji.

Do Marka Hłaski przyłgnęła jednak zła sława, na skutek czego miał kłopoty z uzyskaniem austriackiej wizy, kiedy był już wolny i chciał jechać do narzeczonej: „Ta stara kurwa z austriackiego konsulatu porwała moje podanie o wizę na strzepy i powiedziała do urzędnika: «Proszę mu powiedzieć, że on u nas wizy nigdy nie dostanie». Nie uważała nawet za stosowne zwrócić się do mnie". Hłasko był bardzo zdenerwowany i poruszony całą sprawą. „Po nie przespanej nocy, po wielu dniach namysłu, piszę Ci z bólem serca, że przyjadę do Austrii tylko wtedy, jeśli wizę wjazdową otrzymam w Tel Awiwie (...). Potraktowano mnie tutaj jak przestępcę, ośmieszono mnie w obecności osób trzecich (...). Potraktowani mnie tutaj jak przestępcę, ośmieszono mnie w obecności osób trzecich (...). Muszę mieć moralne zadośćuczynienie, wybaczyć tego nie mogę, zraniłem człowieka tylko raz w moim życiu".

Sonia wykorzystwała wszystkie swoje wpływy, załatwiła wizę. Marek opuścił Izrael 12 sierpnia 1960 roku.

Na lotnisku czekały na niego miłe niespodzianki. „Za wcześnie jeszcze powiedzieć, jak to będzie, ale faktem jest, że wysiliła całą swoją pomysłowość i miłość, abym czuł się dobrze". Wręczono mu klucze do samochodu - białego pół-sportowego, nieseryjnego BMW. W środku znajdowała się złota tabliczka z instrukcją: „Proszę nie flirtować z kierowcą". Kiedy dotarł do domu w Wiedniu, „zupełnie pijany", na drzwiach wisiała kartka z jego nazwiskiem - Hłasko, a na stole stała butelka whisky, gospodyni zaś miała dla niego pieniądze, „ponieważ moje szczęście czuło, że przyjadę pijany i bez grosza. Wszystko to jakoś jednak wzrusza i zobowiązuje".

W rodzinnej willi w Berlinie Sonia urządziła mu wspaniały gabinet do pracy, ale Marek przyzwyczajony do tworzenia gdziekolwiek, choćby na desce do prasowania, wyniósł się do piwnicy. I stamtąd pisał do Soni, która miała zdjęcia w Republice Południowej Afryki:

„Jest trzecia po północy, jestem w mojej piwnicy, pracuję nad «W dzień śmierci Jego». (...) A co u Ciebie, mój Kotku - Aniele? Czy Twoja praca jest ciężka, czy nie Jesteś zmęczona? Maleństwo moje, nie zapomnij, proszę, że kocham Ciebie i tylko Ciebie. Dom bez Ciebie jest pusty. Twój syn zadaje mi ciągle mnóstwo pytań - myślę, że to dziecko kocham".

Odpisała mu z Johannesburga:

„Moja Święta Miłości -

Całowałam Twój słodki list, wszystkie miejsca, jakich dotykały Twoje cudnie piękne ręce. Maretschku, to, o czym piszesz, i sposób, w jaki piszesz, sprawiają, że czuję, iż jesteś naprawdę moim mężem, mężem, którego kocham, którego uwielbiam. Twój list sprawił, że przepełnia mnie szczęście (...). Dziękuję Bogu, że jesteś z moim małym na tak dobrej stopie - i dziękuję Tobie. Jestem szczęśliwa, że mieszkasz z mamą i z ojcem. Mam szczerą nadzieję, że czujesz się naprawdę dobrze i wygodnie jak u siebie w domu (...). Miłuję - Twoja Sonia".

Mały Pierre podarował Markowi na urodziny dwa koty, mówiąc: „To jesteś Ty i mama". Hłasko lubił dzieci, zwłaszcza chłopców. Uwielbiał i rozpieszczał dzieci swoich przyjaciół. Marzył, by mieć własnego syna. Bał się, że jest niepłodny, i zwierzał się z tego matce jeszcze we Polsce. Robił nawet badania lekarskie. Mimo wielu kobiet w jego życiu, licznych miłosnych przygód i romansów nie doczekał się żadnego potomka, przynajmniej ujawnionego, choć często się chwalił, że właśnie ma się urodzić następny Hłasko. W Polsce, Izraelu, Ameryce...

Do Pierre'a miał stosunek o tyle szczególny, że chłopiec był nieuleczalnie chory. Sonia robiła, co mogła, by przywrócić zdrowie jedynemu i uwielbianemu synowi, wydawała na to ogromne sumy, a jak trzeba było - pożyczła od przyjaciół. Nic to jednak nie pomogło, Pierre zmarł kilkanaście lat później.

Po powrocie z Afryki zakochana żona, nie mogąc znieść widoku męża (oficjalnie ślub wzięli 20 lutego 1961 roku w Londynie) pracującego między siecią instalacji i rur, zasłoniła je skórą lamparta, które przywiozła z Afryki, a ściany ozdobiła polskimi grafikami, żeby było miło i przytulnie. A wtedy Marek uciekł z domu. Razem z Wojtkiem Frykowskim<sup>8</sup> pojechali do Marsylii. Siedzieli w kawiarni przy tanim winku i pisali do matki Marka:

„Droga Mamo! Splajtowaliśmy finansowo, moralnie i socjalnie. W związku z tym zdecydowaliśmy się z Wojtkiem zaciągnąć do Legii Cudzoziemskiej. Spodziewamy się nagłej śmierci. Jak nas diabeł będzie prowadził do piekła, niech Mamusia się czasami o żadną protekcję nie stara. Kochające dzieci. Marek i Wojtek". Nie wiadomo, czy ten list wysłali.

Kiedy Frykowski mu się znudził, Marek wrócił do Soni, przekonując ją, że jest jedyną kobietą, którą kocha, i tęskni za Pierre'em jak za własnym synem. Sonia przyjmowała marnotrawnego męża, a on próbował prowadzić „życie cieplarniane”.

„Jego żona, Sonia - furt zakochana w tym draniu - a Marek siedzi z wykrzywioną mordą i mówi: «Patrz - dla wszystkich, kurrwa, okupacja niemiecka się skończyła, a dla mnie nie» - te czułe aforyzmy wtedy, kiedy Sonia gładzi go po głowie lub przynosi whisky z lodem. Nie - z tego nic nie wyjdzie" - tak prorokował Zygmunt Hertz. Innym razem relacjonował sytuację Hłaski Czesławowi Miłoszowi: „Hłasek siedzi w St. Moritz na fartuszkach Soni - podobno bardzo elegancki, nawet myje nogi, ślicznie ubrany i melancholijny. Śmiertelnie na mnie obrażony, że odmówiłem mu pożyczki 100 dolarów, jak był w potrzebach w Izraelu. Widzisz, Cześ, jak napisy w żydowskich sklepach nie są prawdziwe. «Dasz na kredyt, stracisz klienta» - nie dałem i straciłem”.

Najczęściej jednak Marek mieszkał w Berlinie przy Wollzogenstrasse 17, w jednym domu z rodzicami i synem Soni. A tam - jak zauważył Zygmunt Hertz - „mieszczańska zamożność, nuda i pustynia”, Hłasko zaś „zakałapučkany i nie pasujący do świata, w którym żyje”. Sonia, chociaż była artystką, nie odbiegała z natury od mieszczańskich zwyczajów swojej rodziny. Rozsądna, zaradna, skrupulatna, zapobiegliwa, walcząca o zdrowie syna, dbająca o rodziców, krewnych i wspomagająca ich. A Marek potrzebował żywiołu, szaleństwa, zmian i jednocześnie spokoju; wszystkiego naraz. Przed przyjaciółmi nie ukrywał stanu swego ducha. „Ja dużo pracuję, mam kontrakt z telewizją; pracuję tylko po to, żeby za jakiś czas znów wyrwać się z Niemiec (...). Życie tutaj jest jak zwykle szare i smutne, możliwości urządzenia się gdzie indziej małe, ale cóż można zrobić. Staram się wykorzystać każdy dzień i być wdzięcznym, że napisałem kartkę czy dwie”.

W wolnym od pisania czasie łąził po żydowskich knajpach w Niemczech, „szukał Żydów mówiących po hebrajsku i żargonem i w tych językach prowadził z nimi nie kończące się rozmowy na temat piękności Izraela”.

Wysłał też zaproszenie do Stanisława Mroczkowskiego, który w owym czasie przebywał w Paryżu:

„Żyję w tym grobie (u Soni w Berlinie, z ojcem i bratem). Nikt do mnie nie przyjeżdża. Przyjeżdż do mnie, bo jestem w takiej formie, że jestem gotów się załamać”.

Mroczkowski pojechał. Sonia się ucieszyła. Usiedli do kolacji, którą podała służba. Potem przeszli do gabinetu na kawę. Po kilku kieliszkach brandy ojciec i brat Soni rozpoczęli odgrywać kampanię wojenną na ziemiach polskich. Brat był majorem, ojciec zaś pułkownikiem: „Herr Major, bitte bringen Sie Landkarte...”. I tak dalej. Markowi wykrzywiła się twarz z wściekłości, rzucił się na nich z pięściami. Sonia w płacz. Następnego dnia rano Mroczkowski chciał odjechać, by uniknąć niezręcznej sytuacji, ale Sonia go zatrzymała. Marek wstał o jedenastej i też mówi: „Nie jedź, chodźmy na piwko”. O siódmej wieczorem

znowu wspólna kolacja; ojciec ma zabandażowaną głowę, brat Soni podbite oko, Marek podrapany. „Wszyscy się godzą, całują; ojciec z Maruniem, Marunio z bratem. Po kilku kieliszkach następuje powtórka z poprzedniego wieczoru: <<Herr Major...>> Marek za żyrandol i buja...”. Mroczkowski już więcej do nich na kolację nie poszedł.

Ślad tych rodzinnych zmagania widać w liście do Eryka Lipińskiego, choć list wydaje się na pół żartobliwy:

„Żona - BDM (związek zrzeszający dziewczęta w hitlerowskich Niemczech B.S.), teść - SS Wikingen, szwagier - SS Galicien i tak dalej. Ale cóż poradzić? Byłem już zupełnie bez pieniędzy i musiałem przeżyć renesans uczuć”.

Wydaje się jednak, że lubił teścia i szwagra, bo nawet po rozwodzie z Sonią przesyłał „słowa miłości dla Papy i Wenera” i tylko „szacunku dla Twojej matki”. Opowiadał Rozpędowskiemu, że „stary Otto” był człowiekiem niesamowicie pracowitym, od południa do nocy stale zajęty w piwnicy. Kiedyś Marek poszedł za nim, żeby mu pomóc, i wtedy zobaczył, że w niewidocznym zakątku teść chował dolary i „całą kupę butelek”, z których codziennie pociągał kilka łyków, a ze ścian spoglądały nagie dziewczyny. Skarcił go: „Ładnie to tak, niszczyć sobie resztki zdrowia i skracać życie?”. Starszy pan odpowiedział słowami Fryderyka Wielkiego, wypowiedzianymi do żołnierzy w czasie bitwy: „Psy, chcecie żyć wiecznie?”. „W tym momencie zrozumiałem, że mam do czynienia z człowiekiem szlachetnym i niezwyklej mądrości, więc pierwszą butelkę wypilem na jego cześć”.

W rozmowie z kuzynem Marka, Andrzejem Czyżewskim, Sonia przyznała, że to jej ojciec był alkoholikiem, żadnego dnia nie mógł się obyć bez kieliszka wina lub brandy. Marek, mówiła, alkoholikiem nie był. Lubił pić, bo to było mu potrzebne do jego wizerunku. Kiedy pracował, nie brał kieliszka do ust. Tworzył na trzeźwo. Tak było w Polsce i tak było na emigracji. „Jego picie było filmowe” - jak to określił Marek Porębowicz.

Na emigracji Hłasko „stękał”, że przeżywa kryzys pisarski, że jest „pusty wewnątrz”. Na co Hertz, z którym się zdążył pogodzić, powiedział mu: „W takim razie nic się nie zmieniło, bo zawsze byłeś tego samego zdania o sobie i myślę, że masz rację”. Hłasko, znający poczucie humoru Hertza, ucieszył się: „Naprawdę, wuju, tak mówiłem?”. Nie wszystkie jednak emigracyjne utwory Marka podobały się „wujowi”: „Dziwne, że facet doskonale czuje polski rytm, a berliński czy izraelski jest dla niego bezwonny. Tego rodzaju pisarze nie obciążeni i autopsyjni powinni żyć w swoich rezerwach, a nie wyłazić na klomby u sąsiada”.

Hłasko miotał się między niechęcią do pisania a niemożnością uwolnienia się od niego. Mówił, że to nie jest zajęcie dla prawdziwego mężczyzny, że to onanizm, „zbrzydło mi to, gardzę tym zajęciem”. A jednocześnie nadal pisał. Coraz bardziej ciążył ku twórczości filmowej. Kino go zawsze fascynowało i uwodziły go szybkie, duże pieniądze, które mógł zarobić na scenariuszach, by nie musieć liczyć na pieniądze żony. On, który od dziecka miał kompleks „prawdziwego mężczyzny”, z pewnością, strasznie cierpiał, żyjąc na jej koszt. Rozpędowski widział jego zażenowanie, kiedy zamiast okazać kartę kredytową, wypowiadał w banku w St. Moritz nazwisko Soni Ziemann. Barwne, ekscytujące sceny, które przytaczają świadkowie jego życia, przykrywają ciężką kurtyną jedną zasadniczą myśl, która nękała go na emigracji i którą przemycił w „Pięknych dwudziestoletnich”, mianowicie: „myśląc, że Polska to dla mnie tych kilkunastu ludzi, myślałem jak idiota; nie przewidziałem atrofii. I nie przewidziałem tego, ja, pilny czytelnik Dostojewskiego, że nędza jest rzeczą wstydliwą; być może najbardziej wstydliwą (...). Jeżeli urywa się na Zachód malarz, pisarz czy reżyser, czekają go lata udręki i dorywczych prac; noce spędzone w brudnych hotelach; kobiety, które płacą; i właściwie nie znam wypadku - poza Miłoszem - aby proces deklasacji społecznej nie towarzyszył zawsze artyście uciekającemu spoza żelaznej kurtyny”.

W Niemczech i Szwajcarii to Sonia była gwiazdą. Ułatwiała mu potrzebne kontakty filmowe, ale Marek unikał pisarzy i intelektualistów, którym go przedstawiała. Nie lubił

dziennikarzy, wywiadów, bankietów, festiwali; na oficjalnych przyjęciach Sonia była więc samotna. Może nie chciał się przyznać przed samym sobą, że w Niemczech żył w jej cieniu, że to ona dla niego była wsparciem? Zrobił to dopiero w ostatnim wywiadzie<sup>9</sup>: „Tak, jestem Słowianinem, a w mojej ojczyźnie panuje zwyczaj, że żona idzie za mężem, i to nie tylko dla własnej kariery”.

Ale już jesienią 1962 roku pisał do przyjaciół z Izraela, Hanny i Jerzego Pressów, że jego małżeństwo chyli się ku upadkowi, i planował się tam urządzić. „Niech Jurek wymyśli jakiś interes w Izraelu; kawiarnia, knajpa, coś, co by nie kosztowało dużo, a dało chleb Wam i mnie przy Was. Jeśli będzie miało ręce i nogi - załatwię. Ale bez innych współników: Jurek i ja”.

Henryk Rozpędowski niepokoił się zachowaniem Marka, bo wokół niego „zawsze jakieś napięcia, elektryczność, która tylko czeka na wyładowanie, jakieś typy, jakieś dziwne przygody, policja w tle”. Przy Marku stawał się niespokojny, nawet kiedy było miło, serdecznie, rodzinnie, gdyż każda następna chwila była nieprzewidywalna. Dziwił się, „jak ta Sonia z nim wytrzymuje?”. I dlaczego Marek niszczy to, „co sobie sam zbudował i co zbudowali mu inni?”. Na te pytania nie umiał odpowiedzieć nawet trzydzieści lat później.

W końcu października 1963 roku odwiedził Marka w klinice w Haar pod Monachium. Hłasko przedawkował środki nasenne. „Wyglądał mizernie, mówił mało. Przy powitaniu i pożegnaniu przedłużał uścisk dłoni, patrzył w oczy długo i bez słowa. Jego ręce wydały mi się wiotkie, słabe i bezradne, stale kładł je na moje ręce, szukał fizycznej bliskości. Kiedy odchodziłem, patrzył na mnie oczami, w których była prośba. Odwiedziłem go kilka razy, zawsze było to samo. Poszedłem na rozmowę z lekarzami zdenerwowany, pozbyli się mnie szybko, właściwie wykpiłi: on jest zdrow jak koń, drobna rzecz, (...). «Neurastenik – powiedział jeden, chuchając w okulary. - Niech mi pan pokaże jednego pisarza, który nie jest neurastenikiem, który śpi dobrze, nie bierze tabletek na sen, który się nie boi siebie, któremu włos się nie jeży przed otwarciem listu, który do końca zje zupę i nie podsunie czasem pięści pod nos przyjacielowi lub żonie»”.

Czyli lekarze potwierdzili to, co Hłasko napisał w „Pięknych dwudziestolennych”, że „udawanie obłędu nie jest rzeczą prostą, ale można się tego nauczyć, jeśli tylko u ma się dość odwagi i charakteru”. Wystarczy na przykład najpierw ponarzekać, poudawać, polamentować, potem umówić się z kimś bliskim na spotkanie, a następnie zażyć odpowiednią ilość środków nasennych. Bliski znajdzie ofiarę nieprzytomną i odwiezie do szpitala. „Po jakimś czasie lekarz zapyta nas, czy chcemy wrócić do żony, odpowiadamy, że nie, a na pytanie tego durnia, czym motywujemy swoją decyzję, odpowiadamy mu, że doszliśmy do wniosku, iż chorego człowieka nie można kochać; tak więc postanowiliśmy odejść, aby nie łącać życia kochanej kobiecie; i napisaliśmy nawet do niej list, w którym przyznaliśmy się do nie popełnionych zrad. Świadczy to, że naszą żonę kochamy ponad wszystko, ale świadczy również, że nasz napad depresji pozostał, choć przybrał formę łagodniejszą i możliwą przez nas samych do kontrolowania. To wszystko ma tylko wtedy sens, jeśli rzeczywiście mamy żonę i chcemy urwać się od niej na jakiś czas, (...) nie należy przy tym zapominać o odmawianiu pokarmów przez parę dni”.

Marek podczas pobytu w klinice nie chciał przyjmować posiłków, jeśli nie było przy nim Soni. To ona musiała go karmić, chociaż w drugiej klinice leżał jej chory brat. Biegała od jednego do drugiego, nie przerywając pracy nad filmami i w tatrze. Sprawiał wrażenie, iż boi się, że żona go w tym czasie zdradzi, porzuci, przestanie kochać. Sonia Ziemann powiedziała, iż Markowi potrzebne były takie chwile, kiedy się koło niego krzątano, troszczono o niego, martwiono. W trudniejszych dla siebie momentach sam takie sytuacje wywoływał. „Uciekał w chorobę, w szpital”. W dzieciństwie w ten sam sposób przykuwał uwagę matki, jako dorosły - uwagę przyjaciół.



Były też epizody więzienne. Raz trafił do mamra po wypadku, który spowodował po pijanemu; a lubił wykorzystywać moc swego sportowego BMW 527. Sonia wyciągała go z opresji. Kiedy musiał zostać kilka tygodni za kratkami, odwiedzała go i słała paczki. Wściekł się, kiedy załatwiła mu oddzielną celę, bo chciał siedzieć z przestępcami, i poprosił o przeniesienie. „Zapominał o niej, kiedy otrzymywał zaliczkę, lub rozliczenia za wydane książki. Znikał z domu, wdawał się w miłosne ekscesy, doprowadzał do rozpaczyny niespokojną o jego losy. Później było klasycznie; za resztę pieniędzy, jaka mu zostawała w kieszeni, kupował kwiaty i podarunki, wracał do domu, błagał i korzył się, płakał, padał na kolana i podawał jej prezenty na klęczkach”. I wtedy skwapliwie pracował albo jeździł tam, gdzie grała żona. W Zurychu odprowadzał Sonię do teatru, a sam szedł do znajomego, Juliana Godlewskiego, i cały dzień rozmawiał z nim o swoim życiu, pracy pisarskiej i o tym, jak mu ciężko żyć poza Polską. Wieczorem szedł po żonę do teatru. Często oglądał przedstawienia, żeby się nauczyć sztuki dialogu.

Po jakimś czasie znowu się „urywał”, a Sonia robiła mu awantury. Największą o Nicholasa Raya, reżysera, i jego piękną żonę, Betty. Marek poznał ich poprzez Sonię. „Przyjaźń Hłaski i Raya zapoczątkowana w Hiszpanii, przemieniła się w Monachium w związek intymny i obsesyjny. Pili wspólnie i dużo. Ray czynił usilne starania, aby doszło do filmowej realizacji «Paradise Next» (...). Marek był opętany reżyserem, który stworzył Jamesa Deana, opętany. Zapomniał o świecie, o swoich sprawach, o pisaniu i umowach, o bliskich. Nie istniał nikt prócz Nicholasa. Jego fotografię-portret kazał żonie umieścić nad ich małżeńskim łóżkiem”. Tak pisał Rozpędowski.

I to było ostatecznym powodem ich rozstania: „Betty, Nicholas Ray i jego fotografia”. Bo Sonia czuła się w swoim środowisku ośmieszona. Betty straciła dla Marka głowę, tak jak on dla Nicholasa. Niestety, scenariusz Hłaski wywarł na Rayu tak wielkie wrażenie, że ten, nie mogąc się doczekać rana, żeby wyrazić autorowi swój zachwyt, wtargnął nocą do jego sypialni, a tam... ujrzał swoją żonę. I tak rozpadły się dwa małżeństwa, a film „Paradise Next” pozostał na etapie scenariusza.

Hłasko informował w tym czasie matkę, że jego stosunki rodzinne „są tego rodzaju, że nie wraca na razie do domu”, i że „żonę trzeba zmienić na młodszą”. Sonia była siedem lat starsza od Marka. Po zerwaniu z nią Marek pojechał do Maisons-Laffitte i tam zaczął pisać „Pięknych dwudziestoletnich”, a Hertz analizował: „Dziwny człowiek: mam dwojakie uczucia. Odrzuca mnie sposób jego myślenia o życiu codziennym. Myślę, że na pewno podobnie jak on reagował Genet. Jego sytuacja trudna - Sonia nie wytrzymała - zerwała z nim, chyba definitywnie, czyli baza finansowa przestała istnieć. A zostały przyzwyczajenia, których się boi jak ognia, bo nie ma na ich zaspokojenie. (...) Z mojej strony nieszczęśliwy człowiek, który się poniewierał przez całe życie, nie miał nigdy swego kąta, zawsze wisiał na kimś; na Jerzym Andrzejewskim, na Berezie, na Agnieszce, na Soni, na mnie wreszcie. Jest teraz przerażająco grzeczny, uprzejmy: śmiertelny strach przed straceniem ostatniej mety”. Mimo wszystko Zygmunt Hertz miał „do chłopca” sentyment. „Rozumiesz: facet trzydziestodwuletni, który miał własne mieszkanie, własny kąt przez trzy, cztery miesiące po otrzymaniu nagrody wydawców w Warszawie. Przedtem i potem zawsze był gdzieś kątem. Człowiek, który nie ma własnej szafy, własnego łóżka, własnej półki na książki, wieczny rezydent szoferów, kurew, dobrych pań od Wincentego di Paulo czy izraelskich inteligentów (...), ale widać poprawę, po ośmiu latach - wydorósł, ale ciągle żyje na qui vive, jaki kawał robi. Na razie spanikowany, że to ostatnia meta w zasięgu, ale myślę, że przy podczarowaniu znajdzie jeszcze kilka takich dobroczynnych hrabin jak my”.

Minał miesiąc, a Hertz nadal narzekał, ale z nutą wyrozumiałości, jak zawsze, gdy miał do kogoś słabość: „Z Hłaską milion kłopotów. Nie ma Natalii, która da ciepłego mleka, wysłucha tych samych żalów i kłopotów powtarzanych o nieprawdopodobnych godzinach, rozbierze i położy spać, pozwoli się męczyć nieograniczenie. Chłopiec jest samotny. Sonia

była na pewno świętą osobą, ale miała swoją karierę na uwadze i nie miała żadnej ochoty (słusznie) na rezygnację ze swojego życia. A nie ma nikogo na samospalenie. Może by jakiegoś obłąkanego bonzę sprowadzić z Indochin, polskie dziewczyny też nie wytrzymają".

Hłasko natomiast nie pochwalał stosunków panujących w Maisons-Laffitte. Janowi Nowakowi-Jeziorańskiemu pisał: „Atmosfera nie najlepsza. Sześć osób - sześć obozów politycznych. Z początku to bawi; potem - tylko męczy". Nie ukrywał jednak, że jest wdzięczny Giedroyciowi, że „dał mu szansę” na skończenie „Pięknych dwudziestolecia”, że mógł przebywać wśród Polaków, czytać polskie książki i gazety. „To jedno się dla mnie liczy”. Innym skarżył się, że w Maisons-Laffitte otwierają jego listy, podsłuchują rozmowy i wtrącają się do życia prywatnego. Rzeczywiście Hertz napisał w tajemnicy przed Markiem list do Soni, w którym przedstawił jego sytuację: zmęczonego, przedwcześnie postarzałego człowieka, teraz nie pijącego i spędzającego po sześć godzin dziennie na pisaniu. W liście prosił Sonię, by przysłała dwie lub trzy piżamy Marka i kilka par skarpet, bo „Marek zrobił się sknerą i nienawidzi wydawania pieniędzy w sposób «bezsensowny»”. Zastrzegł, by nie wspominała o liście Markowi, bo nie wiadomo, jak by zareagował. Może Hertz nie wiedział, iż Marek sam czule korespondował z Sonią.

„Najdroższa - jestem zawsze Twój. Będę Cię kochał do dnia mojej śmierci. Zawsze. Zawsze. Bez Ciebie nie mogę żyć. Wiem, że masz wielkie kłopoty (syn Soni, Pierre, był umierający - B.S.); ja mam je również. Moja książka to gówno. Próbuję z niej coś zrobić. Chcę przez jakiś czas być wśród Polaków, to wszystko. Mam do przeczytania i muszę przeczytać wiele książek: muszę to zrobić - więc proszę, nie gniewaj się na mnie. Jestem stale Twój. Odejdę od Ciebie tylko w jednym przypadku - jeśli zechcesz tego Ty. Nie mogę żyć bez Twojego ciała i bez Twojego uśmiechu. Nie mogę. Przysięgam na Pana Naszego - nie mogę. I będę Cię kochał, nawet jeśli każesz mi odejść. Będę Cię kochał do ostatniej chwili mojego życia. I będę się modlił do Boga o Ciebie. Lecz jeśli zechcesz, abym odszedł - będzie to tylko moja śmierć. Nie myśl, proszę, że jestem komediantem. Nie jestem nim. Masz moją największą i jedyną miłość, moją pasję, mnie, Na zawsze. Błagam Cię, klęczę przed Tobą na kolanach - Kocham czule”.

Czy ten list był wyrazem miłości, czy wynikiem zagrożenia życiową bezradnością? Hłasko czuł, że traci grunt pod nogami; stosunki z Maisons Laffille pogorszyły się. Marek wyprowadził się do hotelu Odeon przy Rue de L'Odeon 3. Napisał dramatyczny list do Rozpędowskiego, w którym błagał o pomoc. „Czy nie mógłbyś Ty, Kochany, z kolei pójść do dyrektora Nowaka i poprosić go o to samo, o co ja prosiłem go przed laty dla Ciebie? (...) Jeśli możesz, to ratuj mnie (...). Zrób wszystko, co tylko w Twojej mocy”. Nigdy wcześniej Hłasko nie wspominał o swoim wstawiennictwie za przyjacielem u Jana Nowaka-Jeziorańskiego, więc Rozpędowski potraktował słowa Marka jako kolejny akt fantazji. Odpisał jedynie, żeby Hłasko zatrzymał sobie pieniądze, które jest mu winien. Do Nowaka-Jeziorańskiego nie poszedł, ponieważ był przekonany, że Hłasko nie ma szans na pracę w RWE ze względu na nadmierne picie. Nowak-Jeziorański był pod tym względem rygorystyczny. Henryk musiałby zaryzykować własną reputację, rekomendując kogoś, kogo nie można być pewnym. To wspomnienie do dziś nie daje mu spokoju, dręczy go od chwili, kiedy dyrektor RWE dał mu do przeczytania list, jaki Marek wysłał z Izraela w jego sprawie. Hłasko pisał między innymi: „Od wielu miesięcy mieszkam niedaleko Henryka Rozpędowskiego, z którym się zaprzyjaźniłem, i siłą rzeczy jestem świadkiem jego straszliwej sytuacji życiowej i beznadziejnej walki o byt, którą ten człowiek prowadzi (...). Jest to, moim zdaniem, człowiek bardzo zdolny, który pokaże dopiero, co potrafi. (...) Ten człowiek jest w niebezpieczeństwie i ja, patrząc z boku, obawiam się o niego i jego rodzinę. Moim zdaniem wyłania się tu konieczność natychmiastowej pomocy; i dlatego zdecydowałem się Pana fatygować i gorąco Go proszę, aby użył Pan wszystkich swoich wpływów i możliwości - i pomógł Pan Rozpędowskiemu”. Kiedy Henryk przeczytał list, było

już za późno na odwzajemnienie przysługi. Dyrektor, spełniając prośbę Marka: „Bardzo Pana proszę tylko, aby nie mówił Pan nic Rozpędowskiemu o tym, że pisałem do Pana”, ujawnił korespondencję dopiero odchodząc na emeryturę, piętnaście lat później. Prawdopodobnie dzięki temu listowi Rozpędowski otrzymał etat, chociaż wcześniej Nowak-Jeziorański informował go, że takowych nie ma. Gdyby protegowany o tym wiedział wtedy, w 1965 roku, może spróbowałby porozmawiać z dyrektorem RWE. A tak Marek sam się do niego zwrócił, ale dyrektor odpowiedział mu dyplomatycznie: „Nie wydaje mi się, aby było rzeczą możliwą i celową wtlaczać Pana w ramy i dyscypliny jakiegokolwiek pracy redakcyjnej. Nie zniósłby Pan tego ani przez dzień. Trzeba raczej myśleć o jakimś literackim stypendium w Ameryce”. Jan Nowak-Jeziorański uważał, że rozgłośnia jest jak soczewka skupiająca wszystkie spojrzenia świata, i dbał o jej wiarygodność. Hłasko bronił się: „Jeśli ja pójde raz na miesiąc czy raz na tydzień zabawić się do nocnego lokalu - widzi mnie przy tym pięćdziesiąt osób. Ale nikt mnie nie widzi w czasie tych godzin, w których samotnie siedzę i usiłuję pracować”. W okresie niemieckim, w ciągu pięciu lat, napisał: „Brudne czyny”, „Wszyscy byli odwrócenii”, „Drugie zabicie psa”, „Sowę, córkę piekarza”, „Miesiąc Matki Boskiej”, „Amora”, „Stację”, „Powiedz im, kim byłem”, „Pięknych dwudziestoletnich”, jeden scenariusz telewizyjny, dwa scenariusze filmowe. Dużo. Bardzo dużo. Pracy jednak nie dostał, a ludzie z kręgów RWE rozsiewali o nim plotki, które docierały nawet do matki. Hłasko wyjaśniał jej: „Jeśli chodzi o RWE, to nie pobiłem nikogo, a tylko ze złości przewróciłem stół. Było to wkrótce po «wybraniu wolności». Byłem wtedy zrozpaczony, samotny i wydawało mi się, że postąpiłem źle, że powinienem zostać w kraju i z tamtymi ludźmi dzielić wszystko. Minęły lata, zanim się z tego wyzwoliłem. To rzeczywiście moja wina i nie jestem w stanie się usprawiedliwić. I ja do nich nie czuję zbyt dużej sympatii. Taki np. Tadeusz Nowakowski, którego w życiu nie widziałem, a który od lat opowiada o mnie jakieś ohydne rzeczy i o mojej żonie, o tym, co się u mnie w domu dzieje, i tak dalej. Po co?”.

Na renesans związku z Sonią także widocznie nie liczył albo tego po prostu nie chciał. Mówił, że nie może dłużej włączyć się za nią po świecie i żyć w pokojach hotelowych. Chciałby dłuższy czas siedzieć w jednym miejscu, by móc skupić się na pracy „bez uporczywego widma ciągłego pakowania walizek; muszę mieć swój kąt, gdzie będę mógł się zamknąć i gdzie mi nikt nie będzie robić scen”. „Zdaje mi się, że jeśli chodzi o Sonię, to pierwszy raz w życiu jestem bez winy. Ale to nieważne, bo i tak nikt mi nie uwierzy”.

Chodziło o sprawy finansowe; - Marek Hłasko założył wspólnie z Sonią Ziemann autorską firmę „Marsoni” - przynajmniej matce mówił, że Sonia oszukała go na poważną - dla niego - sumę pieniędzy. „Nie uważam tego, aby w stosunkach między kobietą a mężczyzną tego rodzaju sytuacje mogły ulec zapomnieniu, gdyż musiałbym wyzbyć się resztek szacunku dla własnej osoby. Przykro mi, ale nie umiem tego zmienić, (...) nie mam już siły żyć dłużej na walizkach, wyjeżdżam z Europy na zawsze (...) i nie wrócę tu nigdy”.

Zygmunt Hertz, który nadal próbował Markowi „matkować”, był na niego wściekły, uważając, że marnuje życiową szansę: „Hłasko - nieznośny pasażer, robiący samemu sobie na złość, marnujący każdą okazję, jaka mu się nawija. Patrę z przerażeniem na to marnotrawstwo, facet jest psychopata-mitoman, hipochondryk, czort wie nie co. Nie do życia. Najdziwniejsze jego powodzenie u kobiet. Tego nie rozumiem: brudas aż śmierdzi, neurastenik, pijak okazjonalny, awanturnik też okazjonalny. Myślę, że rozwija pawia ogon czarów przez krótki okres, nabierze na litość czy samotność. Co zresztą tutaj można wiedzieć”.

W tym czasie Hłaskę odnalazła w Paryżu jego dawna dziewczyna, niektórzy twierdzą, że najważniejsza, Esther Steinach. Wróciła izraelska miłość. Hertz nadal się użalał: „Bydle wyjechało, nie zostawiło adresu, mniejsza o to”.

Hłasko był już wtedy w Ameryce. Sonię, przebywającą w tym czasie w Zurychu, zawiadomił z Londynu o swym wyjeździe w noc przed odlotem. W Los Angeles wniósł do sadu sprawę rozwodową. A Sonia, która mimo wszystko nie przestała go kochać i nie chciała

z niego zrezygnować, słała mu błagalne listy, że bez niego nie może żyć. Na rozwód nie chciała się zgodzić. Marek się irytował: „Ciągłe czekam na ten cholerny rozwód, od którego wszystko, rzecz jasna, zależy. Sonia zachowuje się jak dziecko, zmarnowała to małżeństwo i nawet nie potrafi zrozumieć, co jest straszne przede wszystkim dla niej, gdyż będzie się czuła opuszczona, zdradzona, a ja nie mam siły tłumaczyć jej czegoś, czego ona i tak nie pojmie. Ja starałem się być dobrym mężem, jak długo umiałem, tak długo, jak starczyło mi sił, a ponieważ nie miałem tych sił więcej i nie miałem również ani złudzeń, ani dobrych chęci, odszedłem. Nie odszedłem dla innej kobiety ani łatwego życia, tylko po prostu, aby nie zwariować. Tego Sonia zrozumieć nie chce, nie umie, nie może, a ja tu w niczym pomóc nie umiem”. Dalszy ciąg listu napisany jest w języku rosyjskim: „Nam w żyzni sodby różnyje; jej - junost, mienia - barba. Albo jeszcze inaczej: Lubili dziewuszki i nas, no my wljublania nie lubiliś, czewo też dali każdyj raz, a w etoj dni grustiłsia czas. Tak toczno, Mamasza”.

Matka Marka, choć nie lubiła Soni, którą znała jedynie z opowieści i korespondencji, wierzyła, że przy niej syn będzie bezpieczniejszy. Już w 1964 roku podtrzymywała synową na duchu, pisząc: „Jako matka znam Marka bardzo dobrze i rozumiem Ciebie, ale przypuszczam i widzę, że jesteś dla Marka Aniołem Stróżem. Wiem, że jest Ci z nim czasem ciężko (...). Moja kochana Soniu - Ty i tylko Ty możesz mu pomóc, pokierować nim, bo jest w Tobie zakochany, ja jestem bezradna”. Matka nie była przychylna ich rozstaniu. Marek, żeby ją ostatecznie przekonać, odwołał się do resentymentów wojennych: „W Niemczech czy też w krajach, w których mówi się po niemiecku, żyć i mieszkać nie mogę i nie chcę. Nie myślę nawet, abym Ci musiał tłumaczyć dlaczego. Sonia, która w Niemczech jest naprawdę znakomitą aktorką teatralną, tutaj nic robić nie może; ja tam nic robić nie mogę. Niemcy, i wszystko co niemieckie, były, są i pozostaną dla mnie symbolem wszystkiego, co nieludzkie, nieuczciwe, brudne, straszne. Kiedy to piszę, przypomina mi się, jak kiedyś w czasie powstania przechodziliśmy barykadę, a Ty położyłaś się na mnie, aby mnie ochronić od kul, i powiedziałaś, patrząc na płonące miasto: «Patrz, dziecko, to jest kultura niemiecka». Czy pamiętasz to jeszcze? (...) Nieszczęście polega na tym, że ja o tym wszystkim powinienem wiedzieć, zanim się ożeniłem, (...) ale faktem jest, że najlepsze lata swego życia Sonia spędziła ze mną, i teraz nie wiem, czy uda jej się wyjść dobrze za mąż. W każdym razie ja na razie nie widzę wyjścia z tej sytuacji i napisałem jej to szczerze w długim, spokojnym i serdecznym liście”.

W grudniu 1967 roku sąd w Los Angeles orzekł rozwód z winy Marka, jednak na uprawomocnienie wyroku Hłasko musiał czekać dwa lata. Sonia nie przybyła na rozprawę, reprezentował ją adwokat. Jeszcze po rozwodzie szukała wsparcia u matki Marka, a on się wściekał: „Być może, że Twoja była synowa wysłała Ci depeszę? Piękny gest, prawda? W tym samym czasie, kiedy ja wyżyłowałem z siebie ostatnie pieniądze na rozwód; kiedy oszukiwała mnie w sprawach finansowych, kiedy przeszkadzała mi w otrzymaniu prawa pracy, wiedząc, że nie mam pieniędzy. Jeśli ten gest ma dla Ciebie jakąś wartość, tym gorzej dla mnie”.

Kilka dni potem Sonia odwiedziła Marka w Los Angeles przy okazji rozmów, jakie prowadziła z hollywoodzką firmą Aldrige Co. I to spotkanie znowu ich w jakimś stopniu zbliżyło, bo później wymieniali listy i byli w „najlepszej zgodzie”. Marek mówił o niej „moja Sonia”, ale jednocześnie zastrzegał się przed matką, że więcej się chyba nie ożeni, bo lubi żyć sam. Może w chwili pisania tych słów wierzył w nie, a może nie chciał zapeszać, w tym samym bowiem czasie zupełnie co innego mówił drugiej kobiecie. W jego życiu była wówczas jeszcze Esther. Przede wszystkim Esther. Czy naprawdę więc wierzył, że może odbudować związek z Sonią, czy tylko ją pocieszał? Jej syn był wtedy umierający, a ona zrozpaczona. W każdym razie pisał jej: „Jestem bardzo szczęśliwy, że po jedenastu latach znajomości Ciebie (od czasu do czasu jesteś kurwą, wiesz o tym) stale mam to cudowne uczucie, kiedy o Tobie myślę, Jest moją tragedią, że byłem takim monstrum, takim złym

mężem. Nie wiem, jak mam to powiedzieć. Kochanie moje - nie zapomnij, że jest ktoś na świecie, kto będzie Cię kochał, kochał zawsze (...). Spróbuj pomyśleć o tym, kiedy nie będziesz mogła zasnąć i wypocząć. Bardzo Cię kocham i mam nadzieję, że nasze małżeństwo będzie można odbudować - i nie boję się tego, nie czuję wstydu. Niech Cię nie martwią dziennikarze. Z punktu widzenia prawa i z mojego punktu widzenia jesteśmy małżeństwem. Ale teraz śpij, śpij dobrze, moja wiedźmo. Modlę się w intencji dziecka i za Ciebie".

Marek sam nie był w owym czasie w dobrym nastroju. Plany filmowe z Polańskim nie wyszły, ciężka praca fizyczna, żeby zarobić na „chleb i mielone mięso”, albo jeszcze gorszy jej brak, długi, choroby i zakochana, ale nie zdecydowana Esther... Stan ciągłego zawieszenia, oczekiwania, niepewności.

W kwietniu 1969 roku Sonia posłała Markowi bilet lotniczy do Izraela. Telewizja niemiecka ZDF miała tam kręcić film według opowiadania Hłaski „Wszyscy byli odwrócenii” z jej udziałem. Redaktor tej telewizji, Hans Jurgen Bobermin, powiedział, że prawa do opowiadania miała Sonia Ziemann i odstąpiła je telewizji pod warunkiem, że sama zagra w filmie. Marek zapakował więc swój majątek do walizki: kilka rzeczy osobistych, oprzyrządowanie płetwonurka, licencję pilota i maszynopisy. Walizkę zamknął w swoim samochodzie, który ulokował w garażu znajomej Polki z sąsiedztwa, Teresy Watras. I przyleciał do Tel Awiwu, a stamtąd pojechał na plan filmowy do Ejlatu. „Sprawiał wrażenie człowieka zmęczonego, trochę zniszczonego, może przegranego” wspominał Bobermin.

W Izraelu Sonia przez chwilę znowu miała Marka dla siebie. „Byli w starej Jerozolimie (...). Na prośbę Marka szli Via Doloroso. Na każdej stacji żegnał się i szeptał modlitwę. Poszli do Bazyliki Grobu. Modlili się w Grocie Złożenia Ciała. Nie chciał stamtąd odejść. Klęczał, oparł głowę o marmurową płytę Grobu, płakał. Modlił się półgłosem, czasem był to jęk, chylił głowę, bił się w piersi, łyzy ściekały mu na policzki i usta”.

Sonia poleciała do Berlina na synchronizację filmu, a Marek pozostał w Izraelu, aż do zakończenia zdjęć. Bo w Izraelu mieszkała przecież Esther. To z nią planował zostać na resztę życia po powrocie z Wiesbaden. W Wiesbaden z kolei prowadził rozmowy na temat współpracy z tamtejszą telewizją. Ustalono, że będzie dostarczał co roku jeden scenariusz filmowy o tematyce izraelskiej. Bobermin postarał się dla Hłaski o zaliczkę w wysokości 5 tysięcy marek i na czas pobytu przyjął go do swojego domu. Zaprzyjaźnili się. Gospodarz mówił potem, że przez cały ten czas Marek był w depresji: „Trzeba go było zmuszać do wyjścia na przykład na spacer (...). On był zamknięty, jakiś bojaźliwy, tak że w ogóle nie miał ochoty na jakiegokolwiek wyjście do lokalu (...). Potrzebował nieustannie kogoś, kto by mu towarzyszył, nie umiał być sam przez dłuższy czas. Było w tym coś chorobliwego (...). Były takie chwile, kiedy widząc jego ogólny stan, jego drżące ręce, miałem wątpliwości, czy w ogóle ta nasza umowa zostanie zrealizowana. Nie potrafiłem bowiem wyobrazić go sobie piszącego w takim stanie. On wtedy, śmiejąc się, powiedział: «Och, przecież pomożesz mi w pisaniu\*”.

Pamiętny wieczór z piątku na sobotę spędzili w domu na rozmowie, przy muzyce i winie. Rosyjskie pieśni, których Marek zapragnął posłuchać, wprowadziły go w melancholijny nastrój. Bobermin poszedł spać około północy, po nim jego żona, a Marek nadal słuchał płyty. Rankiem znaleźli go martwego.

W poniedziałek, 16 czerwca 1969 roku, niemieckie gazety poranne podały na pierwszej stronie tragiczną wiadomość.

„Der Spiegel”: „Marek Hłasko, 35. Żył, pił i pisał. Ten polski pisarz żył w Warszawie, Berlinie, Londynie, w Hollywood, Tel Awiwie; pracował w kibucu, protestował i rozrabiał. (...) «Pisanie - powiedział - jest tak samo wspaniałe jak chłanie». Kierował się tą maksymą. Po zawarciu małżeństwa z Sonią Ziemann w 1961 roku nic więcej nie napisał”.

Popularny „Bildzeitung” donosił: „Marek Hłasko (35), mąż 43-letniej aktorki filmowej Soni Ziemann, nie żyje”. W tytule nie było jednak jego nazwiska; brzmiał on: „Mąż Soni

Ziemann zatrul się". Kiedy w 1973 roku Krzysztof Kąkolewski, będąc w Wiesbaden, chciał odwiedzić grób Marka, służby cmentarne zaprzeczyły, że się tam taki znajduje, ale kiedy Kąkolewski powiedział, że chodzi o męża Soni Ziemann, natychmiast wskazały miejsce pochówku. Ziemną mogiłę z drewnianym krzyżem.

Marek miał nadzwyczajny dar przewidywania swojej przyszłości. Któregoś dnia w Wiesbaden poszli z Boberminem na krótki spacer, „za róg, w stronę cmentarza”. Gdy przechodzili obok zakładu kamieniarskiego, wówczas, wskazując na mały nagrobek, Marek powiedział: „Nie uwierzysz, ale jeśli bym umarł, to nawet takiego nagrobka nie będę miał”. Dopiero sześć lat po śmierci ufundowała mu go na Powązkach matka, kiedy po wielu staraniach sprowadziła jego zwłoki do Polski.

Miejsce na cmentarzu pomógł jej załatwić Jan Himilsbach, który dorabiał wtedy jako kamieniarz. Któregoś dnia Himilsbach powiedział głośno w gronie dziennikarzy: „Trzeba sprowadzić Marka do kraju. Gdzie on tam, w tych Niemczech, będzie leżał? Tam nawet nie ma kumpli. Do granicy przyjedzie pociągiem, a od granicy będziemy nieść trumnę. A za trumną będą szły te wszystkie kurwy”.

Na pogrzebie w Niemczech Maria Hłasko narzekała, że Sonia odgrywała rolę zbolalej wdowy i to na nią skierowane były flesze i kamery, ale jeszcze w dzień pogrzebu trzeźwo podchodziła do autorskich spraw spadkowych. Potem Sonia wozila wszędzie zdjęcia dwu nieżyjących bliskich: syna Pierre'a i Marka; i stawiała je na stoliku przy łóżku. Zainteresowała się parapsychologią, licząc na kontakt ze zmarłymi. Nigdy nie powiedziała na Marka złego słowa i miała żal do Henryka Rozpędowskiego, że w swoich wspomnieniach uczynił go czułym potworem, alkoholikiem. Po latach wyszła ponownie za męża, za aktora. Spisuje swoje wspomnienia, w których będzie dużo o miłości jej żyda - Marku Hłasce.

Agnieszka Osiecka PANNA „CZACZKES”

Zapytana o Marka Hłaskę, odparła: „A dlaczego ja miałabym opowiadać? Sama piszę, a żeby pisać, to muszę się czuć pepkiem świata”. Tyle tylko, że to miała być jej historia z czasów, kiedy była dziewczyną, a później narzeczoną Marka. „A to co innego, choć teraz wszyscy interesują się Markiem, a nie mają płcią, co to kibuc”. Egzaminu nie chciała jednak przeprowadzać, zaczęła w snuć wspomnienia...

Wszystko przez to, że jej koleżanka, Hania Żurek, pożyczyła od Marka książkę, a potem się z nim pokłóciła i Agnieszka - w jej zastępstwie - musiała ją oddać. Umówili się w kawiarni „Kamienne Schodki”. Marek przywitał ją obojętnie. A tego nie lubiła, więc sama zaczęła go podrywać. To było na przełomie 1956 i 1957 roku. Marka już zaczynał spowijać mit: miał za sobą ciekawe doświadczenia kierowcy przy wyrębie lasów w Sudetach, życie niemal kowbojskie i sukces wydawniczy „Pierwszego kroku w chmurach”. Imponował niespełna dwudziestoletniej intelektualistce. Widząc jednak jego niewzruszoną obojętność, przestała go uwodzić, a wtedy rolę przejął Marek. Umówili się na następne spotkanie w domu Agnieszki. Jej rodzice woleli, żeby nie włóczyła się nie wiadomo gdzie i nie wiadomo z kim i żeby zapraszała kolegów do siebie na Saską Kępę. Kontrolowali ją na każdym kroku, nawet czytali jej pamiętnik, dlatego założyła drugi, bardziej intymny, ale i do tego się dobrali, więc Agnieszka pisała „pod nich”. Zwłaszcza ojciec, Wiktor Osiecki, pianista ze Lwowa, później kierownik muzyczny teatru Syrena, nie chciał, by o życiu jego jedynej córki zdecydował przypadek. Z gruntu założył, że Agnieszka będzie kimś wielkim, i tak ją wychowywał. Wydał wojnę przeciętności. Wolał, żeby wyrzucała futra przez okno, niż wrzucała grosiki do skarbonki. „Wyrobić w dziecku instynkt oszczędzania – fu, cóż to za kłapa dla imaginacji. (...) Nic dla nas nie znaczyło to, co robili «wszyscy». Cokolwiek by to było, my robiliśmy dokładnie coś innego”. Kiedy weszła do kuchni, by pomoc babci, ojciec krzychał: „Co ty tam robisz! Zostaw! Zaraz ci wszystko podamy”. Jej zadaniem było uczyć się pod okiem

prywatnych nauczycielek, grać w tenisa i pływać. Gdy miała zaledwie osiemnaście lat, dzięki uporowi ojca swobodnie władała czterema językami. A potem Wiktor odszedł od żony i już mniej interesował się córką. Wtedy kontrolę nad nią przejęła matka. Wypraszała z domu tych kolegów Agnieszki, którzy jej się nie podobali.

Marek Hłasko przypadł jednak matce do gustu. Pozwalała mu odwiedzać Agnieszkę i spotykać się z nią „na mieście”. To drugie nie zawsze było łatwe, bo Marek umawiał się, ale się nie zjawiał o umówionej porze w umówionym miejscu. Agnieszka zostawiała mu więc karteczki: „Marku kochany! Dzwoniłeś i nigdy nie zostawiałeś wiadomości, gdzie i kiedy można ciebie odnaleźć. A w święta szanowne nie wypadało mi nachodzić Cię w domu bez porozumienia. Dzisiaj stawiałam się zgodnie z telefonem, przesiadziałam z Twoją Mamusią czas jakiś i już sobie idę. Cieszyłabym się, gdybyś mógł wpaść po prostu do mnie na Saską Kępę jutro około dziewiątej wieczorem. Całuję Ciebie i wcale się nie gniewam, tylko chciałabym Cię wreszcie zobaczyć. Panna «Czaczkes»”.

Agnieszka nie należała do dziewcząt, które beczynn timer oczekują na chłopaka. Już wówczas włóczyła się po świecie, pisała teksty dla Studenckiego Teatru Satyryków, żal jej więc było straconych godzin. „Marku! Marku! Nigdy nie dzwonisz o tej godzinie, o której proszę, i potem się tak ciągle mijamy - jak wczoraj. A przecież ja mam przed tym wyjazdem strasznie dużo rozmaitej bieraniny mam po mieście. Wiesz o tym. A dzisiaj prawie cały dzień czekałam na Twój telefon”.

Pod tym względem byli do siebie podobni; każde zajęte własnymi sprawami pędzili w swoim kierunku, a kiedy się spotkali, przeżywali coś w rodzaju flirtu. Bo to wielka miłość. Marek już jedną wielką przeżył, do Hani Golde, a jak przyznał w ostatnim, udzielonym tuż przed śmiercią wywiadzie: „Wielka miłość zdarza się w życiu tylko raz, wszystko, co następuje potem, jest tylko szukaniem tej utraconej miłości”. I szukał jej przez całe życie. Agnieszka zaś do miłości wtedy jeszcze nie rosła. Myślała, że oboje z Markiem mają jeszcze czas, jeszcze dużo czasu. „Zamiast świętować miłość, zamiast chuchać na to, to się tak strasznie kręciłam, ponieważ myślałam, że ja po prostu zdążę. Że ja będę zawsze młoda, zawsze Marek będzie młody, że świat na nas poczeka. A nic nie poczekano”. Wiele lat później gotowa była pojechać za ukochanym do Ameryki, ale jako młoda dziewczyna sama dla siebie odkrywała świat. W Burgundii pracowała jakiś czas „w charakterze wolnego strzelca przy winogronach, a za uciulany w ciężkim trudzie grosz” włóczyła się po Lazurowym Wybrzeżu. Na tarasie bistro w Cannes, czekając na pociąg do Paryża, pisała list do Marka.

Wtedy wydawało się Agnieszce, że jest w nim zakochana. Ku przerażeniu rodziców wyjechała z nim dwa razy na kilka dni do Kazimierza. Marek byt czuły iikliwy. Później Agnieszka wyruszyła na Mazury, a on wrócił do Warszawy, gdzie podpisał umowę z Filmem Polskim, odstępując prawo do ekranizacji „Następnego do raj”. Agnieszka wysłała do niego z Mazur list, który dobrze charakteryzował ich związek:

„Marku najmilszy! Tu są Mazury, więc wielkie niebo i jezioro spokojne jak pies. Oczywiście jak dobry, łagodny pies. Siedzę na brzegu starej studni, obok gdacze smutna jakaś kura, a ja chcę Ci powiedzieć parę rzeczy ważnych.

Nie wiem, czy dobrze to pamiętasz. Zadzwo ni eś do mnie parę dni temu i powtarza eś - «Jestem wrak». I mówi eś, że nic nie napiszesz. I woła eś: «Nie licz na mnie». (...)

Marek, masz w sobie to najpiękniejsze, co może mieć człowiek - prawdę. Nie chcesz być taki jak świat, w którym żyjesz. Nie zgadzasz się na ten świat. Jesteś najodważniejszy z naszego pokolenia, bo widzisz prawdę nawet tam, gdzie to bardzo boli. Jesteś bardzo piękny i bardzo wiele wart. Dlatego bzdurą są te złe słowa, które o sobie mówisz. I bzdurą jest to, czego się boisz - że już nie będziesz pisać. Nie zrezygnujesz z prawdy, więc będziesz pisał. Także najlepiej w naszym pokoleniu. Chyba, że przestaniesz się buntować. Ale to Ci nie grozi, wiem o tym. Kończę ten trudny list i proszę Cię, żebyś i Ty czasem zostawił kartkę «szukałem Ciebie». Do widzenia, kochany. Twoja Agnieszka”.

Czasami pojawiały się u niej „przebłyski kobiecej intuicji”, na przykład kiedy Marek pojechał do Łodzi i wrócił z włosami ufarbowanymi na kolor żółty w pomarańczowym odcieniu. Przez chwilę pomyślała wtedy racjonalnie, ale zaraz górę wzięło młodzieńcze zauroczenie, które brała za miłość.

Bereza, człowiek Markowi bliski, tak scharakteryzował relację Hłasko-Osiecka: „Marek, po swoich uczuciowych burzach, chciał związku z kimś, do kogo miałby zaufanie. Widział w niej partnerkę, jeśli chodzi o praktyczną stronę życia. Dlatego traktował ją poważnie, choć pozwalał sobie na żarty ze strony seksualnej tego związku. Agnieszka bardzo o niego zabiegała, ale też nie było tu szału zmysłów”.

Przed wyjazdem na stypendium do Paryża Marek oświadczył się jej. A swojej mamie powiedział, żeby w jego imieniu poprosiła mamę Agnieszki o rękę córki. Maria Hłasko nie opierała się, potencjalna synowa jej się podobała, w każdym razie była godną Marka kandydatką. Dwie Marie spotkały się w domu państwa Osieckich. Obydwie widziały w swoich jedynakach uosobienie wszelkich cnót.

- Agnieszka nauczyła się czytać w wieku pięciu lat - pochwaliła się jej mama.

- A Marek, gdy miał cztery lata, już z łatwością składał litery w wyrazy - przechyliła szalę mama Marka.

- To takie dobre, cudowne dziecko, ta moja córeczka.

- Marek, gdy był mały, powiedział mi: „Mama, ty nigdy nie umrzesz”.

I tak przy kawie trwała licytacja, które dziecko lepsze, mądrzejsze, zdolniejsze...

Agnieszka przysłuchiwała się rozmowie zza drzwi. Mamy przyklepały zaręczyny swoich dzieci, ale kiedy przyszedł do domu ojciec i usłyszał o małżeńskich zamiarach, wyśmiał i żonę, i córkę, a zaręczyny potraktował jak głupi żart. Nie znosił Marka. Uważał go za lekkoducha, postać teatralną, a nie za partnera na życie. Marek zresztą nie pozostawał mu dłużny. Kiedy znalazł się za granicą ironicznie kazał „pozdrawiać Tatusia” i zapewniać go, żeby się o przyszłego zięcia nie martwił, bo da sobie radę.

Pierwsze miesiące Hłaski w Paryżu były pełne euforii, nadziei i wielkich planów. I takie były listy do Agnieszki. Tytułował ją w nich zabawnie: „Stworzonko Kochane”, „Mademoiselle Thackqesse”. A podpisywał się - „Fernando”. Ale im więcej czasu mijało, im więcej nieprzewidzianych zdarzeń wciągało go w swoje koleiny, zaczynał się czuć jak w matni. Jego listy do Agnieszki były coraz bardziej poważne, smutne i nostalgiczne. Nie zwracał się już do niej „Mademoiselle Thackqesse”, tylko „Kochanie moje”, „Moja Maleńka”, „Kochana Agusiu”... Może za dużo oczekiwał. „Myślałem, że pobyt za granicą coś zmieni we mnie, że będzie chciało mi się coś robić, że będzie chciało mi się żyć inaczej - ale siedzę tutaj, nie ruszając się prawie do Paryża, nawet mi się nie chciało pojechać na film z Jamesem Deanem, (...) ale to tylko do Ciebie tak piszę - dla innych Paryż, las neonów, orgia świateł i tak dalej. Źle się czuję, marnie śpię, w dzień chodzę, jakby mnie byk wyjechał”. Również przed matką nie ukrywał, że „życie okazało się cięższe niż w najbardziej czarnych opowieściach Jej syna”.

Kiedy poprosił o azyl polityczny, nie miał odwagi odezwać się do Agnieszki. Poprosił Berezę: „Dzwoń do «Czaczkes» i powiedz jej, żeby do mnie napisała pierwsza. Ja nie mogę. Ona młodsza, ona wie, po co Bóg stworzył świat. Nie chcę jej przeszkadzać, zwłaszcza teraz, kiedy jestem zacierającym się wspomnieniem. Im prędzej zniknę, tym będzie lepiej dla wszystkich. Ale tęsknię za nią. Dopiero tutaj zrozumiałem... itd... Módl się za mnie”.

Wyobraził sobie, iż łączy ich wielka miłość, i wokół tej miłości stworzył mit, chyba tylko po to, by zachować nadzieję na powrót, by mieć się czego trzymać i dla kogo wracać. Bo gdyby chodziło o wielkie uczucie, nie wiązałby się z Sónią, a już wtedy zamieszkał w jej berlińskim mieszkaniu. Gdyby nie był jednocześnie związany z innymi kobietami, mogłoby się wydawać, że Sonia jest jedyną jego miłością. Agnieszka, czytając listy narzeczonego, też mogła wierzyć, że w jego życiu jest tylko ona. „Gdyby mi ktoś powiedział, gdybym miał choć



odrobinę gwarancji, że będę mógł być z Tobą choć przez rok, choć przez pół roku, a potem - śmierć, to bym przyjechał do Ciebie. To nie melodramat; to wyznanie tego, który na pewno - z całym idiotyzmem i kabotyństwem - najwięcej Cię kochał. W końcu przyjdzie taka noc, kiedy prześpisz się z innym. Ja Ci się nigdy nie podobałem, ale to inna sprawa. Ale lepiej być pijanym niż myśleć, że ta chwila w końcu przyjdzie. Ale jeszcze nie rób nic ostatecznego. Jesteś taka młoda. Masz jeszcze czas. Każdy chce być szczęśliwy. Ja chciałem być szczęśliwszy od innych. Ale Bóg mnie ukarał (...). Nie ma, nie było - okazuje się - nic ważniejszego od Ciebie, (...) czekaj. Jeszcze czekaj. Jesteś taka młoda".

Wypominał jej, w ostatniego sylwestra spędziła nie z nim, tylko z kolegami w STS-ie: „Miałem jakieś złowrogie przeczucie, że jest to mój ostatni sylwester w kraju; ale Ty się zawsze śmiałaś z moich przeczuć. Nie wiem, ile mnie jeszcze smutnych sylwestrów czeka”. Agnieszka myślała, że Marek pójdzie razem z nią, że się do nich przyłączy, ale on „nie miał ochoty być z nami. Trochę był zły na mnie, że tam poszłam. Choć tak naprawdę to dość pobłaźliwie traktował to moje mocne związanie z kolegami z STS-u”. Poszła sama. Wciąż myślała, że mają jeszcze czas... Dopiero znacznie później radziła innym: „Nie odkładajcie na później ani piosenek, ani egzaminów, ani dentysty, a przede wszystkim nie odkładajcie na później miłości”. Nie mogła tego jednak wiedzieć, mając dwadzieścia jeden lat.

Gdyby tylko mogła, pojechałaby do Marka - do Paryża, Berlina, Tel Awiwu... gdziekolwiek. W Berlinie był już zajęty Sanią, też padały słowa o wielkiej miłości i planach małżeństwa. Ale wcześniej, w Paryżu, czekał na Agnieszkę. Nie tylko zresztą on. Jerzy Giedroyc i Hertzowie poznali Osiecką wcześniej niż Marka. Zygmunt Hertz nazywał ją „małą”, „moją Agnieszką”, „moją córeczką”. To ona przywiozła do paryskiej „Kultury” maszynopis „Cmentarzy”, zanim pojawił się tam Marek. Jednak po jego wyjeździe przez siedem lat, mimo starań, nie dostała paszportu. Marek w drodze do Tel Awiwu w styczniu 1959 roku pocieszał ją z lotniska w Atenach:

„Kochanie moje, nie wiem, co Ci pisać, co Ci powiedzieć, aby Ci było łatwiej, i co Ci powiedzieć, abyś uwierzyła i abyś myślała, że już jestem z Tobą. Nigdy nie myślałem, że będę Cię tak kochać, jak Cię kocham, i że tyle przez tę miłość wycierpię, I że tyle zyskam”.

„Kropnął się” do Izraela - jak pisał Antoniemu Słonimskiemu - gdyż miał, prócz amerykańskiej, tylko izraelską wizę. I za radą przyjaciół i „swoim pomysłem” uznał, że w tutejszym konsulacie pójdzie łatwiej z zezwoleniem na powrót do Polski. W Berlinie sprawa wyglądała beznadziejnie. Na dodatek po pierwszej wzmiance, że zamierza wrócić, dziennikarze oblegali go dzień i noc. Skandal i sensacja. Na lotnisku w Berlinie, osaczony przez żurnalistów, złożył deklarację, że wraca, I prosił Słonimskiego o pomoc. Miał podstawy, bo w czasie nagonki w 1957 roku Słonimski, jedyny obok Dąbrowskiej, bronił go publicznie. „Zdumiewająco odważny” - powiedział o nim Giedroyc. Za to Markiem był wyraźnie rozczarowany: „Wraca do Polski. Na klęczkach, można powiedzieć, bo musi sobie przejazd sam zapłacić na polskim statku, a on najpierw nie przyzwyczajony, a poza tym bez pieniędzy. Żal mi chłopca, który się tak głupio spisał. Oby go to wszystko nie wykończyło”, Giedroycowi wtórował Bobkowski: „Napisałem do niego «pożegnalny» list i powiedziałem mu wszystko, co o nim myślę. Gówniarz i tyle, pozer i tchórz. Napisałem mu to czarno na białym. Powiedziałem mu, że terazniech już nie próbuje pisać o «tough guyach» (twardych facetach – B.S.), bo okazało się, że sam jest z g..., a nie z krwi i kości. Zirytował mnie. Błogosławię, że go <<wyczułem>> tak dobrze i z miejsca ochłodziłem w jego planach przyjazdu tutaj. Musiałbym go kazać odstawić do granicy. Szkoda go. (...) Mimo wszystko z takiego rozwiązania wyłazi jego prymitywizm i brak kultury, pierwotny cham, który nie może żyć poza obrębem swojej zagrody. I to jest właśnie typowo i przeklęcie polskie. (...) To młode pokolenie jest przede wszystkim pokoleniem tchórzy. Boją się banału, bezgranicznego banału życia. Cały problem Hłaski to strach przed banałem życia, banałem studiów, banałem uczenia się, patrzenia na świat i banałem jakiegoś tam szczęścia”.

Przez Giedroycia i Bobkowskiego wyraźnie przemawiała złość na niedawnego podopiecznego. Powód swej decyzji Hłasko wyjaśnił w „Pięknych dwudziestolich”: „Powiedziałem sobie: Polska to nie Putrament i Kruczkowski i ci wszyscy inni. Polska to ci wszyscy ludzie, którzy mnie czytali i którzy we mnie wierzyli. Więc wrócę tam i stanę przed sądem jako szpieg; trzeba będzie mi tylko udowodnić, że posiadam materiały szpiegowskie, gdyż nie można być szpiegiem przychodzącym z niczym. Powiedziałem sobie: mieliście odwagę pluć na mnie; mieliście odwagę nazwać mnie szpiegiem; zniszczyliście mi najlepszy kraj do pisania na świecie; moja rodzina wstydzi się za mnie; więc weźcie mnie teraz i ukarście”.

Marek Hłasko nie chciał wracać na klęczkach. W wielu listach stanowczo prosił matkę, aby w jego sprawie nic nie robiła. Nie podobała mu się jej propozycja, by napisał do polskich władz pokutny list. „Miałbym się nagle upokarzać i stawiać w sytuacji dzieciątka, które pisze listy do Mamusi? Trzeba czekać z godnością, odwagą i nadzieją. (...) Nie jestem małym płaczkiem”. Obawiał się, że matka będzie się korzyła; będzie płakała i obiecywała poprawę w imieniu syna. Wolał, żeby w jego sprawie działali „na trzeźwo”: Słonimski, Dąbrowska, Iwaszkiewicz czy choćby Osiecka.

„Chodź, idziemy na pocztę, muszę wysłać list do Agnieszki, żeby poszła do Słonimskiego w mojej sprawie” - powiedział któregoś dnia w Tel Awiwie do Władysława Tubielewicza. O Agnieszce Marek mówił mu dość brutalnie; ze poznał, że zaciągnął do łóżka, że to tylko polonistka, ale „może w ciebie zainwestować pół litra”. I kiedy Tubielewicz wracał do Polski ze swego izraelskiego stypendium, Hłasko napisał do niej: „Myślę, że dr Tubielewicz, z którym mieszkalem tu przez długie miesiące, opowie Ci coś o mnie i o moim życiu. Jest to dobry człowiek, ale wydaje mi się, że rozpił się tutaj za bardzo. W każdym razie zainwestuj w niego butelkę wódki - opowieść będzie dokładniejsza”. Przez Tubielewicza przesłał Agnieszce kożuch, do którego radził dokupić na Bazarze Rózyckiego szeroki pas za 80-100 złotych. „Noś mój kożuch, wyglądaj w nim ładnie”. Może chciał jej zostawić po sobie pamiątkę, bo powoli tracił nadzieję, chociaż w marcu 1959 roku miał już prawie pewność, że będzie dobrze, bo ambasador polski w Tel Awiwie, Antoni Bida, zakomunikował mu, iż władze wyraziły zgodę na powrót. Swoje zadowolenie, ale i obawy, przekazywał Agnieszce. Wiedział, że po powrocie czeka go służba wojskowa, może więzienie albo coś jeszcze gorszego:

„Moja sprawa jest załatwiona. Jutro mogę być już razem z Tobą. Niemniej muszę tu jeszcze trochę zostać; mam długi, jestem winien forszę rozmaitym biedakom i nie mogę nawalić, (...) jeszcze sześć tygodni muszę tu pozostać. Chcę teraz jeszcze jednej rzeczy. Chcę listu od Ciebie, w którym mi napiszesz, że zostaniesz ze mną na zawsze, na cienkie i na grube; że nie opuścisz mnie nigdy i że nasz związek jest święty i pozostanie święty bez względu na to, co mnie spotka i co będę musiał przeżyć w najbliższym czasie”.

Najwyraźniej Hłasko bał się tego, co może go czekać po powrocie. Uczepił się więc myśli o Agnieszce i wielkiej miłości, która zrekompensuje mu wszelkie cierpienia. Chciał czuć, że mają one sens i cel. I chciał mieć kogoś lub coś, co by go powstrzymało przed zmianą decyzji. By nie złamać publicznej obietnicy. Dlatego pragnął się upewnić: „Część tego cierpienia spłynie na Ciebie. Czy jesteś na to przygotowana? (...) Czy nie powiesz mi któregoś dnia, iż źle się stało, iż nie zostałem tam, skąd przyjechałem? Raz jeszcze przypomnij sobie: kto wraca i w jakiej sytuacji. I pamiętaj, że będziesz mi jedyną witającą. I jeszcze jedna rzecz: niech Twoja lekkomyślna mama do mnie napisze sama, że będzie mnie lubić jak własne dziecko”.

Po kilku dniach zgoda na powrót została cofnięta, tak jak i życzliwość ambasadora. Hłasko mówił o tym Henrykowi Rozpędowskiemu, kiedy ten przyparł go pytaniem: „No, to jak jest w końcu z tym twoim powrotem do Polski? Mnie opowiadasz, że o powrót się nie starasz, że powracać nie masz zamiaru, ale ludzie mówią, że jednak do konsulatu zachodzisz”.

Wtedy Marek przytoczył mu swoją rozmowę z ministrem Bidą, na którą został zaproszony oficjalnym listem. Ambasador oświadczył, że otrzymał pismo w jego sprawie od Jarosława Iwaszkiewicza. Samej noty jednak Markowi nie pokazał ani nie zapoznał go z jej treścią, natomiast „zajął się, okrutnymi obecnie, a fatalnymi w przeszłości, dziejami Hłaski na emigracji. Mówił o szponach obcych wywiadów i śmierci naiwnych frajerów, o tym, że Hłasko tuła się jak Żyd wieczny tułacz, a w Polsce miał czapkę z piór, żarcia do rozparcia i wódki ile dusza zapragnie. «Wiecie, Hłasko, tak po przyjacielsku różne są rzeczy, a potem się nie ma, jak na przykład imperium rzymskiego. A Polska jest i taka będzie, jak my chcemy, a nie taka, jaką chcieliby ją mieć niektórzy agenci-pisarze. Bo może być tak, że jest agent-pisarz, a raptem się okazuje, że był, ale już go nie ma. Rozumiecie? Był, ale go nie ma». Na uwagę Marka, że mogą sobie darować tę rozmowę, Bida się uniósł: «Będziecie szli do nas na czworakach, Hłasko! Na kolanach będziecie się do nas łaścić! Pod siebie będziecie fajdać i nas błagać, żeby wam Polskę otworzyć, ale będzie za późno!». Zamykał przy tym oczy jak kura - opowiadał Marek, demonstrując sposób Bidy na oczy. Śmiał się, potem spoważniał i powiedział, że do kraju nie wróci: «Chwilowo za dużo tam Bid»".

Nie zrezygnował jednak ostatecznie. Pisał do swojej „dzielnej Penelopy”, by leszcze „zadziałała”. Osiecka, jak jej Marek zasugerował, zamierzała osobiście wstawić się za nim u Gomułki, ale matka i znajomi jej to odradzili, tłumacząc, iż zamiar jest absurdalny. Raz, że Agnieszka była za młoda, nie znała się na polityce, jak więc miała rozmawiać z pierwszym sekretarzem. A dwa, że Gomułka oburzał się na sam dźwięk nazwiska Hłaski. O tym dowiedziała się matka Agnieszki od samej Zofii Gomułkowej, do której dotarła sobie tylko znanymi drogami.

Pierwsza sekretarzowa zasugerowała, iż na „audiencję u jej męża” młoda Osiecka nie ma najmniejszej szansy, i znając nastawienie męża do „sprawy Hłaski”, odradzała jakiegokolwiek starania o posłuchanie.

Agnieszka popadała w rozpacz. Z obydwoma matkami rozważała, co jeszcze można by zrobić. Ale - oprócz płaczu i prośb kierowanych do ważniejszych życzliwych osób, jak Antoni Słonimski, Maria Dąbrowska, Jerzy Broszkiewicz - niewiele mogły uczynić. A do Agnieszki docierały plotki o miłosnych podbojach Marka. Prawdziwe, bo jak mówił Tubielewicz: „Marek kosił baby jak ułan. Byle tylko nie był brutalny, później i to mu wybaczały”. W Niemczech była Sonia, w Izraelu: Esther, Luise, Kasia, Awiwa... „nie licząc spraw drobnych”.

Kasia Rubinowicz nie miała u Marka większych szans, nie była atrakcyjna. Ale ta zakochana lekarka troskliwie się nim opiekowała. Była też pomocna „w chwilach głodu, kiedy żaden wydawca nie da nam zaliczki, a wierzyciele czyhają na rogu ulicy, dzierząc w rękach bykowce”. Wtedy umieszczala go w szpitalu i próbowała zniechęcić do picia. „Jeszcze lepiej jest udawać wariata w Izraelu. Po pierwsze, mamy znajomych lekarzy, którzy sami są wariatami i którzy zrobią dla nas wszystko, co w ich mocy; po drugie, ilość chorób psychicznych wśród emigrantów z Europy jest duża. (...) I znów zyskujemy pewien czas, aby się odezwać i aby wymyślić jakąś książkę czy też opowiadanie. Po jakimś czasie możemy poprosić, aby skierowano nas do pracy na budowie, i przez parę miesięcy możemy uzbierać trochę grosza, aby potem napisać coś, co nam sprawia przyjemność”. Na początku pobytu Marka w Izraelu, kiedy stracił miejsce w kibucu, Katarzyna zaproponowała mu mieszkanie u swojej rodziny w barakach otoczonych pomarańczowym gajem. I tam Marek wytrwał krótko, gdyż wracał z „Dyziem” o piątej nad ranem, śpiewając na cały głos niemieckie piosenki i budząc przerażenie Żydów.

Następna kobieta Hłaski, Awiwa, pochodziła z Krakowa. W Izraelu samotnie wychowywała dziecko i chciała być wielką miłością Marka, ale była zaledwie przygodą. Zdarzały się jeszcze inne miłości.

W domu Rozpędowskiego Marek „spojrzał na maszynę do pisania, (...) siadł przy niej, pisał szybko, zapisał pełną stronicę i rzucił mi papier na stół. «Czytaj, niezły tekst» - powiedział. Kiedy odchodził i zwróciłem mu uwagę, że zapomniał o liście, odpowiedział, że to nie list, że osoba, do której pisał, jest postacią fikcyjną. Że pisał, bo chciał sprawdzić, czy jeszcze potrafi pisać na maszynie. «Na maszynie i w ogóle». (W Izraelu nie miał maszyny do pisania, pisał ołówkiem lub długopisem.) «Wyrzuć, zrób z tym, co chcesz» - i poszedł. Może rozdrażniony tym, że spojrzawszy na pierwsze słowa listu «Kochana», odłożyłem go na stronę, nie czytając". Po jego wyjściu Rozpędowski przeczytał list do „nieznajomej pani w Polsce":

„Kochana

Po pierwsze, od razu na wstępie, żeby potem był czas na inne rzeczy - nie pisz mi nigdy więcej o jakichś podróżach do Włoch. Trzymaj się naszej rozmowy: Monachium-Warszawa, której będziemy niedługo obchodzić smutną rocznicę. To, i tylko to, obowiązuje Ciebie i mnie. Jeśli będę miał pozwolenie powrotu, powrócę; Jest rzeczą obojętną, skąd i w jaki sposób. Owszem, przed paroma miesiącami rozpatrywaliśmy z Jankiem tego rodzaju ewentualność: byliśmy obaj w bardzo ciężkiej sytuacji psychicznej i chcieliśmy pojechać do Palermo - jedyne miejsce tego świata, do którego tęsknimy. Sprawa upadła i nie wiem dlaczego ten idiota - Profesor T. (Tubielewicz - B.S.) - mówi o rzeczach zupełnie nieważnych, a nie np. o tym, że pozostawił tu kupę długów, które ja będę musiał płacić. Aczkolwiek roztargnienie uczonych jest rzeczą znaną i stanowi cenny materiał anegdotyczny - możesz mu powiedzieć, że w sprawie KAMINERÓW postąpił jak świnia. Tyle o lazuruwej Italii.

Po drugie, z żadną panią nie flirtuję. Obojętne jest już w tej chwili, kto usiłuje zapłuć drogę między nami; ważne jest to, że Ty w to wierzysz; że ośmielasz się napisać «ja się gniewam». Ja mogę Cię z kolei zapewnić, że bardzo bym się gniewał, gdybym usłyszał o Tobie tego rodzaju gadki. Myślę nawet, że do tego stopnia, że nie mielibyśmy okazji tej sprawy szerzej przedyskutować. Jeśli nie pamiętasz mojego listu do Ciebie i do Mamy - to źle. To znaczy - co uświadomiłem sobie z przerażeniem, że pozostałaś takim samym dzieckiem, jakim byłaś w dniu naszego poznania, w dniach Kazimierza, w dniu mojego rozstania - kochanym, mądrym, zupełnie niedojrzałym, a w żadnym wypadku nie zasługującym na nieszczęście małżeństwa z kimś takim jak ja. Nie zapomnij, kochanie, że ja jestem bankrutem; i to może nie dlatego, że jestem tutaj - tylko dlatego, że się w życiu minąłem ze swoim powołaniem, z czego zdawałem sobie sprawę jeszcze w Polsce, o ile pamiętasz, a co Ty zawsze traktowałaś jako pozę a la Dean. Odnoszę wrażenie - na zasadzie tego cytatu, w którym wybaczasz mi moje winy nie popełnione - że jednak z nas dwojga - Ty jesteś głupsza. Co nie zmniejsza mojej do Ciebie miłości. Jeśli uda mi się wrócić - wezmę się za coś innego. Wiem już zresztą za co.

Nie pisz mi nigdy, że się gniewasz. Jeśli nie gniewasz się - to znaczy, że nie kochasz. A jeśli nie kochasz - to znaczy, że mogę zaprzestać swoich wizyt w konsulacie, gdzie ciągle nie wiedzą, gdzie ciągle nie ma żadnego konkretnego, gdzie nie urzęduje w tej chwili konsul Tomczyk. Sprawą małżeństwa na odległość zainteresuję się jeszcze, bo ja tu nic nie jestem w stanie wskórać. Zdjęcie z Mazur jest bardzo ładne; czas pracuje wyraźnie na Twoją korzyść, podczas gdy nie mogę powiedzieć tego o sobie. Jestem gruby, tęgi, w pracy mówią o mnie «Whisky» albo «Dżindzi», co znaczy - biały, rudy, płowy. Chcę zresztą zmienić tę pracę. Może pojedę na południe, może na północ do Gór Galilu; tu się po prostu staje na drodze - a przypadkowy samochód wiezie Cię w nowe miejsce. W ten sposób zwiedziłem ten kraj.

Pisz do mnie, kochana. Pisz do mnie jak najczęściej. Każdy list od Ciebie to parę dni spokoju, miłości, to lepsze noce, mniej brandy. Nie wiem, co jeszcze napisać. Pamiętaj, nie pisz mi głupot, które burzą mi tę jedyną rzecz, w którą chcę wierzyć, która jest mi potrzebna, z której nie chcę zrezygnować; tej jedynej rzeczy, której nie dopełniłaś i której żałuję. Całuję

Ciebie - tak mocno i czule, jak tylko potrafię. Jak mi tylko ten skurwysyn odda forszę - zaraz Wam wykombinuję coś ładnego. Wasz Marek".

Rozpędowski był poruszony, zły i zawstydzony jednocześnie: „Tutaj były kłamstewka, i kłamstwa wobec dziewczyny, która, jak wynikało z tekstu, kochała go i spodziewała się małżeństwa, a ten łobuz - gryzło go - tutaj pozuje, udaje świętego, ubiera się w płaszcz obrazonego". Rozpędowski zachował list. Przypomniał sobie o nim w Monachium trzynaście lat później, w 1972 roku, kiedy RWK chciało coś zamieścić o Hłasce z okazji trzeciej rocznicy jego śmierci. List ukazał się w miesięczniku Rozgłośni Polskiej RWK „Na antenie". Rozpędowski nie wiedział, że kopię z datą 12 października 1959 roku otrzymała Agnieszka Osiecka. W dopisku Marek przeproszał ją, że pisze przez kalkę. Tłumaczył to tym, że miał słabą taśmę.

Przed obojgiem grał. Przed Agnieszką, ponieważ chciał wierzyć w mit miłości, który sam stworzył, a przed Rozpędowskim dlatego, że ten zbyt dużo o nim wiedział. Henryk radził mu cynicznie; Jeśli tu masz się skończyć, a w kraju będziesz pisał, jeśli taka jest cena twojej twórczości – zapłać ją bez zmużenia powiek. Uklęknij przed nimi, proś i dziękuj. Będziesz świnią, ale ludzie w kraju ci wybaczą". Na co Marek się obruszył: „Pieprzysz jak ambasador Bida".

Na takie upodlenie by nie poszedł. Pisał Agnieszce Osieckiej: „Mówią Ci, że to «ode mnie zależy», a Ty pytasz mnie, co to znaczy. Mogę Ci tylko odpisać, że tutaj mi mówią, że wszystko zależy od Warszawy. I tak dalej". Planowali więc zawarcie ślubu per procura. Marek napisał w związku z tym list do Henryka Berezy, bliskiego sobie człowieka w Polsce, by „wziął ślub w jego imieniu". W polskim konsulacie dowiedział się, że „w zasadzie nie ma przeszkód". Ale wkrótce pojawiły się „komplikacje biurokratyczne", choćby takie, że Marek musiałby dostarczyć „świadczenie o braku przeszkód prawnych. Że nie ma żony itd.". Poirytowany pytał Agnieszki: „Kto - według Ciebie - ma mi to świadectwo wystawić? Ben Gurion? Frank Sinatra? Czy może barman w mojej knajpie? Przecież ja nie jestem niczym obywatelem i tylko w razie przestępstwa podlegam jurysdykcji tego kraju, na którego terenie się znajduję". Wyczuwał, że jest już zmęczona, zniechęcona. I prosił: „Ciągnijmy to do końca".

Tego samego dnia napisał do matki: „Boli mnie sprawa Agnieszki, gdyż czuję, że jej wytrzymałość nerwowa jest na ukończeniu. Jeśli możesz zrobić dla niej coś dobrego - zrób to. Chcę ciągle załatwić sprawę tego zasranego ślubu na odległość, ale to trwa i trwa, (...) boję się o tę małą jak nie wiem co".

Sam też tracił optymizm: „Przypomniałem sobie taki wieczór, kiedy byłaś z nią (ciotką - Ami Novarro z domu Borowską - B.S.) u siebie na Saskiej Kępie, a ja ci powiedziałem: «Zostań ze mną», ale Ty nie mogłaś, bo się śpieszyłaś do swojego teatrzyku, a ja Ci powiedziałem: «Zobaczysz, że kiedyś będzie za późno i że te kukły nas rozdziela». Ale Ty się roześmiałaś perlistym śmiechem i powiedziałaś, że bredzę. I co teraz?... Co będzie, jeśli ja rzeczywiście zdechnę i nie zobaczę Cię już? Może by było lepiej dla Ciebie, żebyś się zakochała i zapomniała o mnie? Może mnie już nie kochasz, może Ci się to tylko zdaje?". Ale miesiąc później powtarzał: „Nie dajmy się zwariować, (...) jeszcze będziesz mówić: «Życie mi zламаłaś, łobuzie, gdyby nie to, że za Ciebie wysłałam... itd.». Nie dajmy się zwariować".

Agnieszka przepisała to zdanie wielkimi literami na kartce i powiesiła na ścianie. Kartka pozołkła, ale jeszcze długo wisiła. Aż w końcu „coraz rzadziej do mnie pisał" - powiedziała. „Może zaczął oswajać się z myślą, iż ten jego pobyt w Izraelu może potrwać jeszcze sporo. No, a później przyjechała tam Sonia...".

Agnieszka z Markiem spotkali się dopiero w kwietniu 1968 roku w Los Angeles. Osiecka odbywała podróż stypendialną po Ameryce. Bała się tego spotkania, tyle się w ich życiu zmieniło. Zygmunt Hertz „dziękował Opatrzności, że jego Agnieszkę ominęło szczęście w sensie małżeństwa z Markiem. Udało się jej znakomicie". I mówił o niej: „Ta mała zrobiła

się wielka dama: jest szefem komórki w radiu do lansowania piosenek - czytałem wielki artykuł na temat komórki i wielkie pochwały na temat małej". Była autorką słynnych przebojów, jak choćby „Okularnicy". Marek udawał starego, zmęczonego życiem lotnika. Z Los Angeles Osiecka pojechała do Santa Fe, stamtąd postanowiła zadzwonić do Marka. „I stał się jakiś taki dziwny przypadek telefoniczny, że w tym samym momencie Marek do mnie zadzwonił, i ja coś zaczęłam strasznie pleść, a on mówi: „Posłuchaj, ja bardzo lubię, jak...» - już nie pamiętam, jakim językiem on to powiedział, w każdym razie dał mi do zrozumienia, że ja bardzo szeroko gadam za jego pieniądze. Ja mówię: «Marek, ja ci niczego nie chcę wymawiać, ale to jest rozmowa za moje pieniądze»». A on powiada: <<Panno „Czaczkes", ja naprawdę mam gest, ale przed chwilą zamawiałem rozmowę i to jest rozmowa za moje pieniądze»». I tak kłócąc się o te pieniądze, rozmawialiśmy ostatni raz w życiu". Kozuch, który od niego dostała, nosiła jakiś czas, ale bez paska. Potem ktoś go pożyczył, nie oddał i kozuch zniknął. Została jej po Marku maszyna do pisania. Stała na biurku Agnieszki do końca jej życia. I została jego korespondencja. „Czytając takie czułe kartki czy listy i kolekcjonując jak koraliki słowo «kocham», można by powiedzieć, że adresatka odegrała jakąś rolę w życiu piszącego człowieka. Ale ja to czuję, ja to czuję, że ja żadnej roli w życiu Marka nie odegrałam. On właściwie pisał «miłość», a myślał... czystość chyba, czystość, godność, miłość, prawda. I on to pakował do tego samego worka pod tytułem «mi loso»». Marek już nie żył, nie żył jej ojciec, wtedy napisała wiersz, któremu dała tytuł „Konieczny".

...tak, że ja w końcu wiersze piszę.  
Wiem, że nie chciałeś tego, tato.  
Ty wszystkie znałeś klawisze...  
Nie pomogło. I dzięki ci za to. ...  
to samo przyszło. Z niekochania. Czy z kabaretu.  
Jak w serce igłą. Nie. Na to nie ma biletów. ...  
tak, że ja w końcu z Polską jestem.  
Wiem, żeś nie tego dla mnie chciał.  
Cóż, są adresy gorsze jeszcze.  
I jest aut.  
...ja bym i do was napisała,  
gdyby to pisać było można...  
Nie, ja nie jestem nieśmiała.  
Tylko ostrożna.  
Pozdrów tam babkę, chłopców, dzieci,  
Wytłumacz, jeżeli trzeba.  
Z was także nie Wszyscy święci.  
Chcesz? To nakruszę Ci chleba  
z Moim wyborem się pogódź

Wiem, że go dla mnie nie chciałeś.  
Dopiero śmierć jak powódź  
na jednej zbiła was skale.  
Miał bardzo dużą chęć do wódki.  
Znał bary w Piszach i Padwach.  
Lecz piją, tato, ludzie smutni.  
Prawda?  
Niekiedy wilkiem się przezywał.  
Lecz wilkiem nie był. Raczej chciał być.  
Gdy cały naród raźnie śpiewał,

wolał zawyć.  
Ja, jeśli o mnie chodzi,  
nie przyszyłam mu nawet guzika.  
Siedzi gdzieś we mnie leń czy złodziej  
O duszy kłusownika. ...  
żył tu więc chłopiec jak wędrująca gwiazda.  
Calutkiej on Europie pokazał minę błazna.  
Talentu nam zostawił  
zaledwie kruchy okruch.  
Jak gdyby tu, w Warszawie,  
ten talent ktoś mu otruł.  
...pamiętasz, jak nam było wstyd?  
On tułał się jak prosty Żyd.  
On, co mógł chodzić w amarantach,  
to tu, to tam wystawiał łeb.  
Dajże mu wódki,  
daj na chleb.  
...na plażach, gdzie dojrzewa krab,  
w kraiku, co się trzyma map  
jak mucha tarczy,  
zostawił garść najświętszych słów -  
I to wystarczy.  
Mnie - jak niewiele świat ten ziścił!  
Wy obaj, piękni egoiści,  
gdzieś wśród nie-dróg, nie-łąk, nie-liści,  
a ja-  
pół pisarz i pół wół.  
Niepełne serce, pełen stół.  
Ty miałeś długie życie, tata,  
on ma dwa groby we dwóch światach.  
Ma dwa groby, ale nie w domu,  
Przebacz, jak dobremu komu,  
Cóż ja wam winna? - Dwa różańce.  
Ferajna tańczy i ja tańczę.

Marek mówił odwrotnie: „Ferajna tańczy, ja nie tańczę”. Lubił te słowa z „Balu na Gnojnej” i często je powtarzał. „Gdyby wrócił, pewnie byśmy wzięli ślub. Ojciec, jak zwykle gdy był zdenerwowany, potupałby nogami, a w końcu by się zgodził. W tej miłości przeszkodził nam nie tatuś, tylko Gomułka. Wyrządził nam wielką krzywdę, bo nie dał nam szansy nawet się sprawdzić. Pewnie byśmy się rozwiedli... Chyba nie bardzo sprawdzam się w życiu z kimś drugim” - wyznała Osiecka.

Kiedy studiowała na Wydziale Reżyserii w Szkole Filmowej w Łodzi, poznała Wojtkę Frykowskiego. Ale wtedy jeszcze kochała Marka albo - jak oceniła po latach „czuła do niego czułość”, w każdym razie wtedy bardzo pragnęła z nim być. A on jej radził: „Bądź spokojna i ucz się”. Nie był zadowolony, że odbywała praktykę u Andrzeja Wajdy. „(...) Lepiej by było, gdybyś mogła pójść do Wojtka Hasa, bo on jest bardziej autentyczny, grubo zdolniejszy, zupełnie niezoportuniałny i bliski mojemu sercu”.

Marek jednak w pewnym momencie przestał się odzywać, a Wojtek miał coś z jego sposobu bycia. Krzysztof Kąkolewski opisał go w „Jak umierają nieśmiertelni”: „Dokonał on osobliwego zaszczepienia (...) stylu życia, który stworzył Marek Hłasko. W tych czasach Marek nie słyszał nawet o Wojtku, ale on wierzył w niego i marzył, żeby go spotkać”. Doszło

do tego kilka lat później w Paryżu. Ale najpierw spotkał jego narzeczoną. Wziął od niej kozuch, który dostała od Marka, i „chodził w nim, jakby chcąc nawiązać kontakt ze swoim mistrzem życia. Przebrany za człowieka, którego podziwiał, jakby wszedłszy w jego skórę, pokochał tę samą osobę. Cichy ślub odbył się w Zakopanem. Świadkami byli: Bogumił Kobiela i Krzysztof Komeda". Panna młoda wystąpiła w ciemnej sukni, pan młody w smokingu, za to z nogą w gipsie, a świadkowie w swetrach. Wszyscy „na lekkim gazie". Wojtka rozpieściła ambicja. Jak powiedziała Agnieszka, planował - zamiast pracy - gangsterski skok w sztuce. Pomyślał, że mógłby zostać scenarzystą. Może by i został, gdyby tego dnia, kiedy miał rozmawiać w zespole filmowym na temat poprawek, nie padał deszcz i gdyby nadjechała taksówka. Ale nie nadjeżdżała, a deszcz padał, więc Wojtek zrezygnował. „Ciężar nobiletacji artystycznej Wojtka spadał na żonę, on zdawał się tego nie dostrzegać jako drobiazgu bez znaczenia. Równocześnie drażniła go jej praca, «jakieś staranie się, praca mrówek» - wrzeszczał, kiedy na podłodze salonu montowała widowisko składające się z piosenek. Wojtek przebiegł po piosenkach, a potem skopał je".

Krótko ze sobą wytrzymali. Wojtek wyjechał szukać swoich marzeń do Ameryki i tam zginął z rąk bandy Mansona razem ze swą następną żoną i Sharon Tate, żoną Romana Polańskiego.

A Agnieszka szukała wielkiego uczucia. „Poczuła, że może zabić z miłości, i najpierw chciała zabić swoją matkę, która nie nauczyła jej, jak być kochaną, a potem ojca, który nie nauczył jej kochać, a potem samą siebie, a potem... można już było pisać wiersze". Kręciła się po świecie z niepokoju serca. Nagle ni to proponowała, ni oznajmiała: „Jedziemy do Londynu!". I wsiadały z Marylą Rodowicz do samolotu. „Agnieszka miała w Anglii ciotkę hrabiankę, znajomych pochodzących z arystokracji przedwojennej, poetów angielskich mieszkających w wiejskich posiadłościach. Oscylowała między pałacami a skromnymi domami intelektualistów. Mawiała: «Umiem zjeść z porcelany i z gazety»". I potrafiła się zakumplować z pijakiem spod mostu.

Była ciągle, „proszę pana, na zakręcie, choć gdyby chciała - by się urządziła...

Wystarczy, żeby była miła.

Pan był także, proszę pana, na zakręcie.

Dziś pan dostrzega, proszę pana, te realia.

I pan haruje, proszę pana, jak ten wół.

A moje życie się kolebie niczym balia".

Zakochała się w Panu Jesionce. Znajomi mówili: „Kto to? Co to? Nawet nie przystojny, stuprocentowa jesionka". A ona oszalała na jego punkcie. Krótko. A za chwilę „znowu była, proszę pana, na zakręcie".

Miała swoją definicję szczęścia: „Ten, kto znalazł się w porcie o świcie jeden jedyny raz i raz się szaleńczo ucieszył, to jest człowiek, któremu się udało. Na drugi raz powie: «Eee, co ja tam będę chodził do portu nad ranem! Już to widziałem>>». Ale człowiek, który chodzi na brzeg codziennie i za każdym razem jest olśniony, to jest człowiek szczęśliwy".

Ale nie była do takiego szczęścia zdolna. Potrzebny był jej jeszcze tylko „czuły mężczyzna, dobre dziecko i mały kotek. I to okazało się najtrudniejsze". Nie napisze około dwu tysięcy wierszy, kilku książek... To było łatwe, przychodziło samo, w kawiarni na skrawku serwetki, w łóżku o rannej porze, przy biurku.

Chciałaby umieć usmażyć naleśniki, ale ojciec urządził ją tak, jak urządził, że nie wolno jej było wejść do kuchni. No i kiedy urodziła córkę, patrzyła nieporadnie, jak mała płacze, a mąż, Daniel Passent, przewijał, przecierał zupki, niańczył. A pewnego dnia wyszła z domu i tylko zadzwoniła, że nie wraca. „Mam miłość - powiedziała koleżankom - mogłabym go gładzić po głowie". I pisała dla niego „Listy śpiewające". Była dochodzącą mamą. Córka



ją zniecierpliwiała. Po kilku latach między matką a Agatą „jakoś się ułożyło”, spotykały się prawie codziennie, mama woziła ją do Paryża, Wenecji... i traktowała jak „jednostkę autonomiczną”, nic nie narzucając. A tata kazał się uczyć i składać w kostkę ciuchy.

Osiecka wyjeżdżała za granicę nawet wtedy, kiedy nie wypuszczano nikogo, kto nie był związany z reżymem. Przy okazji przewoziła zakazane maszynopisy i książki, na przykład do paryskiej „Kultury” i stamtąd do kraju. Odkąd wyszła za Passenta, Zygmunt Hertz już nie mówił o niej „moja Agnieszka”, tylko „pani Passentowa”. Jeszcze w 1968 roku była dla Herta „facetką, którą można pokazać: jest błyskotliwa, dowcipna, złośliwa, skończyła, jakby nie było, trzy wydziały: polonistykę, dziennikarstwo i szkołę filmową”. Ale już w 1970 roku Hertz doszedł do wniosku, że „rozmaite Agnieszki są tak błyszczące, bo siedzą w czarnym narodowym tle. W moim okresie rosyjskim - w wilczych czasach i wilczych stosunkach międzyludzkich, kiedy wszyscy byli głodni, facet, który pomógł, dał chleb czy podarował igłę do cerowania, (...) wyrastał na wspaniałego faceta. Tak i tu - na tle tego całego smrodu kilku ludzi o ludzkich odruchach urasta do bohaterów powieści dla młodzieży”. Z czasem oceny Herta przybierały na ostrości, o tych samych osobach mówił jako o ludziach, „którymi dyrygują mieszkaniem, wystawieniem sztuki, akceptowaniem tekstu do TV czy piosenki. Chcesz zarabiać? Owszem, ale po naszej linii. Jak patrzę na to wszystko razem - kilkunastu nie zgodziło się na warunki, ale warszawski Związek Literatów miał rok czy dwa lata temu około 700 członków. Pokupowali porządnych ludzi - Jarek, (Jarecki Andrzej, jeden z twórców STS-u), Osiecka, z ludzi, których znam dobrze - myślę, że opłacają się KOR-owi, żeby mieć czyste sumienie”.

Osiecka suma wiedziała, że „przyzwoitość nakazywałaby być bardziej opozycyjną”. Tłumaczyła się: „Jestem strasznym tchórzem, wszystko bym podpisała, żeby mnie nie bili”. A zamiast walczyć pisała: „Pijmy wino za kolegów”. Ale też chodziła na imieniny do Mieczysława Rakowskiego. Do Czesława Kiszczaka poszła, by wstawić się za znajomym poetą. Kiszczak powiedział: „Coś za coś” i zażądał kasety z jej piosenkami, a poetę zwolnił z Interny. W przypadku Michnika jej się jednak nie udało. Niektórzy oskarżali ją o nihilizm, brak ideowości, kolaborację... ale większość jednak wszystko Osieckiej wybaczała i nadal mruczała przeboje z jej tekstami. Nie chcieli prawdy o niej, woleli jej twórczość.

Dla Agnieszki liczyli się tylko mężczyźni. Kobiety miały u niej „swoje pięć minut”. Przez następne czternaście lat kochała „jak potępieniec” pewnego Zbyszka. Zbyszek ją rzucił, ale gdyby wrócił i poprosił, aby go zawiozła do Uzbekistanu, nawet by się nie wahała.

Mając więcej przyjaciół niż inni znajomych, czuła się samotna. W trakcie najlepszej zabawy nagle milkła, posepniiała, myślami była gdzieś tam... albo zniknęła, nie mówiąc, dokąd idzie. Przyjaźniła się z coraz młodszymi, bo ludzie w jej wieku mówili już tylko o chorobach i o śmierci. I coraz częściej zachodziła do baru „Sax” na Francuskiej, przystani dziwnych ludzi, od szewca po artystę, których łączyło to, że wszyscy pili. Przyszedł czas, że zjawiała się tam o ósmej rano, siadała na „swoim” krześle i zamawiała na początek „Dżin dobry”, czyli dżin z tonikiem. W barze „Expresso” przy rondzie Waszyngtona wysypywała zawartość torebki na stół, mówiąc: „To dla was. Bawmy się, póki pora”. Propozycję odwyku kwitowała krótko: „W życiu”. Dopiero kiedy dowiedziała się, że jest chora, przestała pić. Do końca wierzyła, że zdoła pokonać tę „miss wykidajło”. Ostatnie słowa, jakie wymówiła, nim zniknęła na zawsze, to: „Do dupy”. Wcześniej zdążyła napisać:

„Jacyśmy byli, przyjaciele moi, (...)  
czy nas pamięta jeszcze kto?  
Czy nas legenda pięknie przystroi,  
czy popłyniemy gdzieś na dno?  
Myśmy żyli jak na wietrze,  
myśmy żyli niezbyt grzecznie,

myśmy żyli niebezpiecznie,  
ale jak!  
Co się nażyłam, to się nażyłam,  
co nawarzyłam, to nawarzyłam,  
co naprawiłam, to moje!  
Co zapłaciłam, to zapłaciłam,  
co przebaczyłam, to przebaczyłam,  
a co pamiętam - to moje".

## MIŁOŚĆ JAK SMAK WHISKY

Luise Schaffer pewnie wyszłaby za chłopaka, z którym była zaręczona, bo to był bardzo miły chłopak. Jej rodzice go lubili i dobrze znali, gdyż wychował się w sąsiedztwie; tak jak Luise, w Longmeadow w Massachusetts. Mieszkaliby w małym miasteczku, gdzie matka narzeczonego wybudowała dla nich dom. Chłopak pracowałby w fabryce teścia. Dziś pewnie byłby jej właścicielem. Mieliby już inny, wielki dom, mnóstwo pieniędzy, podróżowaliby po świecie, mieliby kilkoro dzieci...

Tak by pewnie było, gdyby w 1959 roku Luise nie została zaraz po śmierci ojca wysłana na trzymiesięczne wakacje do rodziny w Izraelu. Jej rodzice pochodzili z polskich Żydów, którzy pod koniec ubiegłego stulecia wyjechali do Ameryki. W Tel Awiwie zaś mieszkali kuzyni, którzy uciekli tam od wspomnień i Holocaustu. Wytatuowane na przedramionach numery obozowe przyprawiały niespełna osiemnastoletnią Luise o dreszcze. A ona w odległym kraju miała zapomnieć o smutku po stracie ojca.

Do południa pracowała w agencji turystycznej, a popołudniami chodziła z izraelskimi koleżankami na plażę w dole ulicy Hayaarkon, przy hotelu Dan. Na tej samej plaży przesiadywał osławiony Marek Hłasko, który - mimo czterdziestostopniowych upałów - spacerował po Tel Awiwie w czerni. Chyba nie było dziewczyny, która by się za nim nie obejrzała i nie podkochiwała w nim. Szukały go same. Miał urodę filmowego amanta: wysoki, szczupły, opalony, z rozjaśnionymi przez morską wodę i słońce włosami, zielonymi oczami. Robił wśród kobiet dużo zamieszania. Ale nie tylko uroda go wyróżniała. Również w Izraelu miał sławę wielkiego pisarza, buntownika i awanturnika. Gan-Szmuel, kierownik kibucu, opowiadał Monice Żeromskiej, że najpierw zjawił się u niego Janek Rojewski. Zaczął pracować, dostał mieszkanie, ubrania i książki. Gan-Szmuel dał mu obrazek na ścianę i nawet sam wbił gwóźdź, „a potem nagle Hłasko zjawił się w kibucu, pijany, z Biblią w rękę, z korowodem korespondentów «Life», «Time», «L`Express» i innych; telefony się urywały, warszawskie podniecone Żydówki zalewały kibuc, transporty alkoholu nadchodziły bezustannie, a Hłasko i Rojewski siedzieli zamknięci w pokoju i chlali. Normalne, poważne, pracowite życie kibucu przewróciło się do góry nogami i Szlomo wyrzucił ich obu. Obsmarowali go za to w gazetach". (wg. Moniki Żeromskiej w „Wspomnienia i podróże”)

Nieco inaczej epizod z kibucu przedstawiała Franciszka Toruńczyk w londyńskim „Tygodniu Polskim”. Pisała ona, że kierownik kibucu, „widząc nie kończące się pielgrzymki dziennikarzy z prasy wszelkich odcieni, odwiedzające pisarza, przekonał się o jego rozgłosie i doszedł widocznie do przekonania, że pobyt Hłaski może zaszkodzić jego partii (lewicowej Mapam - B.S.) w oczach Warszawy i Moskwy, wymówił mu gościnę”.

A sam Hłasko, zapytany przez dziennikarzy, jak żyje w Izraelu, odpowiedział - jak zwykle - cynicznie: „Żłopię i kurwię”.

W Izraelu był ozdobą towarzystwa, zwłaszcza w kręgach polskiej emigracji. „Wszyscy chcieli się z nim fotografować jak z niedźwiedziem” - mówił Władysław

Tubielewicz, który przebywał w tym samym czasie w Tel Awiwie. Marek wracał z plaży późnym popołudniem, a wieczorem „albo szedł do bab, albo był gdzieś zapraszany”.

Na plaży przesiadywał zawsze w towarzystwie, najczęściej męskim. Palił nieodłącznego papierosa, bawiąc się jego dymem.

Luise z koleżankami nie spuszczały z niego oczu. Tak się złożyło, że pewnego dnia Luise zjawiła się na plaży sama. Nieco dalej siedział on, „piękny, gwałtowny mężczyzna, jakiego dotąd nie spotkała”. Kiedy na nią spojrział i uśmiechnął się, zapomniała, że wokół są inni ludzie, nie słyszała krzyku bawiących się dzieci i nawoływań arabskich lodziarzy; widziała tylko Marka. Był z nim drugi mężczyzna. A potem wszyscy troje znaleźli się w brzydkim pokoju hotelu Hess, gdzie stało tylko metalowe łóżko i drewniany stół. W tym hotelu zatrzymywali się biedacy, wpadali tam także mężczyźni z prostytutkami. Przez jakiś czas hotel Hess był domem dla Marka i jego kamrata „Dyzia”, czyli Władysława Tubielewicza. „Dyzio”, jako semitolog, przebywał w Izraelu na stypendium i to on opłacał pokój. Marek był wtedy bez grosza. Czekał na pieniądze od wydawców. Żył na kredyt. „Jednorazowo brał tylko pięć dolarów, więcej za żadne skarby, i wszystko oddawał. Był bardzo honorowy” - mówił Tubielewicz.

W hotelu Luise patrzyła, jak mężczyźni piją brandy - sama wtedy jeszcze alkoholu nie tykała - i słuchała Marka, który nie przestawał opowiadać o Dostojewskim. „Dostojewski i Dostojewski”, a Luise udawała, że wie, o kogo chodzi. Około szóstej po południu uznała, że czas się pożegnać. O tej godzinie jadła obiad z kuzynami. Wiedziała, że będą na nią czekali. Zamierzała wyjść, ale Marek złapał ją za rękę, mówiąc: „Nigdzie nie pójdziesz! Czyż nie wiesz, że czekałem na ciebie całe moje życie?!”.

Takie historie grzeczne dziewczyny z Massachusetts oglądały tylko na filmach. Tymczasem Luise przeżywała to na jawie. Wszystko było jak w starym westernie: obskurny hotel, mężczyzna o urodzie gwiazdora i temperamentie pozytywnego bohatera-kowboja; oschłego, czasem cynicznego, czasem brutalnego, ale pod tą powłoką zawsze dobrego, czułego aż do granicy sentymentalizmu.

Nieco skrepowana sytuacją Luise powiedziała, że jest głodna, poszli więc we trójkę do kawiarni. Mężczyźni zamówili dla siebie koniak, a dla niej kanapkę i coca-colę. Robiło się późno i Luise była coraz bardziej zdenerwowana. Bez słowa skierowała się ku drzwiom, jakby przewidując to, co się za chwilę stanie: Marek ponownie chwycił ją za rękę, nie pozwalając wyjść. Zareagował właściciel kawiarni, mówiąc: „Puść ją, to porządna dziewczyna z dobrego domu, nie dla ciebie”. Wtedy Marek wymierzył mu cios w twarz, aż tamten upadł. Lubił się wdawać w awantury, ale - jak mówił Tubielewicz - tylko drobne, wielkich unikał, tak jak omijał silniejszych od siebie. Zdarzało się jednak, że źle ocenił przeciwnika. Kiedyś przedstawiono mu oficera armii izraelskiej. Hłasko, nie odwracając w jego kierunku głowy, rzekł: „Ja pierdolę oficerów izraelskich”. Silne uderzenie wojskowego rzuciło Marka na drugi koniec sali. Kiedy wstał, otrzepał się, podszedł do przeciwnika z wyciągniętą ręką i ze słowami: „Teraz wiem, że jesteś oficerem izraelskiej armii”. I zostali dobrymi znajomymi. W bójce z powodu Luise skapitulował właściciel kawiarni. Jej natomiast wydawało się, że bierze udział w dalszej części przygodowego filmu. Jeszcze bardziej zachwyciła się bohaterem-rozbójnikiem. A może już wtedy zakochała się w nim.

Była dziewiąta, kiedy z „Dyziem” odprowadzili ją do domu. Pod drzwiami Marek padł przed nią na kolana, prosząc: „Bądź jutro przed dwunastą na plaży!”.

Była oczywiście, następnego dnia i przez wiele kolejnych. Nic by jej nie powstrzymało. Szybko nauczyła się kłamać. Musiała, jej opiekunowie nie godzili się na spotkania niewinnej dziewczyny z mężczyzną o reputacji pijaka i rozpustnika, choć także wielkiego pisarza. W kłamstwie posłużyła się znajomym Izraelczykiem, niewiele od niej starszym Hardofem. Oficjalnie to Hardof był jej chłopakiem, to on prowadził ją na tańce, do

kawiarni. Ale kiedy tylko Marek mógł lub chciał się z nią widzieć, biegła do niego, a Hardof poświadczał przed kuzynami... nieprawdę.

Marek wprowadził Luise w grono swoich znajomych: „Dyzia”, Janka Rojewskiego, Stasia Mroczkowskiego, Jurka Pressa... Dziwili się, co on w niej widzi. Luise wiedziała o nich tyle, co naopowiadał jej Marek - że w czasie drugiej wojny światowej wszyscy należeli do polskiej partyzantki. Byli z tego bardzo dumni. Marek nosił na nadgarstku skórzaną opaskę, twierdząc, że to z powodu rany, którą otrzymał podczas walk. Luise wierzyła tym opowieściom jeszcze długie lata. W Izraelu dziwiła się tylko, że „Dyzio”, który - jak twierdził - pracował w polskim konsulacie, całe dni przesiaduje na plaży, jakby jego zadaniem było dotrzymanie towarzystwa Markowi.

Na plaży zbierało się około piętnastu, dwudziestu emigrantów z Polski. Mogli się odezwać do Luise tylko za przyzwoleniem Marka. Nieposłuszni dostawali w zęby. Między sobą zebrani mówili po polsku, a Luise z ich zachowania wywnioskowała, że snują sekretne plany przewrotu politycznego w Polsce. W tym gronie Marek był „królem”, przywódcą i to on prowadził zebrania, rozpoczynając je prelekcją. Odmawiał wystąpienia, jeśli nie było przy nim Luise i nie trzymał jej za rękę. Zdarzało się, że „Dyzio” - choć ona zajęta była na przykład rozmową ze znajomą - przybiegał i błagał, by przyszła, bo bez niej Marek nie chce prowadzić zebrania. Nie do końca wierzyła w tę ich konspirację, ale w sierpniu 1959 roku „Dyzio” został odwołany do Polski, a niedługo potem Marek powiedział jej, że „Dyzia” znaleziono na ulicy w Warszawie zastrzelonego. Wtedy uwierzyła, że to tajne służby się na nim zemściły. Dopiero trzydzieści trzy lata później odkryła przypadkiem prawdę: „Dyzio”, czyli Władysław Tubielewicz, żył w najlepsze i pracował jako profesor hebraistyki na Uniwersytecie Warszawskim. A Marek - gdy skończyła się wojna - miał jedenaście lat i cały czas opiekowała się nim matka. Partyzantkę poznał z powojennych filmów. To wcale Luise nie zbiło z tropu, odparła: „Jakie to ma znaczenie, że jego historie, których tyle mi opowiadał, nie były całkiem prawdziwe. Ważne, że były prawdziwe duchowo. Marek był artystą, więc te opowieści nabierały w jego umyśle prawdy. Prawda, jeśli w ogóle coś takiego istnieje, jest bardzo często nudna. Uwielbiałam jego opowieści”.

Lubiła również „Dyzia”, bo był dla niej opiekuńczy. Marek, który ulegał jego wpływom, też go bardzo lubił. „Dyzio” mógł nawet sprawić, że Marek nie pił. Tyle że „Dyzio” sam nie gardził alkoholem. Monika Żeromska wspominała: „Rano czeka na mnie ten od Hłaski i literatury arabskiej i hebrajskiej. Jakoś mi on nie wygląda na naukowca, raczej na żuła, stanowczo z Hłaską postanowili wykorzystać mój pobyt tu. Jadę z nimi do posła Bidy w sprawie powrotu Hłaski do kraju. Ale oni sobie tu starannie i dokładnie popsuli opinię. (...) Rano przy śniadaniu badacz literatur i przyjaciel Hłaski, który widać nie rezygnuje jeszcze z ewentualnych korzyści, a przynajmniej ze śniadania na mój koszt, buja mnie jak może, a ja jego... ja za te jego śniadania nie płacę, zwłaszcza że on pija na pierwsze bardzo drogi koniak”.

Luise mówi, że Marek pił, to prawda, i po pijanemu był gwałtowny, zaczepny, ale Luise już wtedy rozumiała, że to jego picie i gwałtowność to nie cecha jego charakteru, tylko rodzaj filozofii; „sposób konfrontacji z beznadziejnością życia”. Bo знаła Marka również innego: czułego, wrażliwego, zagubionego i oczekującego jakiegoś cudu, który by go ochronił przed samym sobą, przed samodestrukcją, w którą brnął. „Dlaczego tak idiotycznie dzieje się w moim przypadku? Tak samo chciałem być szczęśliwy jak inni ludzie, a teraz często zapytuję sam siebie: Czego pragnę? Czy są takie rzeczy na świecie, o których bym marzył? I wiem dobrze, że nie ma niczego takiego, że obracam się w pustce i rozkładam ludzi - tych, którzy mi dobrze życzą, i tych, którzy umie lubią”. Takie pytania zadawał sobie już w Paryżu. W Izraelu odsonił się, kiedy siedzieli we dwoje z Luise nocą na opustoszałej plaży, bo nie mieli gdzie się podziać. Luise nie była dziewczyną, którą można było zabrać na

godzinę do taniego hotelu, a i Marek nie był tym, który chciał ją, dziewicę, tam zaprowadzić. Zrobił to tylko raz i skończyło się na gorzkim płaczu obojga.

Luise, mimo prawie osiemnastu lat, była jeszcze dzieckiem, które nie wiedziało, co to prawdziwe życie, co problemy. Miała wszystko, zawsze ktoś się o nią troszczył. Wtedy w Izraelu także była bogata, bo odziedziczyła fortunę po ojcu. Marek wiedział o tym. W „Drugim zabiciu psa” napisał, że głównym zajęciem bohatera - jego alter ego - było uwodzenie i wyciąganie pieniędzy od bogatej amerykańskiej dziewczyny. Ale to była tylko fikcja. Marek nigdy nawet nie napomknął Luise o pieniądzach. A mógł, dałaby, ile by tylko chciał i co by chciał. Nigdy z tego nie skorzystał. Luise proponowała mu: „Pobierzmy się, wyjedźmy do Stanów”. Wierzyła, że jej fortuna rozwiąże jego problemy, a uczucie wyleczy go z picia. Bo przecież nie pił dlatego, że musiał, tylko dlatego, że chciał. Odpowiedział: „Co ja bym tam robił w Ameryce, już raz odmówiono mi azylu, a zresztą, pisarz jest niczym bez ojczyzny. Ameryka jest najwspanialszym krajem na świecie dla zwykłego człowieka, ale dla twórcy jest koszmarem, ogromnym Disneylandem. Nie, najdroższa, nie mógłbym tam żyć. Jestem Polakiem i bez Polski nie mam o czym pisać”.

„W tym momencie Marek wyciągnął z kieszeni pistolet. Przeszył ją chłód. Marek zarepetował broń - cichy trzask zabrzmiał głośno niczym wystrzał. Marek wsunął pistolet w drobną dłoń Luise i zacisnął jej palce na kolbie. Ujął ją delikatnie za nadgarstek i zbliżył jej rękę do swoich ust.

- Chcę, żebyś zabiła mnie, a potem siebie - powiedział łagodnie. - Przeżyliśmy więcej w ciągu jednego dnia niż inni w ciągu całego życia. Niech inni znoszą mierność i absurd, upajają się iluzjami. Życie jest odmianą szaleństwa, ale dzięki śmierci możemy zniknąć i zawsze być razem, wolni. Łączy nas magia, której inni szukają całe życie, i nie jest ważne, że dziś umrzemy, bo żyliśmy naprawdę.

Luise nie odezwała się słowem. Marek czekał, przyglądając się jej czule, po czym spytał:

- Boisz się? Wolisz, żebym ja to zrobił?

Popatrzyła mu w oczy. Siła i gwałtowność Marka zawsze jej imponowały...

- Pociągnij za spust - powiedział...

- Czy nie możemy umrzeć jakoś mniej gwałtownie, może zażyć pastylki? - spytała nagle Luise zmienionym głosem...

- Żyłem gwałtownie - rzekł. - Byłem partyzantem. Tylko tchórze łykają pastylki, kiedy chcą umrzeć.

Luise wsunęła pistolet do reki Marka.

- Boję się - wyznała. Choć tak bardzo cię kocham, nie chcę umierać. Chcę żyć”;

Jest to fragment autobiograficznego opowiadania, które Luise napisała, kiedy sama była w takim stanie, że myślała o samobójstwie. Po wypadku samochodowym leżała sparaliżowana, bez nadziei na wyzdrowienie. I wtedy wróciły wspomnienia, z całą jaskrawością przeżyć. Przypomniała sobie, że wtedy na plaży w Tel Awiwie była gotowa umrzeć z Markiem, tylko w inny sposób.

Czy Marek Hłasko chciał rzeczywiście umrzeć, czy odgrywał przed nią kolejną scenę, tego się nie dowiemy nigdy. Ale jego zgorzknienie nie było fałszem. „Najważniejszy jest pomysł na życie - mówił Rozpędowskiemu. - Nie mamy pomysłu na życie”. Opowiadał mu o ryzykanckiej próbie sfingowania samobójstwa. Śmierć była obecna w jego myślach i w jego utworach. Śmierć i pesymizm. Bał się śmierci i prowokował ją. A może dlatego, że się bał, to prowokował, żeby się z nią zmierzyć? Ta myśl go prześladowała. Aż raz podzielił się nią z matką: „Uderzyła mnie jedna rzecz: śmierć Wilhelma (Macha - B.S.) nastąpiła w tym samym dniu, w którym odbyła się msza na moją intencję. Żeby to czasem nie była msza za dwóch nieboszczyków. Cha, cha, cha”. Maria Hłasko zamawiała mszę w intencji syna, ilekroć była w Częstochowie.

Tubielewicz twierdził, że w Izraelu Marek nosił przy sobie dwa rewolwery, na które miał pozwolenie. Uzyskanie pozwolenia nie było trudne, jeśli się nie miało teczki kryminalnej i nie było się alkoholikiem. Broń nosił również w Niemczech. Marek kupił rewolwer - zdaniem Rozpędowskiego - w Londynie. „Jak go przewiózł do Niemiec, jak udało mu się chodzić z nim po mieście i pokazywać go ludziom, nie mając licencji, zostanie jego tajemnicą”. W Londynie kupił też kremowy garnitur, kapelusz z szerokim rondem i kowbojskie buty. Strój włożył tylko raz, przejrzał się w lustrze, pospacerował po pokoju i włożył ubranie do szafy.

Po wakacjach Luise powróciła do Stanów już jako inna dziewczyna. Zerwała zaręczyny z narzeczonym z sąsiedztwa i odtąd wzdygała się na myśl o banalnym, mieszczańskim szczęściu, jakie miało być jej udziałem. Rozpoczęła studiowanie sztuk pięknych i - jak na prawdziwą artystkę przystało - wiodła nowe, wolne życie. Poznała wielu chłopców. Już nie była pewna, czy chce jeszcze kiedykolwiek spotkać tego mężczyznę, który bez zmruczenia oka wypija butelkę whisky, nosi rewolwer i pragnie za wcześnie umrzeć. Ale po roku, w maju 1960, ponownie przyjechała do Izraela i przeczytała w gazecie, że przybyła tam Sonia Ziemann, by poślubić Marka Hłaskę. Luise nie mogła uwierzyć doniesieniom prasy. Jeszcze rok temu Marek opowiadał jej, że kiedyś bardzo Sonię kochał, ale ona go zdradziła. Zapamiętała słowo „zdrada”, choćby dlatego, że w Ameryce prawie się go nie używa, a Marek często je powtarzał. Nie chciał Soni więcej widzieć. To ona, w co tak łatwo uwierzyła, rekompensowała mu tamtą porażkę - a tu taka niespodzianka! Kobięca zazdrość przywróciła dawne uczucie. Luise wyszła, żeby odszukać Marka, i zaraz się na niego natknęła, niedaleko hotelu Hess. Na palcu miał ślubną obrączkę, mimo to zapewniał ją, że nie jest żonaty. Powtórzył kilkakrotnie: „Znasz mnie. Nigdy nie poślubiłbym kobiety, która mnie kiedyś zdradziła”. Nie wiedziała, komu wierzyć, prasie czy człowiekowi, którego kochała, a może nadal kocha. Nie była pewna. Myślała, że Marek kłamie, bo chce, by z nim poszła. Ale kiedy minęło kilka tygodni, a on nadal był w Izraelu, podczas gdy Sonia dawno wyjechała, uwierzyła mu.

Hłasko mówił w zasadzie prawdę. Nie wzięli z Sonią ślubu, bo ksiądz nie chciał im go udzielić, ale złożyli przysięgę przed sobą. Odbyli podróż „poślubną” po Galilei i nałożyli obrączki. Właściwy ślub odbył się dopiero w Londynie w 1961 roku.

Tego lata Luise z Markiem nie spotykali się już każdego dnia jak rok temu, ale raz, dwa razy w tygodniu. W każdym razie, kiedy tylko Marek przyjeżdżał do Tel Awiwu. Czasem zostawał cały tydzień, a kiedy indziej nie było go kilka tygodni. Pracował wówczas jako kierowca ciężarówki w Galilei, żeby zarobić na życie. A Luise, po pierwszym szalonym lecie 1959 roku, podczas tych wakacji zainteresowana była również chłopcami, którzy lubili tańczyć i bawić się, a nie jedynie tym, który miał zamiar „obalać polski rząd”. Hardof i tym razem był zawsze pod ręką, zawsze w pobliżu.

Kiedy indziej Marek pojawiał się w Tel Awiwie i przysyłał jej przez kogoś karteczkę z wiadomością, że chciałby się z nią spotkać, biegła do niego. W tamtym czasie w Izraelu nie było telefonów. Luise uzbierała więc sporo karteczek. Miała też list, który Marek napisał do niej po tym, jak spotkała go z inną kobietą. Piękny, czuły list, pełen miłości. Wydawało się jej, że włożyła list w książkę Hłaski, ale go tam nie ma. Może się kiedyś odnajdzie.

Tę noc spędzali we czworo w kawiarni „Brooklyn Ice Cream Parlow”: Luise: Luise, Marek, przyjaciółka Luise - Elizabeth - i kolega Marka - Joseph. Właściciel kawiarni, który był dobrym znajomym Hłaski, zgodził się zamknąć lokal wcześniej, by dwu parom zakochanych nikt nie przeszkadzał. Marek z Luise zajęci byli sobą na zapleczu kawiarni, kiedy usłyszeli walenie do drzwi, a po chwili wtargnęli agenci izraelskiej służby bezpieczeństwa.

- Hłasko, pójdzie pan z nami - zwrócili się do Marka, a do Luise:

- Pani znajomy czeka na zewnątrz. Odprowadzi panią do domu.

Wykrzyknęła:

- Czy izraelska policja zawsze aresztuje ludzi za to, że się kochają? Jak możecie tak traktować żydowskie dziecko?

„Marek pogładził ją łagodnie po twarzy i pomógł jej wciągnąć różowy podkoszulek. Usiłował dodawać jej otuchy; sam był zupełnie spokojny. Dziewczynę dziwiło jego opanowanie, bo wiedziała, jaki potrafi być gwałtowny - czasami wystarczyło, że obcy mężczyzna tylko się do niej uśmiechnął. Ale teraz Marek bez oporu wyszedł z kawiarni z agentami, zupełnie jakby liczył się z tym, że po niego przyjdą”.

Na zewnątrz czekał Hardof. Aż do tej chwili nie domyślała się, że interesuje się nią tylko z powodu Marka.

- Pracujesz dla nich! - wykrzyknęła. - Przez cały ten czas, kiedy myślałam, że jesteś moim przyjacielem, ty po prostu miałeś mnie na oku, bo ci za to płacili!

- Musiałem cię śledzić, bo Hłasko wymykał się nam od tygodni. Takie miałem zadanie.

- Dlaczego chcieliście go złapać?

- Tego nie mogę ci powiedzieć.

Przynajmniej oficjalnie chodziło o incydent z prostytutką, która poprosiła o ogień. Luise twierdzi, że ośmiu agentów eskortowało Marka do samolotu. Zapytała Hardofa:

- Dlaczego aż tylu?

- Chcą mieć pewność, że on opuści kraj - odpowiedział.

Znajomi Marka mówią, że z tym wydaleniem Luise trochę pofantazjowała, bo gdyby tak było, to nie zostałby ponownie wpuszczony, a faktem jest, że wrócił do Izraela w kwietniu 1961 roku i został do sierpnia. Tym razem popłynął statkiem, zabierając ze sobą białe BMW, które dostał w prezencie od żony; zasobny finansowo, elegancko, modnie ubrany i ładnie przystrzyżony, Jakby chciał zrekompensować sobie samemu głodne, bezdomne, pełne upokorzeń miesiące między styczniem 1959 a sierpniem 1960 roku, które spędził w oczekiwaniu na zezwolenie powrotu do Polski, czego się zresztą nie doczekał. Jerzy Giedroyc dowiedział się swoimi kanałami, że „jest polecenie samego Gomułki, by dać, ale przytrzymać tak, by facet skruszał”.

Jednak Marek był gotowy wrócić „tylko na warunkach, które w żadnym wypadku nie obrażą jego dumy i w żadnej mierze nie uchybią jego godności”.

Luise wyjechała z Izraela niedługo po Marku. Nigdy więcej się nie widzieli. W połowie lat sześćdziesiątych Elizabeth, ta, która była z nimi w ostatnią noc w Tel Awiwie, a potem zamieszkała w Monachium, powiedziała jej: „Nie powinnaś nawet próbować go zobaczyć, bo niczym już nie przypomina tego uderzająco przystojnego mężczyzny z izraelskich czasów. Teraz jest gruby i ma na twarzy wątrobowe plamy”. Elizabeth widywała czasem Hłaskę na ulicy, często pijanego, ale nie zaczepiała go, on zaś jej nie poznawał albo nie chciał poznać. Powiedziała, że Sonia Ziemann wynajmuje apartamenty w tym samym hotelu, w którym w drodze do St. Anton zatrzymała się na kilka dni Luise ze swym aktualnym partnerem.

Luise chciała, mimo wszystko, zobaczyć swoją dawną miłość. W recepcji hotelowej zapytała, czy może rozmawiać z Markiem Hłasko. Powiedziano jej: „Nie”. Zapytała więc, czy mogą jej podać numer jego apartamentu, ale znowu powiedzieli: "Nie" i nie zaoferowali żadnej pomocy, chociaż także była gościem hotelowym. W końcu zgodzili się, żeby zostawiła wiadomość, obiecując dostarczyć ją do apartamentów Soni Ziemann. Luise nigdy nie otrzymała odpowiedzi. Prawdopodobnie Sonia nie przekazała Markowi wiadomości, bo inaczej „z pewnością chciałby się z nią zobaczyć”.

Cień Marka nie opuszczał jej właściwie nigdy, tylko przez wiele lat wcielał się w innych mężczyzn, bardzo do niego podobnych, jeśli nie z wyglądu, to z charakteru. Jej pierwszy mąż był dzikim, cudownym artystą, również pił za dużo i pod koniec związku bardzo źle ją traktował. Przez następne dwanaście lat żyła z innym pijącym za dużo partnerem. Ale temu drugiemu już w pierwszym tygodniu znajomości powiedziała: „Chyba się w tobie zakochałam, ale cię nie poślubię. Nigdy za ciebie nie wyjdę”. Z doświadczenia wiedziała, iż istnieją mężczyźni, którzy mogą być jedynie kochankami, a nie nadają się na mężów. Takim był właśnie Marek Hłasko. Z perspektywy lat Luise inaczej ocenia to, co łączyło ich w Izraelu: „On mnie adorował, wielbił mnie, ale to nie mnie, Luise Schaffer, w rzeczywistości kochał. Jak większość artystów, kochał wyobrażenie o mnie”.

Marek wrócił do niej, kiedy go potrzebowała, To znaczy wróciła pamięć o nim, kiedy leżała w łóżku chora i jedyne, co mogła robić, to czytać jego książki wydane w języku angielskim oraz pisać rodzaj literackiego wspomnienia z tamtego szalonego lata 1959 roku.

Potem było dużo śmiechu wśród jej znajomych, kiedy opowiadanie miało się ukazać w polskiej edycji „Playboya”. Przyjaciele pytali żartem, czy zdjęcie Luise ukaże się na rozkładówce?

Przy okazji polskiej publikacji dowiedziała się prawdy o „Dyziu”. On zaś, słysząc o Luise, zapytał: „Nadal ma te okropne kły?”. Był ciekaw, czy teraz Luise jest gruba i otoczona gromadką dzieci. Ona jednak w niczym nie przypomina osoby z jego wyobrażeń. Jest szczupła, zadbana. Dzieci nie ma - i dobrze, bo nie wiedziałyby, co z nimi zrobić. Żyje po obydwu stronach oceanu, w Nowym Jorku i Londynie. Maluje i rzeźbi.

## DZIEWCZYNA Z POMMARAŃCZOWEGO GAJU

W 1959 Marek Hłasko nie czuł się w Izraelu całkiem obco. Było głodno, byle jak, ale swojsko. Znalazł tam bowiem kawał Polski; wspomnianych ludzi: Jurka Presa z rodziną, Kasię Rubinowicz, Stasia Mroczkowskiego – „Mroczkoszczaka”, Władysława Tubielewicza – „Dyzia”, Henryka Rozpędowskiego i innych. Ale w tej historii najważniejszą rolę odegrała Zula Dywińska. Krakowska aktorka z teatru Cricot-2, przyjaciółka Tadeusza Kantora. W Izraelu Dywińska zamieszkała w kibucu i organizowała w nim amatorski teatr młodych. Na jedno z przedstawień zaprosiła Marka Hłaskę, którego poznała jeszcze w Polsce. Nie musiała go przedstawiać, bo już był legendą. Jego zdjęcia pojawiały się na pierwszych stronach gazet, i to nie zawsze w nobliwym kontekście, a na jego wieczór autorski w Tel Awiwie przyszedł tłumy.

Główna bohaterka spektaklu, Esther Steinach, dużo o Marku wiedziała, zanim jeszcze go spotkała. Tego dnia, kiedy był na widowni, chciała koniecznie wziąć udział w przedstawieniu. A odbywała właśnie służbę wojskową. Przeskoczyła więc ogrodzenie koszar, zdjęła mundur i odegrała swoją rolę, a potem Zula przedstawiła ją Markowi. Jeśli dotąd szukał kobiety, która mogłaby mu zastąpić Hanke Golde, to ją znalazł. Piękną mistrzynią miłości, tylko młodszą i bardziej niewinną. Znów, jak kiedyś z Hanką, mogli zmierzyć się na uczucia. Inni oddawali się jedzeniu, a oni we dwoje wychodzili na taras. Tym razem jednak – jak twierdził „Dyzio” – to Esther mocniej się zaangażowała, przynajmniej na początku. Marek mawiał: „Zakochanie to strata czasu”. I – jak zapewniał „Dyzio”; „Nie przywiązywał do kobiet większej wagi, najwyżej jakaś mogła mu imponować”. Jeśli nawet tak było, to



kobietom, na których w jakiś sposób mu zależało, nie dał poznać, że to tylko gra. One wierzyły, że są Juliami.

Nikt nie wie, jaki Marek był naprawdę. On sam tego nie wiedział, tak jak nie wiedział, co w życiu było dla niego najważniejsze. Może tylko to, aby „toczyło się przy pozorach dramatyizmu i aby z chwilą, kiedy zginie, nie zostało po nim niczyje prawdziwe wspomnienie”. A to bardziej wynikało z niemożliwości określenia się niż z wyboru. Jakieś wewnętrzne słońce sprawiło, że raz był potworem, raz aniołem, raz zwolennikiem wiernej miłości, raz Ra mizoginem.

Jeśli nawet nie umiał kochać kobiety, to Esther przynajmniej zawróciła mu w głowie. Po pierwszym spotkaniu bał się, że przegapił szansę. Prosił – zaprzyjaźnioną z nim już wtedy – Dywińską: „Jeżeli sprawa jest jeszcze do uratowania – porozmawiaj na mój temat. Jestem w kiepskiej sytuacji. Napisz w każdym razie do mnie. Nie zapomnij dać znać! Tego cudownego stworzenia nawet nie pocałowałem. Casanova to ja nie jestem. Dlatego pewnie przegrałem życie. I nic tu się nie da zrobić. Nie zapomnij (...), opiekuj się Esther”.

Niedługo potem miał możliwość nie tylko ją pocałować. „Dyzio” musiał się błąkać poza hotelem, w którym mieszkał z Markiem, bo Marek z Esther chcieli być tylko we dwoje. Raz nieopatrznie, bez uprzedzenia wrócił do pokoju, zmieszał się i już więcej tego nie zrobił.

A potem wzięli sprawy w swoje ręce rodzice Esther: „Kiedy ja chciałem zostać w kibucu, aby być razem z Esther, oni nawet nie chcieli ze mną mówić, (...) wygnali mnie jak psa, nie wiedząc nic o mnie, nie porozmawiawszy ze mną uprzednio i nie wysłuchawszy mnie, (...) nie mieli nic przeciwko temu, aby Esther przyjeżdżała do mnie do Tel Awiwu i spała ze mną; nie chcieli mnie natomiast w kibucu ze względów, które mnie – prawdę powiedziawszy – nie bardzo interesują i obchodzą. Nie może tu być mowy o ich zranionym poczuciu moralności czy też obyczajowości; im chodziło o to, aby Esther wyszła za mąż za bogatego ginekologa, a nie za mnie. Czy też za inżyniera. Ja chciałem tylko Esther; dla mnie było obojętne, czy Esther pracuje w kuchni, czy też w polu; ja chciałem tylko Esther, (...) ze strachu przed nimi Esther zdecydowała się na skrobankę, (...) w moim pojęciu – jeśli chodzi o wypadek – zachowali się jak faszyci, intrygując przeciwko mnie tylko dlatego, że jestem szajec? Gdybym ja i inne ludzie myśleli kategoriami Rigoletta – nie byłoby dzisiaj na świecie państwa USA; byłby tylko obszar zamieszkały przez Polaków, Anglików, Żydów i Irlandczyków”. Jeśli miałyby wtedy forszę, to zabrałyby Esther ze sobą i gdzieś wyjechały. Ale forsy nie miał.

A potem, na domiar złego, zobaczył Esther „z tą kurewską plamą na szyi”, inną wersją „najświętszych słów jego życia”, które bohaterka opowiadania o tym tytule mówiła za Hanią Golde wszystkim swoim mężczyznom. Esther nie musiała mówić, plama była tak samo wymowna jak słowa.

Może dlatego w „Opowiem wam o Esther” Marek z zemsty uczynił z niej dziewczynę, która idzie z innym za pieniądze. I prowadzili tam taką rozmowę: „Powiedziałaś mi tylko wczoraj wieczór, że nie lubisz tych nowych książek, i powiedziałaś dlaczego. Powiedziałaś, że nie ma postaci kobiet. I że mężczyźni nie potrzebują już kobiet, i że ta cała literatura jest literaturą psychicznych homoseksualistów. I że nie interesują cię te dramaty prostytutek i pijaczek.

- Tak też i jest.
- Powiedziałaś, że brakuje ci świętych kobiet.
- Mam zawsze jedną z nich, ale ona jest we mnie”.

Tylko tę, jedną świętą, która była w nim, kochał jeszcze. W czyją postać się ona przyobiekła, to już była kwestia wyobraźni i okoliczności. W Izraelu, dopóki nie ujrzał jej oszpeconej szyi, była nią Esther. Później nie miał złudzeń. Znalazł się w sytuacji, że nie bardzo wiedział, co ma ze sobą zrobić. Do Polski nie mógł wrócić, chyba że na warunkach ambasadora Bidy; na czworakach, fajdając pod siebie. Był bez grosza, bez pracy, bez domu i

bez bliskiej osoby, a jego przyjaciel, Rozpędowski, przed wyjazdem do Niemiec brutalnie uświadomił mu jego położenie: „Hłasko jest jeszcze lubiany, ale często już inaczej, już jakby z innego poziomu, właśnie z góry. Hłasce w Tel Awiwie jeszcze się pobłaża, lecz w w pewnych kręgach wzbudza już czasem uczucia bliskie litości”.

I wtedy właśnie Hłasko napisał do Soni Ziemann: „Love me, love me, say sou do...”. 20 lutego 1961 roku wziął z nią w Londynie oficjalny ślub, ale już w połowie kwietnia wyruszył statkiem znowu do Izraela. Niegdyś wzgardzony, teraz mógł zaimponować rodzinie dawnej narzeczonej. Pieniądze, nowe BMW, modne ubrania; zewnątrz inny Hłasko. Esther „uwiodła go po raz drugi”. Jednak zaraz zjawiała się Sonia. A Marek powitał ją na lotnisku pękiem róż. Wykupił wszystkie, jakie były w porcie lotniczym. Po dwóch tygodniach wróciła do Europy, a Hłasko jeszcze został z Esther. Ale w połowie lipca odpłynął do żony.

Pięć lat później, kiedy oczekiwał na rozwód, na który ona nie wyrażała zgody, zwierzał się przyjaciółce z Izraela: „Ożeniłam się z czystego oportunistu, tylko dlatego, że Esther mnie nie chciała i (...) najlepsze lata swego życia spędziłem z idiotką. (...) To jest nieprzyjemne wyznanie, ale wierz mi, że ja mogę iść do łóżka z kimś i wychodzi mi to tylko wtedy, jeśli myślę o niej (Esther – B.S.) Nawet z rodzoną żoną. Mój Boże, czy mogę coś na to poradzić, (...) Esther mogę rznąć dwadzieścia cztery godziny bez przerwy, podczas gdy od innych kobiet uciekam po pięciu minutach, pożyczwszy na taksówkę i wyszeptawszy uprzednio niezbędną ilość najświętszych słów”.

Z perspektywy czasu i odległości zrozumiał to, o czym napisał w „Opowiem wam o Esther” – że życiorysy świętych też kiedyś splamione były grzechami. Wybaczył jej tamte plamy i wszystko, co skalało jej czystość: „We mnie żyje jakaś dobra i święta; i mogłem wyciągnąć rękę i powiedzieć jej, że ona jest właśnie taką; ale nie zrobiłem tego. Byłem zbyt wstydlivy: tak myślałem na początku. A potem myślałem, iż byłem po prostu zbyt głupi. Ale teraz, kiedy już nie było Esther, wiedziałem, iż byłem po prostu zbyt słaby, aby naprawdę mieć świętą kobietę; ale wtedy byłem młody i zdrowy i mogłem ją mieć, gdybym umiał zapomnieć o tym, co przeżyłem, co widziałem i co powiedzieli mi inni. Bo wtedy nie wiedziałem jeszcze, że jeśli mężczyzna i kobieta spotykają się, aby kochać, to spotykają się w pustym miejscu, gdzieś na samym środku wypalanej ziemi, gdzie nie dociera ani dźwięk, ani hałas i gdzie nie wracają te wszystkie słowa, które ona powiedziała innym i które ty powiedziałeś innym”.

Wydawało się, że nie było za późno, kiedy to zrozumiał. „Po wielu wysiłkach”, to jej słowa, Esther odnalazła Marka. Jako stewardesa bywała w różnych miejscach świata. Kiedy była w 1966 roku w Paryżu, zostawiła w „Kulturze” kartkę ze swoim nazwiskiem i paryskim adresem. „Na moje wielkie szczęście on tam był dzisiaj”. Działo się to w okresie, kiedy Marek, po historii z Nicholasem Rayem i jego żony Betty, rozstał się z Sonią i na pewien czas zatrzymał się w Maisons-Laffitte. Gdy Esther wróciła wieczorem do hotelu, z kolei na nią czekała wiadomość, że „pan Hłasko dzwonił i że spróbuje zadzwonić powtórnie”. I w tym momencie wezwała ją telefonistka, „na linii była «duma narodu». Nie mogłam uwierzyć, oboje byliśmy, jak się zdaje, wzruszeni i wrzeszczeliśmy do telefonu. Po mniej więcej pół godzinie pan pojawił się osobiście w całej swej okazałości w hotelu. (...) nieco się zmienił, zdaje się, że miał «trochę» kłopotów przez te lata, a oznaki tego oczywiście są na twarzy. Te same dwie zmarszczki koło ust zrobiły się dłuższe, ręce bardzo drżą, ale wciąż jest wspaniały. Trudno mi ciągle uwierzyć, że to naprawdę Marek, ale zdaje się, że to jednak fakt. (...) wydaje mi się, że cała sprawa zaczyna się od nowa, on mówi, że przyjedzie do Izraela, jeśli zgodzę się wyjść za niego (...). Ciągłe jest tak samo zwariowany jak był”.

Spędzili ze sobą w Paryżu kilka chwil w jakiejś „dziurze”, szczęśliwi, że znowu są razem. Esther nie chciała, by dowiedziała się o tym jej mama. Prosiła Zulę: „Mamie, broń Boże, nie mów o tym ani słowa”. Marek z kolei bardziej obawiał się ojca Esther i nie chciał, by Zula wspominała mu, że wszystko zaczęło się od nowa. Bał się, że „ojciec narzeczonej”

postara się, aby nie dostał wizy izraelskiej. „Jeśli to uczyni - zatrzymam Esther tutaj w Europie. To nie jest szantaż, ale jasne postawienie sprawy. Moja miłość do tej kobiety pozwoli mi na uczynienie wszystkiego. W końcu, aby być z nią, wyrzekam się rzeczy, których już nigdy w życiu nie będę mieć”. Wyrzekł się bogactw należących do Soni, z których jako mąż mógł korzystać. Wybrał biedniejszą Esther. Ale wolał też nie wiedzieć nic z jej przeszłości, z czasów kiedy w jej życiu nie było jego, aby nie zburzyć sobie świętego obrazu swojej ukochanej. Miał dojechać do Esther do Izraela i był pełen obaw, jak zostanie przyjęty przez jej rodzinę i w ogóle „co ludzie powiedzą”. Tym się jednak tak bardzo nie przejmował. Obchodziło go tylko, by być z Esther tak długo, jak tego będzie chciała, i aby była z nim choć trochę szczęśliwa, „jeśli to ze mną w ogóle możliwie w myśl Twej (Zuli Dywińskiej - B.S.) zasady: «Waś tu przez okno wniesiesz niepokoje»”. Marek nie ukrywał, że woli Esther „od tych wszystkich sportowych samochodów, domów w St. Moritz i tym podobnych rzeczy”. I żałował, że przed paroma laty nie został z nią; „Mielibyśmy już troje dzieci i ja miałbym przynajmniej jakąś rozrywkę na starość”.

Tymczasem był luty 1966 roku. Hłasko leciał na parę tygodni do Kalifornii na zaaranżowaną przez Romana Polańskiego rozmowę z producentem filmowym. Kazał się Esther modlić, by mu tam dobrze poszło. „Jeśli dostanę tę pracę, będziemy mogli żyć dostatnio, mieć dobry samochód i dość pieniędzy, żeby uradować Dinę”. Dina i Rachel to siostry Esther, z którymi była bardzo związana, podobnie jak z rodzicami. Rodzina w ogromnym stopniu decydowała o wyborach Esther. A na Marka się nie zgadzała. Wolała spokojniejszego szczęścia, pewniejszego. „Ja leżę na łóżku i mam kaca. Wchodzi Szoszana (matka - B.S.), robi mi scenę, że zmarnowałem Esther. Ja milczę; wyciągam tylko rękę i jem owoc popołudniowy. Szoszana wychodzi; Esther wchodzi i zalewa się łzami. Ja - milczę; konsumuję następny owoc. Esther wychodzi zapłakana. Jak furie wpadają Dina i Rachel; robią mi straszliwą scenę, ja - owoc. Po czym jadę i upijam się znowu. Ale szczebiot kobiet w kacu jest niezbędny”. Tak było w Izraelu.

Esther stawiała Markowi warunek, że musi przestać pić, „bo ona tego nie wytrzyma”. Marek nie był jednak do tego skory: „Esther musi zrozumieć, że od czasu do czasu ja muszę się urwać i pobawić się ze swoimi koleżkami; muszę gdzieś pojechać i narobić jakichś cudów. Ale nie wymyśliłem przecież samego siebie; nie jestem aż na tyle głupi”. Był zły na jej rodziców za to, że ukradli mu kilka lat szczęścia, i kiedy z Los Angeles pisał do wspólnej przyjaciółki, Zuli, kazał ucałować serdecznie „kochaną mamusię”, a „teściowi” powiedzieć, że „jeśli go diabli porwą po śmierci do piekła, żeby się w żadnym wypadku nie powoływał na znajomość ze mną”.

Był przekonany, że teraz nie są w stanie rozdzielić go z Esther. Przez pierwsze tygodnie był w euforii. Wiązał duże nadzieje i plany z pracą w Hollywood. A Esther była „całą jego miłością i całą jego nadzieją”. Jednak - po miesiącu wymiany entuzjastycznych listów - po obu stronach prawie na rok, od marca 1966 roku do lutego 1967, zapadło milczenie. W tym czasie Hłasko popadł w tarapaty. Spotkanie z producentem hollywoodzkim nie było miłym doświadczeniem. Wbiegł „człowiek o dzikim spojrzeniu”, przeklinając wokoło śmiertelnie przerażonych sekretarzy, stenotypistów i innych asystentów, wysłuchał w pośpiechu projektu scenariusza Hłaski o lotnikach, skomentował: „Fuck it. I love it. I'm gonna do it, (Pieprzyć. Podoba mi się. Robię to) i „wybiegł, miotając przekleństwa”. Hłasko napisał o tym Romanowi Polańskiemu, ale Polański realizował już w Londynie inne plany, stracił z Markiem kontakt. Marek określał to dosadnie: „porzucił mnie jak psa”. Musiał więc podjąć na czarno pracę robotnika. Na dodatek mocno się rozchorował, „prawie gruźlica”.

Dopiero 12 lutego wznowił kontakt z milczącą Esther: „Nawet teraz jestem zbyt zmęczony, żeby powiedzieć Ci o wszystkim, co się zdarzyło. Nie mów tego nikomu, ale przez tygodnie i miesiące byłem głodującym człowiekiem. Przebywałem w stanie takiej depresji, że nawet nie miałem siły, by pisać, myśleć, pracować, (...) byłem w tym kraju zupełnie sam, bez

ludzi, zezwolenia na pracę i pieniędzy na kupno biletu" powrotnego do Europy lub Izraela. Wciąż żałował straconych lat. „Esther - gdybyśmy pobrali się w 1959 - moglibyśmy mieć ośmioletniego chłopca. Co stało się z najlepszymi latami naszego życia?”.

Teraz ona, jak niegdyś Agnieszka Osiecka, była przystanią, do której on, rozbitek, chciał dobić. I żyć spokojnie, może nawet po mieszczańsku, przed czym dotąd zawsze uciekał. Z tą tylko różnicą, że Esther bardziej działała na jego zmysły. Bliższa była ideałowi - Hance Golde. Esther się wahała, była „zdezorientowana”. Odpowiedział jej więc: „Nie wiem, co powiedzieć, ale jeśli masz kogoś innego - nie rób tego samego strasznego błędu, który ja zrobiłem; nie wychodź za mnie zamiast za niego. Pogodziłem się z faktem, że nie jestem kochany, i zamierzam w jakiś sposób dać sobie z tym spokój, ale wiem, co to znaczy być z kimś i myśleć o kimś innym. (...) W porządku, weź moją miłość, dokądkolwiek idziesz i cokolwiek chcesz zrobić. Któregoś dnia, mam nadzieję, zrozumiesz, jak bardzo Cię kocham. Mam nadzieję, że to nie będzie za późno”.

Nie wierzył, by ułożyło mu się z Esther, bo napisał matce, że o wiele lepiej czuje się, żyjąc samotnie. „Nie myślę, abym się ożenił po raz drugi, to chyba naprawdę nie dla mnie”.

Esther przestraszyła się jednak myśli, że „między nimi wszystko skończone”, przyleciała do Marka i „uczyniła go szczęśliwym”. Marek rano zmywał naczynia i śpiewał hiszpańskie i polskie piosenki, a Esther odpoczywała po podróży. Tego samego ranka wysłali list do Zuli Dywińskiej, orędowniczki ich miłości: „W sprawie dziecka - pisał Hłasko - robię, co mogę, ale nie wydaje mi się, abym się wyróżniał korzystnie w tej dziedzinie. Nie byliśmy ze sobą przez tyle lat i to jest właściwie pierwszy raz w naszym życiu, kiedy jesteśmy ze sobą pod jednym dachem, sami, bez tych wszystkich przeklętych skurwysynów śpiewających «Chava... etc.». Krew mnie zalewa jeszcze dzisiaj, jak pomyślę sobie o tym Beni i o moim teściu, i o tych wszystkich ludziach, którzy nie znając mnie, tak łatwo mnie potępili i dzięki którym Esther i ja straciliśmy najlepsze lata naszego życia”. Rodzice Esther w końcu pogodzili się z myślą, że Marek może zostać ich zięciem, bo Esther już nie ukrywała swojego z nim związku. Tym razem prosiła, by Zula przekazała mamie, że jest bardzo szczęśliwa, że jest wspaniale. Wydawało się, że będzie wspaniale. Ale Marek zachowywał się jak defetysta, który nie potrafi być szczęśliwy; chcąc uprzedzić zło, jakie mogłoby mu się przytrafić, przywoływał je. Przewidywał, że pewnego dnia Esther odejdzie od niego z „blondynem o centymetr wyższym”, że „porzuci go, gdy pojawi się jakiś McDonald z niebieskimi oczami”. Mniej wówczas wierzył w swoją siłę zdobywcy. Esther z powodu wyglądu nazywała Marka „Paskudniakiem”. Nie przeczył, a nawet przesadzał, opisując siebie - „rzeczywiście jestem lak ohydny, że ona wcale nie ma ochoty kochać się ze mną, (...) ale moja filozofia życiowa jest: daj nędznikowi być tak długo szczęśliwy, jak się da”.

Esther wyjechała i rozpoczęli następny korespondencyjny etap miłosnych pertraktacji, aż w grudniu 1967 roku Marek zapytał stanowczo: „Esther - musisz powiedzieć, gdzie ja jestem. Musisz powiedzieć mi, czy chcesz być ze mną, czy nie; czy mnie kochasz, czy nie. Jeśli nie jesteś w stanie okazać mi miłości, okaż mi miłosierdzie lub łaskę i powiedz mi, co chcesz, żebym zrobił. Esther - jeśli nie potrafisz myśleć o mnie jako o swoim mężu, pomyśl o tym, że jestem także istotą ludzką, że ja także muszę żyć albo umrzeć lub sam nie wiem co, ale powiedz mi, czy zamierzasz być ze mną, czy nie. Nie pamiętam, żebym był okrutny dla Ciebie; wszystko, co pamiętam z tych ostatnich ośmiu lat w moim życiu, to: moja miłość do Ciebie, tęsknota za Tobą, usiłowanie, by być z Tobą (...) Esther - jeśli nie kochasz mnie, pamiętaj - może któregoś dnia sama się w kimś zakochasz i to samo Cię spotka. Esther - jeśli masz jakieś ludzkie uczucia, powiedz mi prawdę, powiedz mi, co naprawdę chcesz, żebym zrobił. Mój pokój pachnie Tobą; więc proszę, powiedz mi, jeśli mnie nie chcesz, odejdę stąd. Pracowałem jako robotnik dla Suntent Nems w ciągu dnia, w nocy pracowałem dla Judy, żeby zarobić na rozwód, ponieważ miałem nadzieję, że pewnego dnia będziesz ze mną. (...)”

Wiem, że nie wierzysz w Boga, ale wiem, że kochasz swoje siostry i swoją rodzinę, więc proszę, chociaż przez chwilę pomyśl o mnie jako o jednym z nich i powiedz mi prawdę".

Właśnie uzyskał rozwód, chciał wiedzieć, co dalej, ale nie otrzymał definitywnej odpowiedzi. Natomiast dwa miesiące później odwiedziła go Sonia. Czy wróciło jakieś uczucie, wspomnienie, sentyment? Czy też wypowiadała tylko „niezbędną ilość najświętszych słów”? W każdym razie kiedy odjechała, zapewniał w liście, że będzie ją - „swoją wiedźmę” - kochał zawsze. I wyraził nadzieję, że ich małżeństwo może da się odbudować; „nie boję się tego, nie czuję wstydu”. W liście wciąż uważał Sonię za swoją żonę i powtarzał Zofii Komedowej: „Zośka, tobie to jest dobrze. A ja jestem stale pod okupacją niemiecką”.

Kolejny rok, 1968, to nadal był dla Hłaski nie najlepszy czas zarówno w sprawach osobistych, jak i zawodowych, chociaż w tych ostatnich coś zaczynało się rozjaśniać. Na przełomie lutego i marca Księgarnia Polska w Paryżu wydała „Sowę, córkę piekarza”. W maju zaś otrzymał prawo stałego pobytu w USA, a zatem także możliwość legalnego zatrudnienia. Aby je uzyskać, potrzebował dwu sponsorów. Jednym z nich zgodził się zostać Stanisław Mroczkowski, ale ze znalezieniem drugiego były kłopoty. Ci, do których się zwracał Mroczkowski, odmawiali, mówiąc: „A nie, to jest pijacek, jeszcze narobi kłopotów”. W końcu Stanisław znalazł profesora Religii, lingwistę. Prawdziwych przyjaciół Marek miał niewielu, większość jego znajomych to, jak określił Marek Niziński, życzliwi wrogowie, zaciekawieni jego życiem, jego losem. Bo i przyjaźnić się z nim, tak jak kochać go, nie było łatwo. Leopold Tyrmand próbował, a potem powiedział o Marku: „Chciał być kochany przez każdego, wdzięczny się, krygował i dopominał miłości. Chciał ją także dawać, a przynajmniej święcie wierzył, że daje ją przez kokieterie i uroki, którym nie można było nic przeciwstawić. Marzył o wiernościach i lojalnościach z żelaza i aż do końca, takich właśnie z Londona, Hemingwaya i hollywoodzkich scenariuszy. Może dlatego właśnie przestawał kochać w ciągu jednego litra i dwóch paczek sportów. Wybywał. Odchodził. Znikał bez słowa i bez westchnienia”. Tych kilku prawdziwych przyjaciół, którzy wytrwali, Hłasko budził nieraz nocnymi telefonami, kiedy nie mógł spać ani pisać i musiał się z kimś podzielić swoimi myślami.

Gdy już wolno mu było legalnie pracować, miał trudności ze znalezieniem roboty. Zamknął się więc w wynajmowanej klitce przy 1229 N. Poinsettia Place w Hollywood, zasłonił okna szarym kocem, zatkał wata dziurkę od klucza, by „nie widzieć dnia i nie słyszeć kroków na korytarzu”, żył „nocą” i pisał „Palcie ryż każdego dnia”, licząc na szybkie wydanie i w związku z tym na „trochę grosza”.

W tym czasie największą przyjemnością dla Marka była szkoła pilotażu. Jak tylko zarobił trochę dolarów, odbywał loty. Wstawał o piątej rano i wynajmował na godzinę samolot. Czuł się wtedy wolny, naprawdę wolny. Od 11 lutego do 17 kwietnia zaliczył osiemdziesiąt sześć lotów. Podniebne godziny były chwilami ucieczki od codziennego życia, które go coraz bardziej przytłaczało, chwytalo w pułapkę. Marek Niziński zauważył, że Hłasko „doszedł do stanu, kiedy się panicznie bał kogoś lub coś polubić, pokochać, by nie przeżywać po raz nie wiadomo który goryczy rozstania i chwil bezsilnej samotności. Stał się wtedy przez siebie stworzonym bufonem, ranił ludzi pierwszy, zadawał niezasłużone ciosy i przeżywał cierpki smak tych sytuacji sam, wyłączając na tygodnie telefon. Pił. Wszyscy się od Marka powoli odsuwali, zostawiając go gdzieś na boku, nie próbując go choć trochę zrozumieć”. W październiku zdarzył się wypadek z Komedą i to go jeszcze bardziej pograżyło, bo obok Nizińskiego był to w Ameryce najbliższy jego przyjaciel.

Nie spodziewał się szybkiego przyjazdu do Europy ani do Izraela. Ale w kwietniu 1969 roku otrzymał od Soni zaproszenie i bilet lotniczy w związku z realizacją filmu według opowiadania „Wszyscy byli odwrócenii”, który miał być kręcony w naturalnej scenerii w Ejlacie. Zostawił więc wiadomość znajomemu emigrantowi mieszkającemu w Los Angeles, Leszkowi Szymańskiemu<sup>10</sup>, z którym pisał wówczas - po angielsku - sensacyjną powieść

„Devils in the Rain”. Wiadomość była najkrótsza z możliwych: „Płacą. Jadę. Marek”. I polecał.

Najpierw jednak zatrzymał się w Tel Awiwie, bo tam mieszkała Esther i wspólni przyjaciele, Hanna i Jerzy Pressowie. Press opowiadał: „Telefon, aż mną zatrzęsło - poznałem po głosie Marka. «Gdzie jesteś?» - pytam. «W „Nicy”». - «Już przyjeżdżam». Przyjechałem do tej kawiarni, w pierwszej chwili prawie go nie poznałem, taki był opuchnięty”. Od czasu ich ostatniego widzenia, czyli od lata 1961 roku, Hłasko miał trudne doświadczenia, do których sam się przyznawał: „Byłem pięć razy w szpitalu; dwa razy w szpitalu dla wariatów; dwa razy usiłowałem popełnić samobójstwo - i przy ostatnim razie nie poszło mi za dobrze i byłem przez osiemnaście miesięcy sparaliżowany do połowy; na szczęście od góry i uratowano mnie cudem; wbrew diagnozom najlepszych neurologów”.

Na Pressa czekał w kawiarni „Nicea” i pił piwo. Pierwsze pytanie, jakie zadał Jerzemu, dotyczyło Esther. Dzwonił do niej już wcześniej, ale jej nie zastał; była w rejsie. Nie zmrużył oka tej nocy, którą spędził przy kieliszku na rozmowie z Pressami i w oczekiwaniu na przyjazd Esther, ale jej wciąż nie było. Wypili tyle, że nazajutrz córka Pressów za sprzedane butelki kupiła sobie modną wtedy zamszową spódniczkę. Zaś Marek z Jerzym polecieli do Ejlatu, gdzie na Marka czekała Sonia wraz z ekipą filmową. Hłasko nie był zadowolony ze scenariusza, zrobił reżyserowi awanturę, a ten wezwał na plan Hansa Jurgena Bobermina, redaktora niemieckiej telewizji realizującej film. Wnieśli poprawki, przy okazji się zaprzyjaźnili.

A na plaży zobaczył Esther. Po powrocie z rejsu odebrała wiadomość i natychmiast polecała za nim do Ejlatu. Domyślała się, że Marek zjawi się na plaży. Plaża w Izraelu była tym, czym „Kameralna” w Warszawie; nie mógł tam nie pójść. „Siedział czasami godzinami na plaży w Ejlacie, patrzył w morze, marzył”. Kiedy zobaczył Esther, wszystkie uczucia odżyły i ożyły marzenia.

W Ejlacie spotkały się z nim jednocześnie dwie kobiety, które o niego od lat rywalizowały. Sonia była bardziej zaborcza, Esther mniej zdecydowana, za to Marek wołał ją. Ale nie potrafił, a może nie chciał definitywnie odtrącić Soni. Mieszkali z Sonią pod jednym dachem, przeżyli krotką powtórkę podróży „poślubnej” po Galilei, byli w starej Jerozolimie. To wtedy Marek zatrzymywał się przy każdej stacji na Via Dolorosa, a potem pokutnie modlił się przy Grobie Jezusa.

Prasa miała z czego żyć. W hebrajskiej gazecie ukazał się „skandaliczny artykuł o jego sprawach prywatnych”. Czuł się dotknięty, ale było w tym też trochę jego winy. „Prawdę mówiąc, (dziennikarka - B.S.) dogoniła mnie (...) w barze, o trzeciej w nocy. Była bardzo śliczna, to fakt. Ponieważ była taka ładna, chętnie z nią siedziałem, ale myślę, że sprawy czysto prywatne nie powinny być włączane do spraw zawodowych”. Po publikacji Marek upił się i nocą ruszył w niebezpieczną drogę przez pustynię rozklekotanym jeepem. A następnego dnia u przyjaciół, Kornhauserów, odgrywał w obecności Soni „teatr jednego aktora”.

Przyjaciele każdej z dwóch rywalek snują swoje wspomnienia tak, jakby tylko ich przyjaciółka była ważna w życiu Hłaski. Rozpędowski napisał zatem, że „Sonia odleciała na synchronizację filmu w Berlinie, Marek mieszkał u Hani i Jurka Pressów, zaopatrzył się w niemiecką wizę, zaszczepił się przeciw ospie i odleciał do Monachium”. Każąc się domyślać czytelnikowi, że Marek pojechał do Soni, co nie było zgodne z prawdą. Zamieszkał bowiem w Wiesbaden u redaktora Bobermina.

Natomiast Jerzy Press, nie wspominając o Soni, mówił tylko o Esther: „Została podjęta absolutna decyzja, że Marek nie wraca do USA. Po podjęciu decyzji o wspólnym życiu Marek przenosi się do Esther”. Faktycznie przeniósł się do niej od Pressów i mieszkał z nią do czasu wyjazdu, to jest do 28 maja. Tego właśnie dnia, wczesnym rankiem Esther wyleciała w kolejny rejs do Nowego Jorku. Kiedy Marek się obudził, jej już nie było. Napisał więc na lustrze kilka czułych słów i podpisał „Kaczor Donald”. Żegnał się na krótko, niedługo

miał wrócić. Z pokładu samolotu linii Tel Awiw-Monachium pisał do Esther: „Próbowałem zadzwonić do Ciebie, (...) ale nie sądzę, żebyś była w domu, (...) nie widziałem Cię tylko przez pięć godzin, a już jestem pełen tęsknoty za Tobą. Nie mogę, nie będę i nie chcę żyć bez Ciebie. Więc pomóż mi, Boże. Miej tylko trochę cierpliwości - to samo dotyczy i mnie - i z Boską pomocą dobrze się nam ułoży. (...) Proszę - módl się za mnie, za moją pracę - módl się za nas obojga. Wkrótce będę z powrotem; żeby Cię ucałować i zostać z Tobą. Tym razem na zawsze”.

Hans Jurgen Bobermin mówił, że Hłasko nie musiał przyjeżdżać do Niemiec. „Przecież ten kontrakt mogliśmy właściwie załatwić także drogą listową i tylko z tego powodu jego przyjazd nie był niezbędny. Sam chciał zmienić trochę otoczenie”. Bobermin przypuszczał, że Marek zamierzał „nawiązać bliższy kontakt z Sonią Ziemann”. Sonia była wtedy w Berlinie, codziennie do siebie telefonowali.

Jak było, co zamierzał, trudno dziś dociec. Każda z kobiet powie to, co przeczytała w liście, co usłyszała przez telefon, a przecież te dwie wersje się wykluczały.

W ostatnim - bardzo osobistym - wywiadzie udzielonym właśnie w Wiesbaden słowem nie wspomniał o Esther i wspólnych planach. Może nie chciał zapeszać, a może bał się rozgłosu w prasie, która zawsze robiła wokół niego dużo kłopotliwego zamieszania. Nie wspomniał też o rozwodzie z Sonią. Pytanie: „Czy Sonia była jego wielką miłością?”, nie spodobało mi się. Odrzekł tylko: „Tego nie powiedziałem”.

Dziennikarka z „Hor Zu” napisała, że Hłasko był „niezdecydowany, jak ma się potoczyć jego dalsze życie. Czy ma zostać w Niemczech, pójść do żony, czy też na, parę tygodni gdzieś się zaszyć?”. To pozostawało jednak w sprzeczności ze stwierdzeniem Marka dla polskojęzycznej gazety w Izraelu, wygłoszonym kilka tygodni wcześniej, że „w Niemczech nie chciałbym i nie umiałbym żyć”. W trakcie tego wywiadu także nie umiał powiedzieć, „co będzie potem? Nie wiem, naprawdę nie wiem. Ale nie żegnam się tutaj z nikim. Każdemu mówię «do widzenia», może się zobaczymy za miesiąc”. W Bonn załatwił sobie wizę izraelską na trzy miesiące. Jak tylko otrzymał zaliczkę z telewizji na poczet przyszłej produkcji, kupił bilet lotniczy do Izraela. „Na samolot odlatujący po południu, bo jak mówił z tą swoją ironią: «Rano to ja jestem jeszcze przepity»”. A rankiem, 14 czerwca, żona Bobermina, która szykowała córkę do szkoły, znalazła Marka martwego.

Pierwsza zjawiła się Sonia. Nie życzyła sobie obecności Esther. Piotr Gluzy, literat mieszkający w Niemczech, znajomy Hłaski, wyjaśniał sytuację w liście do jego ostatniej narzeczonej: „Bobermin, producent telewizyjny, w którego mieszkaniu Marek przebywał, chciał zawiadomić Panią o dacie pogrzebu Marka, ale Sonia powiedziała, że jeśli Pani przyjedzie, to ona wywoła taki skandal, jakiego Niemcy jeszcze nie widziały. Przez cały czas Sonia dawała wywiady dla różnych gazet i magazynów, określając się jako żona Marka, chociaż już teraz wiadomo, że rozwód był na pewno przeprowadzony jakiś czas przedtem. Prywatnie jednak zwierzyła się, że wie, iż Marek skończył z nią na zawsze i zamierza ożenić się z Panią. Nie powstrzymało to jej od publicznego stwierdzenia, że ostatnie tygodnie były dla niej i dla Marka najszcześniejszymi w ich «małżeństwie»”.

Sonia mówiła Boberminowi, że Marek, ilekroć stawał przed koniecznością wyboru, podjęcia trudnej decyzji, której nie potrafił albo nie chciał podjąć, „uciekał w chorobę, w pobyt w szpitalu”. Więc Bobermin zastanawiał się, czy w ten ostatni wieczór „również nie przyszła mu do głowy taka myśl?”. Ścierają się domysły, przypuszczenia, opinie. Różne są wersje śmierci Marka. Bezpośredni powód to przedawkowanie środków nasennych w połączeniu z alkoholem. Matka Marka Hłaski wierzyła, że to był wypadek, i takiej wersji broniła do końca życia. Zofia Komédowa wciąż pamięta słowa Marka wypowiedziane w czasie ostatniej Wigilii, którą spędzili razem, kiedy Krzysztof leżał umierający w szpitalu: „Jeśli Krzysio umrze, to i ja pójdę”. Siebie winił za to, co się stało, chociaż Zofia, nigdy nie miała do Marka żalu. Obaj byli pijani, zatoczyli się, upadli, tylko że Krzysztof nieszczęśliwie.

Dlatego nie wysłała wiadomości do Izraela. O śmierci Komedy Marek dowiedział się od kogoś innego, właśnie w Wiesbaden. Zofia nie mówiła tego, dopóki żyła Maria Hłasko, żeby jej nie ranić. Pomagała w Polsce przy organizowaniu drugiego pogrzebu Hłaski. Urwała kwiatek z grobu Marka i zaniósła na grób Krzysia. Kiedy tylko idzie na Powązki do męża, zawsze odwiedza grób Marka, bo - jak mówi - „te śmierci są powiązane”.

Ci, którzy wierzą w samobójstwo Hłaski, kłócą się z tymi, którzy je wykluczają. Spór podsumował Leopold Tyrmand: „Nawet gdy znajdą niezbita dowody na to, że było właśnie tak i tak, to i to - ja nadal nic wiedzieć nie będę”. Marek zabrał tę tajemnicę ze sobą.

Esther przyjechała na jego grób miesiąc później, kiedy ucichła atmosfera sensacji i kiedy w spokoju mogła kontemplować śmierć narzeczonego.

Po kilku latach, dokładnie tak jak przewidywał Marek, poznała wysokiego blondyna z niebieskimi oczami noszącego nazwisko McDonald i wyszła za niego za męża. Urodziła dwie córki, Dianę i Shirę. Mieszka w Arlington w stanie Waszyngton i chroni swojej prywatności. Wyrażając zgodę na opublikowanie adresowanych do niej listów Marka, ocenzurowała je.

## MĘSKIE ZALOTY

Stefan Łoś, prezes wrocławskiego oddziału Związku Literatów Polskich, znał Marka Hłaskę od dziecka. Był przyjacielem rodziny i częstym gościem w domu przy ulicy Borelowskiego 44 we Wrocławiu. To on pierwszy dostrzegł talent Marka, mając za próbkę jego dziecięce pamiętniki, i namawiał do pisania. Już w 1951 roku postanowił uczynić z Hłaski wielkiego pisarza. Po wieczorze autorskim Lesława Bartelskiego Łoś odprowadził gościa z Warszawy na dworzec, a przez całą drogę mówił o Marku; że wspaniały, wybitnie zdolny, a kierowca z zawodu, że się zmarnuje wielki talent literacki i trzeba mu pomóc. Nawet kiedy Marek mieszkał już z matką i ojczymem w Warszawie, Łoś nie przestał się nim interesować. Gdy przeczytał pierwszy poważny utwór Hłaski - „Sonatę marymoncką” - posłał go wraz ze swoją rekomendacją Bohdanowi Czeszce. Nie był jednak usatysfakcjonowany reakcją Czeszki; „nie chodzi o kiwanie głową i listy z radami, ale o natychmiastowe działanie”. Skorzystał więc z wizyty we Wrocławiu pisarza i jednocześnie członka Zarządu Głównego Związku Literatów - Kazimierza Koźniewskiego. „Wziętem go na dłuższą rozmówkę i wbijałem mu w głowę Twoją sprawę. Myślę, że go przekonałem, obiecał mi solennie, że się skontaktuje z Tobą, (...) jeśli i on nic nie zdziała, to i tak nie ustane w dalszych atakach. Marek! Proszę Cię, nie zrażaj się niczem i nawiąż z nim kontakt, jak się do Ciebie odezwie. Ja wiem, że u Ciebie dużą rolę gra pewna nieśmiałość i niechęć do przepychania się na siłę - ale teraz tak trzeba. Wierzaj mi! Zresztą będę Cię pilnował i o dalszych Twoich krokach pamiętałem”.

Przyjechawszy na miejsce, do Warszawy, Łoś stwierdził, że w Związku Literatów nie ma kto się młodym zdolnym zająć, więc zaalarmował „Życie Warszawy”. Kazał Markowi „natychmiast wyciągnąć” od Czeszki powieść i zanieść do redakcji. Tam już „wywiercił dziurę gdzie należy” redaktorce, Halszce Buczyńskiej, i ta została „referentką” sprawy Hłaski. „Zrobiłem naprawę, co mogłem - zapewniał - gdybym mieszkał w Warszawie, to bym mógł więcej dopilnować, a tak ty sam resztę musisz zrobić. (...) Tylko nie zrażaj się niepotrzebnie, bo nic łatwo nie idzie”.

Hłasko przerobił „Sonatę marymoncką” na krótszą opowieść, zatytułowaną „Baza Sokołowska”, i zaniósł do Związku Literatów. Po jakimś czasie odezwał się Igor Newerly, który był wówczas opiekunem Koła Młodych przy Związku. Jemu Stefan Łoś również wysłał



pisemne poręczenie i „usilną prośbę”, aby pomógł adeptowi sztuki literackiej „wydostać się z tej szoferskiej matni, bo zdrowie straci i talent zaprzepaści”. Newerly zaprosił Hłaskę na rozmowę i dał kolejną radę - by opowiadała o tym, co chce napisać. Obojętnie komu, a najlepiej wszystkim, niezależnie od tego, czy słuchacze rozumieją, o czym mówi, czy nie. Bo chodzi tylko o to, żeby autor sam „usłyszał”, które elementy w opowiadanej historii są ważne, i by opowiadając tę historię, układał ją sobie. „I tak zacząłem opowiadać” - wyznał później Hłasko w „Pięknych dwudziestoletnich”.

W kwietniu 1953 roku, gdy młody pisarz miał zaledwie dziewiętnaście lat, Związek Literatów ufundował mu stypendium twórcze, dzięki czemu Marek mógł zrezygnować z pracy szofera. Pojechał do Wrocławia, żeby tam zająć się wyłącznie pisaniem. W Warszawie, jak twierdził, nie miał ku temu warunków, chociażby ze względu na małą powierzchnię mieszkania, choroby matki, złe kontakty z ojczymem: „Tylko napisz - prosił matkę - czy «Massa» (tak nazywał ojczyma) jest, czy nie, bo ja bym sobie przy okazji popisał, a jak on jest, to już nie mogę”. We Wrocławiu początkowo zatrzymał się, tak jak chciała matka, u jej siostry, Teresy Czyżewskiej, która mieszkała z rodziną w takim samym segmencie, jaki Maria z Kazimierzem opuścili, wyjeżdżając do stolicy. Pisał, poprawiał, darł i zaczynał od nowa. „Wie Mama, jak ja to przeżywam. Mnie klęski, niestety, nie hartują. To złe - ale co, na Boga, mogę poradzić! Jakby się jeszcze i teraz okazało, że wybrałem złą drogę, no to naprawdę nie wiem, co bym zrobił”.

Ale w pobliżu był Stefan Łoś, o którym Marek pisał matce, że jest „idealnym człowiekiem o ogromnej wprost dobroci. Podtrzymuje mnie na duchu, pożycza mi książki i forszę. Daje mi swoje mieszkanie do dyspozycji, pożycza mi maszynę do pisania. Robi wszystko, aby mnie zachęcić do pisania i umożliwić mi pracę. Takiej dobroci nie spotyka się na ogół. Uważam, że Mamusia powinna napisać list do Niego i podziękować za mnie”. Marek postanowił się do Łosia przeprowadzić, bo - jak twierdził - u ciotki jest za dużo ludzi. „We czwartek wyjeżdża ciotka Gienia. Przyjedzie ciocia Jadzia. Wyjedzie ciocia Jadzia, przyjedzie Gaga z dwojgiem dzieci. Co dalej? Nie wiem. «Przyjdą nowi bojownicy». No, ja mam dość w każdym razie”.

Myśl o przeprowadzce Marka do Stefana Łosia, którego homoseksualne skłonności były publiczną tajemnicą, przeraziła matkę i w żadnym wypadku nie wyrażała zgody. Między matką a synem wyniknął z tego powodu konflikt: „Powiedziałem, że nie napiszę, dopóki Ty nie napiszesz listu do pana Stefana. I w dalszym ciągu bardzo się dziwię, że tego nie zrobiłaś”. W lipcu, a więc po dwóch miesiącach pobytu we Wrocławiu, minio sprzeciwu matki Marek przeniósł się na ulice Wieniawskiego 9. Wyprowadzając się od ciotki, skłamał, że wyjeżdża do Baligrodu. Zdemaskowała go matka, o co miał do niej pretensję: „Jestem u Łosia, tak jak mówiłem. Jest mi bardzo przykro, że znów napisałaś do ciotki, że jestem we Wrocławiu, podczas gdy ja pisałem, że jadę do Baligrodu. Zrobiłem tak, jak mi było wygodniej, lepiej, gdzie miałem lepsze warunki do pracy. I zawsze będę tak robić”.

I w następnym liście: „Jestem u Łosia i Ty o tym dobrze wiesz, bo przecież jak wyjeżdżałem z Warszawy, to mówiłem Ci, że tak a nie inaczej zrobię! Jeśli Ty zrozumiałaś opacznie, to któż Ci jest winien? (...) Świetnie się z panem Łosiem bawimy. Ja już bardzo dużo napisałem, zupełnie inaczej niż przedtem. (...) Nie chciałbym zadzierać z ciotką. Mieszkać u ciotki nie mam zamiaru, może dostanę mieszkanie w związku, tylko to się odwleka z dnia na dzień. Natomiast Ty napiszesz do cioci, że przyjechałem z Baligrodu i jestem w Warszawie. Nawet nie napiszesz, a zatelegrafujesz. I to zaraz! I traktuj to poważnie: ja sobie nie pozwolę skomplikować życia! Nie pozwolę, żeby ktoś wtrącał się do moich spraw! Nie pozwolę, żeby wystawiano mnie na idiotę, tak jak Ty to zrobiłaś w tym wypadku! Więc napisz, bo inaczej naprawdę, Mamusiu, obawiam się, że nigdy nie znajdziemy jakiegś wspólnej platformy porozumienia, co jest po prostu i bez żadnej przesady - tragiczne. Tylko nie mów, że nie kłamałaś nigdy w życiu i tak dalej, bo mnie to mało obchodzi. Chcę raz dojść

do zamierzonego celu - jeśli trzeba będzie, żebym kłamał - będę kłamał, jeśli zabić - zabiję. Więc napisz do ciotki, i nie myśl, że to żaden szantaż, tylko ja Cię po prostu bardzo proszę i z góry Ci dziękuję".

Później przeproszał urażoną matkę za to, że napisał „głupi i zły list”, było mu z tego powodu przykro i smutno: „Przecież znasz mnie, Mamusiu. Wiesz, że ja w złości czy zdenerwowaniu chlapię coś złego, a potem miesiącami żałuję i nie mogę sobie miejsca znaleźć. Przebacz mi moją głupotę”.

Nadal jednak mieszkał u Łosia i cieszył się nie kontrolowaną swobodą. Bo Łoś, cóż, pozwalał mu na wszystko, byle tylko zatrzymać go przy sobie. Nie zareagował nawet wtedy, gdy Marek wyniósł z jego mieszkania i sprzedał na pchlim targu przedwojenny perski dywan. Ale w listopadzie, a więc po około czterech miesiącach, miał już dość życia pod wspólnym dachem. Oficjalnie tłumaczył, że pan Łoś nie może przez niego pisać, gdyż jemu oddał swoją maszynę. „Na mnie to działa fatalnie, bo jakże znów ja mogę pisać z tą świadomością, że komuś przeszkadzam?”. Po powrocie z krótkiego pobytu w Warszawie napisał matce, iż „zastał mieszkanie zamknięte na kłódkę - pan Łoś wyjechał. Parę dni tułałem się rozpaczliwie, dopóki nie wrócił”. I tu znowu nakłamał. Pan Łoś rzeczywiście wyjechał, ale klucz leżał pod wycieraczką. Marek zaś nie tułał się, tylko mieszkał u Hanki Kruszewskiej-Kudelskiej, z którą przeżywał od miesiąca miłosny „dramat psychologiczny”. Nie chciał, by ktokolwiek poza matką o tym wiedział: „Nie wspominaj panu Łosiowi, bo to jest publiczną tajemnicą, ale nie chciałbym, bo tu chodzi o szczęście małżeńskie i tak dalej, a to jest jego bliska znajoma, a i tak jest na mnie wściekły”. Łoś się wszystkiego domyślał i robił Markowi wyrzuty. Zdarzyło się raz, że nie mógł wejść do własnego mieszkania. A wiedział, kto jest w środku, bo cały Związek Literatów plotkował o romansie Marka z Hanką. „Strasznie był o Marka zazdrosny” - mówi Kruszewska i nie ukrywa, że romans z nią był dla Marka ucieczką przed Łosiem. Zmęczony tą sytuacją, przeprowadził się do sublokatorskiego pokoju przy ulicy Smoluchowskiego 22 m. 5 i jak mógł, unikał swego opiekuna. Kiedyś przechodzili z Hanką w pobliżu jego mieszkania, w którym leżał chory. Hanka zaproponowała: „Chodź, zajdziemy do Stefana, pewnie niedługo umrze”. Marek nie chciał, odwrócił głowę z niesmakiem.

Łoś nigdy nie przestał darzyć Marka uczuciem; mógł być na niego zły, obrażony, ale do końca kochał swego „wychowanka”. „Kochany Marku! Widzisz, jakiś Ty jest! Byłeś parę dni we Wrocławiu i raz się tylko pokazałeś, mnie wyjątkowo nie było, a nie zostawiłeś nawet kartki! Gdzie ja Cię mogłem szukać? (...) a ja i byłem sam, i ciągle dopytywałem się o Ciebie. Czekałem Cię w domu. (...) Widzisz, jakiś Ty? Gdzieżeś się «bradziażył»? (...) Miałem Ci w cztery oczy nagadać trochę do słuchu, bo widzisz - niepotrzebnie sobie zrażasz ludzi. Twoje postępowanie naprawdę trudno nazwać solidnym, a bujasz ile wlezie! Słuchaj, Marku, wiesz dobrze, jak Ci szczerze życzę i jak chciałbym, żeby Ci wszystko dobrze szło, ale naprawdę, Twoje usposobienie chwiejne, raz tak, drugi raz inaczej. Twój brak silnej woli i, po prostu, brak charakteru może Ci w życiu bardzo dużo zaszkodzić. (...) Ty jesteś kłębkim nerwów, a to trzeba opanować. Musisz je opanować i nie gadaj, że nie możesz, tylko Ci się nie chce. Boję się też, że jak Ci się coś nie powiedzie, w drobiazgach nawet, to ogarnie Cię pesymizm, a nie będzie mnie, aby Ci te wątpliwości i czarne myśli wybijać z głowy. Najlepiej wtedy przyjedź”.

Na odległość Marek czuł się jednak wobec Łosia zobowiązany, zwłaszcza w obliczu nadchodzącej śmierci opiekuna. Próbował mu wtedy pomóc poprzez Związek Literatów Polskich, ale Łoś drżącą ręką odpisał ołówkiem na małej kartce, że już nie warto, bo i tak niedługo „kipnie”. Był jednak szczerze uradowany listem Marka i odpisał mu: „Już dwa razy chciałem pisać do Ciebie, ale jak Cię kocham, nie mogłem. Mój stary, dziękuję Ci za tak miły, dobry, przyjacielski prawdziwie list, pełen troski o mnie”.

Stefan Los umierał w nędzy. Nie miał na opłacenie prądu i czynszu. Stalinowcy nie chcieli go drukować. Jego dorobek literacki przypada głównie na okres przedwojenny. Wtedy to napisał antybolszewicką książkę „Strażnica”, za którą - według oficjalnej wersji - komuniści wsadzili go po wojnie do więzienia. „Siedział około roku, po czym oświadczono mu, że stała się mała pomyłka, i wypuszczono go. Wkrótce potem umarł; rozmawiając z jednym z lekarzy, dowiedziałem się, że śmierć nastąpiła właściwie na skutek pobytu w więzieniu i nieludzkiego traktowania, co przy słabym zdrowiu Łosia przesadziło sprawę. Od samego Łosia nigdy nie dowiedziałem się, co przeszedł; znał mnie od dziecka, mimo to bał się. Oświadczył mi krótko, że z nikim na te tematy rozmawiać nie będzie, gdyż w wypadku gawędziarstwa grozi mu ponowny pobyt w więzieniu, z tym jednak, że tym razem nie będzie już żadnej pomyłki”.

Ten fragment „Pięknych dwudziestolecia” nie jest fikcją literacką. Komuniści upatrywali w literaturze ukrytych form wypowiedzi politycznych lub odwrotnie - sami te wypowiedzi narzucali, uważając literaturę, podobnie jak wszystkie formy życia kulturalnego, za część propagandy. Stosowali przy tym system chwaleń, nagradzania, popularyzowania i rozdawania zaszczytów; w ten sposób czyniąc z posłusznych artystów urzędników reżymu. Nieposłuszni kończyli tak jak Stefan Łoś, ziemianin z urodzenia, który szczerze nienawidził komunistów. Obiegowa opinia głosiła, że Łoś siedział za politykę. Ale bliskie mu środowisko literackie wiedziało, że nie bez znaczenia były jednak jego skłonności homoseksualne. W skrajnie pruderyjnym państwie komunistycznym, paradoksalnie, literaci pederasta stanowili duży procent środowiska twórczego i należeli do tych najbardziej popieranych przez rząd. Odgrywali szczególną, podwójną rolę: należeli do systemu przemocy, będąc jego ofiarami. Powstał pewnego rodzaju układ sprzężony: komuniści, potępiając homoseksualizm, jednocześnie sobie posłusznym przyzwalał na jego praktykowanie i wynosili ich na wyżyny, pozostałych zaś niszczyli. Straszili te środowiska tak zwanym ludem, który - według władz - ich nienawidził, i przestrzegali, że tylko komuniści mogą zapewnić im bezpieczeństwo. Pederasta musieli więc ukrywać swoje skłonności przed rzekomo nietolerancyjnymi ludźmi, zdając sobie przy tym sprawę, że tajna policja polityczna doskonale o wszystkim wie i nieustannie zbiera kompromitujące materiały, które mogłyby być użyte przeciwko nim. Bali się więc zarówno społeczeństwa, jak i walczącego z nim reżymu. Nikt nie był tak podatny na szantaż jak oni. „Ten miły system nie będzie robił spraw politycznych pisarzom czy publicystom. Zawsze można kogoś zahaczyć o jakąś sprawę pospolitą. Weź: Iwaszkiewicz, Zawieyski w każdej chwili mogą być pociągnięci za pedziostwo” - zauważał Zygmunt Hertz.

Gdy Jerzy Andrzejewski, jeden z najbardziej popieranych przez komunistów pisarzy, po opowiedzeniu się za opozycją przestał się podobać władzom, tajne służby sfałszowały i rozesłały jego list otwarty, w którym rzekomo miał się domagać legalizacji małżeństw między mężczyznami, co było obliczone na ośmieszenie autora i podważenie jego autorytetu. Kopię listu otrzymał między innymi Krzysztof Kąkolewski. Ten rodzaj reakcji władz przewidział Zygmunt Hertz, który darzył Andrzejewskiego szczególną sympatią i jak tylko mógł, opiekował się nim, co wywoływało w Maisons-Laffitte! „raczej niezadowolone”: „To, co on robi, jest dla mnie zaskakujące i zdumiewające. Wydanie „Apelacji” w znienawidzonej instytucji, akt polityczny - jakim była enuncjacja w sprawie Czech - przemówienie na zebraniu w Związku Literatów, teraz przemówienie nad grobem Jasienicy. (...) Przecież on przeszedł na sytuację «sumienia narodowego». Znamy obaj (z Miłozem - B.S.) jego tryb życia - musi się liczyć, że go mogą na tym odcinku pociąć, znamy jego życie osobiste, idealne do szantaży. I o tym nie chcę myśleć”.

Niedługo potem Andrzejewski napisał „Miazgę”, która miała być nowatorska i buntownicza i którą uważał za „swoje największe dzieło torujące mu drogę do Nobla”. Zgodził się ją ocenzurować, było to warunkiem wydania polskiego, ale książka i tak została odrzucona. „Ot - sześćdziesięcioletni (...) pisarz paskudnie upokorzony. Pomyśl - pisał Hertz

do Miłosa - zjadł tę żabę zaprawioną pochlebstwami. (...) I co? Zrobił wszystko ze swej strony, aby z marginesu wejść w pełne życie polskiej literatury, i dostał po twarzy".

W 1976 roku Jerzy Andrzejewski był jeszcze bardziej uległy. Proszony o podpisanie petycji w sprawie Polaków w Rosji, odmówił i „zatelefonował do Kisiela, pytając, o co chodzi, że u niego był Michnik, etc. Rezultat, że Michnika zaaresztowano na schodach, jak poszedł od Jerzego do (Zofii) Małynicz po podpis. Było wielkie oburzenie, że takie kawałki to prowokacja (żadna prowokacja, po prostu pijany i nieodpowiedzialny Andrzejewski), zwyczajne gówniarstwo. I potem ten sam Jerzy jest powiernikiem 101 facetów (list 101 osób do komisji konstytucyjnej przeciw ograniczaniu praw obywatelskich z 31 stycznia 1976 - B.S.) w petycji o poprawki. Obłąd wszystko razem" - skwitował Hertz.

Bardzo różne były metody nakłaniania ofiar systemu do słusznego zachowania. Józef Z., dawny pracownik Departamentu I MSW, mówił tak: „Służba wykorzystywała niemoralność, a z moralnością walczyła. Im bardziej niemoralne zachowanie, tym lepiej dla nas, tym łatwiej zbliżyć się do człowieka, przeniknąć go. Ci, którzy mieli coś na sumieniu, byli dla nas najważniejsi, stanowili najlepszy materiał agenturalny". Mirosław B., pracownik Departamentu III MSW, potwierdza: „Czasami trzeba było iść na materiał kompromitujący. Szczególnie jak miało się do czynienia z grupą hermetycznie zamkniętą bez możliwości normalnego dotarcia do niej. Jeden raz musiałem wykorzystać szantaż. To było środowisko artystyczne. Dałem człowiekowi do zrozumienia, że dużo wiem o jego związkach homoseksualnych. On miał normalną rodzinę. Wystraszył się i podpisał zobowiązanie". Szantażem posługiwano się często. W przypadku homoseksualistów wykorzystywano tę właśnie publicznie dyskredytowaną skłonność. Heteroseksualistom podstawiano atrakcyjne kobiety, pederastom podsuwano natomiast młodych mężczyzn, którzy byli powiązani z tajnymi służbami. Wszelka prostytutka, oficjalnie zakazana, istniała tylko w formie kontrolowanej i wykorzystywanej przez władzę. W tajnych służbach funkcjonowało tak zwane pogotowie seksualne, damskie i męskie. O metodach pozyskiwania homoseksualistów pisał w książce „Bruderszaft ze śmiercią” Henryk Piecuch, niegdyś pracownik zwiadu w WOP. Jednym z bohaterów książki, a jednocześnie przyjacielem autora, był Tadeusz Steć. Ten erudyta, przewodnik sudecki, znawca sudeckich tajemnic, kolekcjoner, współpracownik tajnych służb - z przekonania był antykomunistą i zdeklarowanym homoseksualistą. To sprawiło, że musiał pogodzić wodę i ogień: wierność służbom i niechęć do systemu. Steć znał wiele potężnych osób. Wśród swoich bliskich znajomych wymieniał między innymi Piotra Jaroszewicza, z którym handlował kolekcjonerskimi skarbami; dawał ówczesnemu premierowi archeologiczne numizmaty, otrzymując w zamian złote próby monet bitych w mennicy. Wspominał też Jarosława (Iwaskiewicza), Julka (Strykowskiego), Jurka (Andrzejewskiego) i Marka (Hłaskę), z którymi był po imieniu. Steć, jak twierdzi Henryk Piecuch, pełnił funkcję konsultanta Hłaski podczas pisania „Następnego do raju”, i Andrzejewskiego, kiedy ten pracował nad „Miazgą”. Służby specjalne podsuwały Steciowi różne zadania związane z bliskim mu środowiskiem. W drugiej połowie lat sześćdziesiątych poddały mu na przykład pomysł zorganizowania zlotu przyjaciół z grona kochających inaczej. „Chociaż z tego, co wiem - napisał w książce Piecuch - zaproszono również szereg innych prominentów, nie gustujących w «tych sprawach», zapewne po to, by nie być narażonym na ataki, (...) miało to być coś na kształt zjazdu miłośników kultury słowa. (...) Steć jeździł w tej sprawie do Warszawy, spotykał się ze znajomymi, między innymi z Jaroszewiczem, Andrzejewskim, Iwaskiewiczem, Strykowskim, (...) z wielkich w spotkaniu wziął udział jedynie Jerzy Andrzejewski, (...) moi koledzy ze zwiadu mieli pełne ręce roboty". Steć skarżył się Henrykowi Piecuchowi, że na koniec zlotu prezentowano poszczególnym gościom filmową i fotograficzną dokumentację z nieoficjalnej części imprezy i że podstawiano im to i owo do podpisania. W 1993 roku Tadeusz Steć został zamordowany we własnym domu. Jak twierdzi jego przyjaciel, za dużo wiedział, za dużo widział.

Środowiska wyklęte, nie lubiane, zagrożone organizują się lepiej niż reszta społeczeństwa. Homoseksualiści w systemie totalitarnym również tworzyli wspierającą się wzajemnie wspólnotę. Do takiego środowiska dostał się Marek Hłasko, o którym Hanna Kruszevska-Kudelska powiedziała: „Dla homoseksualistów to musiał być sam smak. Niezwykle męski, a jednocześnie delikatny. Ale on sam, Marek, jaki tam z niego homo?”. Takiego kochanka nie miała nigdy, ani przed nim, ani po nim.

Po powrocie do Warszawy Hłasko stał się wielkim odkryciem literacko-towarzyskim. Środowisko zachwycało się nim, uwodziło, pobłażało i pozwalało na wiele. „Przygarnęli go do stolików w kawiarni na Krakowskim Przedmieściu, te wszystkie byki załgane, szmaty zdarte na nic, ludzie, którzy nawet śniąc kłamali, obnosili się z nim jak ze zdobyczą nieprawdopodobnie cenną, poili wódką, tego dwudziestoletniego chłopca chcieli przekabacić na własne kopyto, wsączyć własną korupcję w jego czyste serce”. (z artykułu Piotra Guzego). Marek pił, grał i błaznował, Matka pytała: „Po co to robisz?”. Odpowiadał: „Bo tak chcę”.

W kwietniu 1954 roku w Domu Pracy Twórczej w Oborach odbywało się seminarium dla młodych pisarzy, którym kierował literat, Wilhelm Mach, a Lesław Bartelski był wówczas gościem honorowym. Mach zachęcał adeptów literatury, by stali się bardziej entuzjastyczni. Hłasko zareagował natychmiast - uczepił się żyrandola i „entuzjastycznie” się bujał. Na ranne posiedzenia w ogóle nie przychodził, bo odsypiał kaca. „Po południu wchodził na salę z podkurczonymi ramionami, ręce w kieszeniach, przystawał przy drzwiach, (...) w oczach miał błyski rozbawienia, lekkiej kpiny, potem zaszywał się w ostatnim rzędzie i podczas gdy dyplomowani inżynierowie dusz ludzkich wzniosie celebrowali posłannictwo literatury w okresie budowania zrębów socjalizmu, on, Marek Hłasko, grał w «oczko». Jednego dnia odezwał się półgębkiem, a rzecz rozniosła się błyskawicznie po sali, wywołując zamieć śmiechu. Facetka mądrzyła się o partyjności literatury. Popatrzył na nią spod ściągniętych brwi. Wypuścił przez nos dym z papierosa, mruknął: «Taka ładna, nie mogłaby zostać po prostu kurwą, zamiast pchać się do pisania?»”.

Z Markiem stało się to, na co Maria Hłasko skarżyła się wiele lat później w liście do ministra kultury i sztuki, starając się o powrót syna: „Miał zaledwie osiemnaście lat, kiedy zaczął pisać i drukować. Dostał się w środowisko ludzi dojrzałych, utalentowanych, ludzi - którzy z racji swego talentu stali na świeczniku i uważali się za upoważnionych do tego, aby nas, wszystkich przeciętnych zjadaczy chleba, uczyć, jak należy pięknie żyć. No i, Panie Ministrze - proszę darować - nauczyli mego syna pić wódkę i chcieli nauczyć wielu rzeczy; ohydnych, mimo że przykrytych szatą poezji, ale na szczęście jego zdrowa natura sprzeciwiła się temu. (...) Z rozpaczą widziałam, jak paczy się jego charakter, jak nauczono go kłamać, (...) tak mówi matka, którą skrzywdzono, bo nie tylko zabrano jej dziecko, ale musiała patrzeć na wiele rzeczy, które charakter jej dziecka kształtowały w bardzo odmienny od jej marzeń sposób”.

Wśród pierwszych w warszawskim kręgu artystycznym osób, których Maria Hłasko się obawiała, a które niezmiernie o Marka zabiegały, był Wilhelm Mach. Przez jakiś czas pracował jako sekretarz redakcji w „Nowej Kulturze”. Kiedy na jego miejsce przyszedł Lesław Bartelski, jedna z dziennikarek ucieszyła się: „Nareszcie będą mogły tu drukować kobiety”. O stosunku Macha do Hłaski świadczą listy do autora „Pierwszego kroku w chmurach”:

„Marku jedyny, drogi! - Oto przeczytałem Twój list przed chwilą. Odpisuję natychmiast. Nie wiem, gdzie cię szukać - pojedę na Żoliborz, zostawię ten list, może Cię on dojdzie.

Kochany, nie rób sobie nic z tych, którzy nie zasługują na to. Nie bój się też mojej goryczy. Potrafię Cię zrozumieć. I lepiej, żebyś był smutny przy mnie niż sam. Po to jest przyjaźń. Było mi istotnie strasznie ciężko. Ale teraz wiem, dlaczego i już mi jest inaczej. Marku Drogi, nie przejmuj się. Nie czekaj. Przychodź jak najprędzej. Dziękuję Ci z całego

serca za list. Zobaczysz, że we dwóch coś uradzimy, a jeśli nawet nie uradzimy, to i tak będzie źlej. Jutro (w piątek) spotka Cię miła niespodzianka. Na razie nie powiem jaka, a może... a może sam się domyślisz? Ufaj mi. Nie jesteś, nie będziesz sam".

Na początku 1954 roku Wilhelm Mach zorganizował w swym mieszkaniu na Widok małe spotkanie. Zaprosił Kazimierza Brandysa z żoną, Marka Hłaskę i Jerzego Andrzejewskiego, mówiąc temu ostatniemu, że ujrzy młodego i bardzo interesującego pisarza, który jest entuzjastą „Popiołu i diamentu” i marzy o tym, żeby poznać jego autora. Andrzejewski tak oto wspominał pierwsze spotkanie: „Gorąco przez Wilka (Macha - B.S.) zalecany młody pisarz okazał się wysokim, rosnącym chłopcem, jasnowłosym i niebieskookim. (Marek Hłasko miał oczy zielone, chociaż różne źródła podają inny ich kolor. Na przykład w azylanckim paszporcie są niebieskie. W dokumencie amerykańskim – zielone- B.S.) Nie wiem, czy był piękny. Jego bardzo słowiańska uroda promieniowała uwodzającym blaskiem, cała postać - gwałtowną siłą witalną, w głosie z natury niskim pobrzmiwały akcenty czułe i kuszące. Jeśli powiem, że mnie oczarował i zachwycił, nie powiem wszystkiego”.

Wymknąwszy się z mieszkania wspólnego przyjaciela, dalszą część nocy Andrzejewski z Markiem spędzili we dwóch w restauracji na ostatnim piętrze Pedetu. Przy wódce przeszli na „ty”. Andrzejewski już wówczas się domyślał, że „przyjaźń z tym człowiekiem będzie trudna, pogmatwana, bogata w radość, w udręki także. Należał do wybranego gatunku ludzi, którzy naznaczeni charyzmą geniuszu, uwodzą i ranią”.

Odtąd obydwaj z Wilhelmem Machem będą znosić katusze nie do końca odwzajemnionej miłości do tego samego, wtedy dwudziestoletniego mężczyzny. I obydwaj będą go oplątywać siecią swoich wpływów, kontaktów, wielkich możliwości. Będą o nim mówić, pisać, chwalić, drukować. Agnieszka Osiecka twierdziła, że mężczyźni liczyli się dla Marka o wiele bardziej niż kobiety i że to oni odegrali w jego życiu większą rolę. A Henryk Berezka, z którym Hłasko, nieco później, również był w bardzo bliskich kontaktach, mówił, że Marek łaknął miłości i aprobował nawet uczucia męskie w stosunku do siebie. W związkach z mężczyznami Hłasko oczekiwał jednak takich więzi, jakie opisywali Hemingway czy Steinbeck, czy wreszcie on sam, opartych na jedności dusz i bezgranicznej lojalności; braterstwie na dobre i złe. Dlatego niejednokrotnie dochodziło między Markiem a Machem i między Markiem a Andrzejewskim do nieporozumień. Marek zwierzał się Berezce, że zachowanie Wilka jest bardzo przykre, uciekał od niego.

Maria Hłasko wysłała syna do rodziny, która mieszka w Dębnie Królewskim koło Poznania. „Musiałam tak zrobić - mówiła - ponieważ wielbiciele Marka nie dawali mu spokoju”. Jerzy Andrzejewski wielokrotnie proponował mu pokój u siebie, przychodził, szukał Marka. Iwaszkiewicz aż z Moskwy przysłał Markowi samolotem róże itd., itd. Matkę „doprowadzało to wszystko do ostateczności”, a Marek mówił: „jakaś ty niewyrozumiała - też ludzie”. Innym razem śmiał się: „No wiesz, matka, takie ładne siedzenia”, a matce nie było do żartów. Oburzała się: „Co ty wygadujesz?”. Bała się o syna.

Strykowski szukał dla siebie partnerów nie tylko wśród literatów. Nie gardził chłopcami „z ulicy”, którzy go potem szantażowali. Co jakiś czas prosił w związku z tym znajomą reporterkę, Barbarę Seidler, żeby mu załatwiła zmianę numeru telefonu. Robiła to trzy razy, korzystając ze swoich kontaktów. W końcu się zbuntowała. „Julek – powiedziała – przestań się zadawać z tym elementem, bo więcej ci z telefonem nie pomogę”.

Kłopoty początkujących pisarzy ze starszymi władcami literatury opisał Janusz Głowacki w „Wirówce nonsensu”. Schemat wyglądał mniej więcej tak: najpierw przyjacielska propozycja pomocy, pisarskiej rady, udzielenia łamów, oferta pracy, a potem mały szantaż i ręka wędruje od kolana w górę.

Marek Hłasko w 1954 roku określił swoje położenie: „Tutaj wojsko za dwa miesiące, książeczka nie skończona, olbrzymie trudności z pisaniem, mieszkaniem, forszą”. W tej sytuacji nie pogardził żadną pomocą. Andrzejewski, bez wiedzy Marka, dał jego utwory do

przeczytania Włodzimierzowi Sokorskiemu, ówczesnemu ministrowi kultury i sztuki. Sokorski zaprosił Hłaskę na rozmowę, w czasie której młody pisarz usłyszał „tyle ciepłych słów uznania”. Minister obiecał mu półroczne stypendium w wysokości 900 złotych miesięcznie i „reklamację od wojska”. „W ogóle – pomogą. Minister powiedział, że jeżeli mam jakieś trudności, abym przyszedł do niego. Tylko nie trąb o tym nikomu – prosił matkę – bo to naprawdę nie są żadne sukcesy. <<Massie>> tylko możesz”. Kilku „wysoko postawionych dostojników” Związku Literatów starało się uchronić Marka przed wojskiem. Ostatecznie Jerzy Andrzejewski miał się w tej sprawie osobiście porozumieć z samym towarzyszem Bermanem. Poskutkowało. Uzasadniając zgodę na odroczenie służby, Cyrankiewicz napisał, że więcej korzyści przyniesie Polsce Hłasko piszący niż Hłasko uczący się nosić karabin.

Tym razem Marek nie odtrącił gościnnego gestu Andrzejewskiego. „Chwilowo zamieszkałem u kogoś. A tu dziwna sprawa. Nie mogę Ci (matce –B.S.) podać adresu – złożyłem uroczystą, formalną przysięgę, że absolutnie nikomu nie powiem, gdzie przez ten miesiąc mieszkałem. (...) Jeżeli będziesz chciała wiedzieć, w osobistej rozmowie Co powiem, w liście nie, wiesz jak to jest z listonoszami”. Andrzejewski przez całe życie szczylił się faktem, że przez kilka miesięcy Marek mieszkał pod jego dachem. Epatował tym, jak wyraziła się Joanna Siedlecka, która w czasie wędrowki reporterskiej przy okazji zbierania materiałów do „Jaśniepanicza” trafiła do Andrzejewskiego. Pisarz, oprowadzając ją po mieszkaniu, wskazał na łóżko i powiedział z dumą: „Tu, na tym łóżku, spał Marek Hłasko. A tu – wskazał na inne – spał Krzysio”. Nad Łóżkiem wisiał portret Krzysztofa Kamila Baczyńskiego. Uczucie do Baczyńskiego było preludium do tego, co dwanaście lat później Andrzejewski czuł do Marka Hłaski. Chwalił się, że to on odkrył wielkiego poetę i wprowadził go na salony, między innymi w Stawisku. Iwaszkiewicz, gdy pierwszy raz ujrzał młodego poetę, był rozczarowany, bo gustował w mężczyznach postawnych, posturą podobnych sobie. Natomiast Baczyński był jego zdaniem „drobny, nieładny i bardzo skromny”. W tym czasie Iwaszkiewicz zdecydowanie wołał Tadeusza Gajcego. Andrzejewski natomiast zachwycał się cielesnością Krzysztofa Kamila i nie krył, że był on jego wielkim odkryciem i wielką miłością. Wiesław Budzyński, biograf Baczyńskiego, twierdzi, że największą. W „Grze z cieniem” Andrzejewski wyznawał: „(Baczyński) był przez bez mała cztery lata przyjacielem najbliższym moim myślom i uczuciom”. A Baczyński w 1942 roku pisał w liście ze Stawiska do matki i narzeczonej: „Pragnę tylko towarzystwa Waszego – Mamy, Baśki i w końcu Jerzego”. Andrzejewski poprosił poetę, aby został ojcem chrzestnym jego syna. Musiał jednak pogodzić się z faktem, że Baczyński nie miał homoseksualnych inklinacji. Ale jego żony, Basi, szczerze nienawdził, jak powiedziała Wiesławowi Budzyńskiemu Agnieszka Andrzejewska.

Hłasko jeszcze spał, kiedy Andrzejewski musiał wyjść z domu, a „chciałby zaraz po przebudzeniu powiedzieć mu kilka słów”. Zostawił więc kartkę: „(...) Nienawidzę niejasnych sytuacji. Gdybym nie powiedział Ci o wszystkim wczoraj – zrobiłbym to jutro albo pojutrze. Umiąłbym grać komedię, z kimś drugim obojętnym, ale Ty się stałeś dla mnie tak bliskim, iż nie mógłbym być z Tobą wraz z przeświadczeniem, że widzisz mnie innym, niż jestem. Każdy z nas powinien być sobą, bez niejasności i niedomówień. Zdaje mi się, że bardzo Cię pokochałem. Za wszystko. Jedno mnie tylko męczy; boję się, aby moje uczucia nie były dla Ciebie ciężarem. Każde uczucie jest trudne, a cóż dopiero niepotrzebne i uciążliwe? Cóż z nim zrobić? Pragnie się dla drugiego człowieka samych rzeczy najlepszych, najcenniejszych, chce się, żeby mu było dobrze, i właśnie tym, co Cię ogarnia, co tobą rządzi i kieruje – sprawiasz mi troskę, budzisz wątpliwości i niepokoje (...)”.

O pobycie Marka w domu Andrzejewskich najwięcej miałyby do powiedzenia Agnieszka Andrzejewska. Jej jednak z trudem przychodzi rozmowa o pozarodzinnych związkach ojca. O tym, że ojciec był dla niej konkurencją w sprawach uczuciowych. Nie w

przypadku Marka, bo jego i jego twórczości szczerze nienawidziła i nienawidzi. Wcale tego nie ukrywa. Nie podobał się jej ten „jego prosty język uliczny”. Jej zdaniem Hłasko to „kabotyn, mitoman, tak jak jego matka: stale grał, chcąc się przypodobać”. Ale przyznaje, że „ojciec bardzo Marka kochał”.

Pod koniec 1954 roku Hłasko znowu pojechał do Dębna Królewskiego i przebywał tam do jesieni następnego roku. Korespondencja, jaką prowadził z zakochanymi z nim mężczyznami, jasno określa charakter stosunków panujących między Markiem a jego wielbicielami.

29 stycznia 1955 roku Hłasko dostał od Wilhelma Macha list następującej treści:  
„Najdroższy, Najmilszy Marku

(...) Spotkałem Kazia (Koźniewskiego), który wyraził się tak: «Nowy „Almanach” zapowiada się ciekawie, między innymi mamy bardzo, bardzo interesujące opowiadanie Hłaski, (...) to bardzo utalentowany chłopak (...)». Tak mnie to ujęło i ucieszyło, że dobrowolnie zaoferowałem się z daleko idącą pomocą przy redagowaniu «Almanachu». We wtorek 25 I wysłałem Ci 150 złotych. Czy doszły? Znowu Ci wyślę coś we wtorek 1 II, gdy wezmę pensję. Cieszę mnie Twoje rozumne zapewnienia i mówię Ci: Nie bój się, Miły, choćby mi było nawet niełatwo, to pomogę Ci na pewno, możesz być spokojny. Gdy znajdziesz się w trudnej sytuacji, napisz o tym zaraz. Żebyś nie głodował, żebyś miał jaki taki spokój w sprawach «bytowych», potrzebny i konieczny dla rezultatów Twojej pracy. Moich wezwań do oszczędności nie odczytuj źle - nie jest to pisk skąpca, znasz mnie i wiesz, że jak miałem, to nie żałowałem. Teraz jest mi o wiele ciężiej, zadłużyłem się (...), Mareczku mój! Dostałem zaproszenie z Poznania na «wieczór autorski», na 17 II (czwartek). Chciałem, jak zwykle w podobnych razach, odmówić - ale oto wysłałem list z wyrażeniem zgody. Bo sobie pomyślałem, że wracając z Poznania, odwiedzę Cię po drodze. A jeśli nawet Koło nie jest po drodze (jeszcze nie wiem) - to i tak. A po drugie: dadzą mi za to 250 złotych (napisali) - niedużo, ale teraz dobre i to, na każdy odczyt, na każdą «czarną robotę» (np. recenzje wydawnicze) się zgadzam, bo tym sposobem będę Cię mógł troszkę lepiej i częściej wesprzeć. Mojego przyjazdu się nie bój, jakąś wałówkę zabiorę ze sobą. Chyba, żeby Ci to z jakichkolwiek względów nie odpowiadało, to napisz. Tyle chyba, na razie, «realiów».

Dziękuję Ci, Ukochany, za list. I za upomnienie, żebym nie pił. Jakoś intuicyjnie trafiłeś celnie i w porę. Bo właśnie zacząłem przed Twoim listem, (...) było mi po prostu zbyt pusto, zbyt smutno (...).

Godzina 1-sza w nocy.

Najmilszy mój - cały wieczór spędziłem u Twoich Rodziców. Tak więc wiem o Tobie dużo i jest mi z tym dobrze, że wiem. Twego drugiego listu jeszcze nie dostałem i z niecierpliwością czekam poniedziałku. Pani Maria uspokoiła nareszcie moje wątpliwości, czy Cię odwiedzić. Twierdzi, że się ucieszysz. To dobrze. Podobno nie zamierzasz rychło odwiedzić Warszawy. Pochwalam to, rozumiem. Wypoczywaj, Kochany, odnajdź samego siebie, lepiej Ci się to uda w spokoju. (...)

Drogi mój - dużo jest we mnie najlepszych uczuć dla Ciebie. Wspominasz w liście o «nieporozumieniach» i że dlatego czujesz przy pisaniu do mnie pewne skrępowanie. I to rozumiem, ale równocześnie pragnę Cię zapewnić, jak zapewniałem Cię nieraz, że co do mnie - nie ma mowy o małoduszności. Jest to we mnie - głębokie i szerokie, co mam dla Ciebie. Mnie nie rani nigdy sam cios, mnie tylko rani i obraża, jeśli by mój przyjaciel bił mnie na skutek poczucia własnej bezkarności, na skutek założenia sobie z góry, że moja wierność zniesie wszystko, że więc można się nie liczyć. Może to trochę niejasne, ale pewnie rozumiesz - chodzi tu o godność uczuć. Lecz jeśli mój przyjaciel zada cios bez tego lekceważącego założenia, «odruchowo», albo - jakkolwiek postąpił, nawet najgorzej - pożałuje, to nie zostaje we mnie żaden zły osad. Pozostaje pragnienie, by już nigdy tak nie



było. A wszystko, wraz z tym pragnieniem, już znowu wypełnione wyżej brzegów wielką, wielką tkliwością. Kocham Cię bardzo, Drogi mój Marku, i gdy nazywam Cię Bratem, to nie jest to słowo, tylko pragnienie, byśmy ten braterski związek czuli jak najbardziej rzeczywiste pokrewieństwo, byśmy tym dobrowolnym wyborem skorygowali roztargniony w tym przypadku los, który nie umieścił nas w przylegających do siebie metrykach chrztu. Pamiętaj więc, jeżeli kiedyś poniesie Cię gniew, nie wolno Ci tego odwoływać.

Myślę, mój Marku, jeszcze w związku z tymi "nieporozumieniami", takie rzeczy. (...) Tobie, w danej konkretnej sytuacji, wydaje się, że jedyną, całą i wyłączną prawdą czegoś (wszystko jedno: prawdą przyjaźni, gniewu, zerwania itp.) jest to, co aktualnie czujesz. A ja w takim wypadku czuję i wiem, że prawda uczuć i przeżyć jest o wiele bogatsza i różnorodniejsza niż nastrój i poczucie w danej chwili. (...) Gdy już mi się tak szczerze i serdecznie z Tobą gada - a tymczasem zrobiło się po 2-giej - to powiem Ci, że w ogromnej tkliwości dla Ciebie jest od dość dawna jedno właściwie ziarnko żalu - ale nawet nie do Ciebie i może nie żalu nawet, tylko smutku - a jest to gorzka myśl, że dopóki jeszcze dobrze mnie nie znałeś, a więc dopóki dostarczałem Ci więcej «atrakcji poznawczej», to Twoja przyjaźń dla mnie w większej mierze niż później starała się znajdować w sobie miejsce również i dla mojej radości, mojej satysfakcji. Że ufniej i wielkoduszniej umiałeś - mało, chciałeś - ponosić konsekwencje mojej indywidualności, mojej natury. Że miałeś ofiarniejszy pogląd na sprawę kosztów przyjaźni - wiedząc, że i zyski, i koszty powinny być równym mniej więcej udziałem obu stron. Potem trochę zmieniłeś ten układ - może nawet nieświadomie, może po prostu nieświadomie pewny, że nawet wycofując z naszego wspólnego banku część swoich akcji, a tym samym pozbywając się części kłopotów i niewygód, nie stracisz nic z tego, co Tobie potrzebne. Cokolwiek, drogi mój, powiesz mi na to o sile i prawdzie Swych uczuć, intuicji i chęci (a są to rzeczy piękne, tylko - same - zbyt tylko «Twoje własne») - cokolwiek więc powiesz - uśmiechnę się do Ciebie bardzo serdecznie i jednak trochę żałośnie - i, choć i to muszę znieść w moim rozumieniu, kiwnę głową poziomo - «nie, Mareczku».

Ale po co o tym. Czas mi się kłaść, (...) Marku, Braciszku mój, jutro i tak list nie pójdzie (tzn. dziś, bo niedziela), więc jeszcze co dopiszę. Będę u Twoich Rodziców na obiedzie. Dobranoc, Drogi, dobranoc.

(Reszta pisana „pijaną ręką” - B.S.)

Dzień dobry, Złociutki!

Marek Marek godz. 3.30 z niedzieli na poniedziałek - ile kilometr ma metrów ile dzień ma godzin, to ja Ciebie wstrzymywałem, a teraz ja sam, trudno, nie wytrzymuję, mam to wszystko, zdechnę albo co gówno - nie słuchaj mnie, Ty jesteś mądrzejszy. Czytała mi Twoja Mama Twoje pamiętniki, gdy miałeś 10-11 lat, pyszne. Dobrze mi było u Twojej Mamy. Ile ja dziś drogi zrobiłem wieczór. Nie jestem Ciebie godny. Godz. 5-ta. Dobranoc. Dzień dobry. Daruj ja głupi.

Godz. 6-ta rano. Ależ to! Ależ to! Bełkot ja! Zapomnij, masz przyjaciela idiotę, na pewno będzie z Ciebie Ktoś Wielki, zobaczysz! wytrwaj, pisz, mnie wybaczyć",

List był przekreślony i chaotycznie opisany słowami: „Marek, Marek, Marek, Kocham Cię". Na oddzielnej kartce widniał dopisek, poczyniony już normalnym charakterem pisma: „List czytaj bez skreśleń - bywaj zdrów, pracuj, wypoczywaj, czuj się jak najlepiej".

Listów Marka Hłaski do Wilhelma Macha nie udało się wydobyć, ponieważ rodzina Macha nie zgodziła się na odpieczętowanie złożonego w warszawskim Muzeum Literatury archiwum pisarza. Chociaż upłynęło już ponad trzydzieści lat od jego śmierci, spadkobiercy nadal nie godzą się na upublicznienie osobistej korespondencji.

Na początku lutego 1955 roku Mach przesłał Markowi następną czuły list, w którym pisał między innymi:

„W ogóle u Twoich Rodziców spędzam sporo czasu, gramy w «inteligentkę», rozmawiamy o różnościach, dużo o Tobie, i to przede wszystkim sprawia, że mi tam dobrze, w kręgu Twoich spraw, w ciepłe Ciebie tyjących wspomnień i anegdot. (...) Kocham wszystko, co Twoje, przerażonym z zachwytu sercem ogarniam te odległe i bliskie równocześnie, ciepłe i obce, moje - nie moje strefy świata, w których Cię odnajduję z czasów, kiedyśmy jeszcze o sobie nie wiedzieli. (...) Ukochany mój - śpij dobrze, żyj zdrowo, nie pij, broń Boże, jedz z apetytem, pisz z przyjemnością - Mareczku mój, słowa są głupie i bezradne, ale Ty wiesz i tak wszystko - wyjdę, wrzucę ten list do skrzynki, niech idzie do Ciebie prędko. Ufaj mi - a jeśli ufność dla mnie pomaga Ci w czuciu się, w pracy, to powtórzę Ci jeszcze raz, jeszcze wyraźniej: ufaj mi, kocham Cię. Całuję Cię mocno. Wilek".

Kolejna korespondencja od Macha nadeszła w marcu.

„Ten dzisiejszy mój list (8 marca 1955 - B.S.) piszę dość «na ślepo». Skarżyć się na to, co już przeszło i się nie wróci - nie chcę, do snucia wynurzeń przyjaźni i serdecznych zwierzeń odczuwam pewną nieochotę, a to dlatego, że Twój list - jakkolwiek bardzo, bardzo dla mnie kochany, bo od Ciebie - mówi mi o ostatnich sprawach niejako półgębkiem, z jakąś półszczerością. Chyba nie przypuszczasz, że wyda mi się to rzeczą oczywistą, że poprzestałeś w sobotę 26.02. na informacji redakcyjnej paniusi co do mojego rzekomego wyjazdu i nie zadałeś sobie fatygi sprawdzenia, skoro - jak piszesz - przyjechałeś głównie po to, by się ze mną zobaczyć. Pomyśl sam i osądź".

Tego samego dnia do Marka napisał także Jerzy Andrzejewski:

„Drogi mój Marku, przypuszczałem, że gdy po powrocie z Warszawy znajdziesz mój list, odpowiesz chociaż kilkoma słowami. Tymczasem i następny mój list pozostawiasz bez odpowiedzi. Wczoraj minęło akurat dwa tygodnie. (...) Że przyjechałeś do Warszawy - dowiedziałem się o tym jeszcze w niedzielę. (...) Byłem wtedy chory i jakoś nawet przez głowę mi nie przeszło, że możesz się nie odezwać. Życie, jak widzisz, przerasta w niespodziankach nawet dość bujną domyślność. W poniedziałek zadzwoniła Twoja matka (poprzednim razem także ona dzwoniła), że dostała od Ciebie kartkę, że wyjechałeś. No cóż? Nie ukrywam, że było mi przykro. (...) Może się mylę, lecz przypuszczam, iż sądziłeś, że będę wylewał przed Tobą różne swoje troski i zmartwienia, że będę Cię usiłował na dłużej zatrzymać w Warszawie i narzucać Ci różne inne rzeczy, na które Ty mogłeś nie mieć żadnej ochoty. Rozumiem to wszystko dobrze i wierz mi, Marku, że jeśli tak właśnie było, jeśli, używając Twoich słów, «nie miałeś sił», żeby się ze mną widzieć, to wcale sobie tego wszystkiego nie tłumaczę na Twoją niekorzyść, że jesteś egoistą, nieczułym itd. Naprawdę nie. Być może nie zawsze potrafiłem uszanować Twoje racje, często ich nie rozumiałem. (...) Wiem dobrze, że jeśli siedzisz na wsi, to nie tylko dlatego, że masz tam warunki do pracy, lecz również i dlatego, żeby się wyłączyć z różnych przykrych komplikacji warszawskich, nie wyłączając w tym i mojej osoby. Niestety, zbyt późno doszedłem do tego przekonania. Gdybym zrozumiał to wcześniej - nie doprowadzałbym Cię zapewne do tego, że przyjechawszy do Warszawy, znalazłeś się wobec mnie w przykrych i kłopotliwej sytuacji".

Marek odpisał zarówno Machowi, jak i Andrzejewskiemu i otrzymał od nich obu jednocześnie odpowiedź.

Od Wilhelma Macha:

„Ukochany, Ukochany, Marku mój, Przyjacielu, Bracie najdroższy, najbliższy mi na świecie Człowieku, Światło moje, radości moja i smutku, Wszystko, co mam, Wszystko, czego mi brak. Ty jesteś miarą mojego czasu, objętością mojego serca, drogą doń, niecierpliwością szczęśliwą lub biedną przebudzeń, Ty jesteś moim mówieniem do ludzi, których co dzień spotykam, jesteś też wszystkim, na co patrzę, jesteś formą jak gdyby mojej świadomości, kierunkiem myśli, bólem serca, rozpaczą nad mijającym czasem, nadzieją i brakiem nadziei, szczęściem i bezsennością, krzykiem wśród nocy, milczeniem wśród zgiełku dnia, jesteś tym, co znalazłem, jest tak, bo Cię kocham, i będzie tak, póki Cię kocham - a wiesz, ile uczciwej i

aż bolesnej lęklivosti zawieram w takim sformułowaniu, a wiesz już i powinieneś wiedzieć, że najważniejszą jest wierność w sobie nie zadufana.

Ośmieliłeś mnie znowu swoją pamięcią, tymi listami kochanymi, do mówienia bez tych ostrożnych zastanowień, czy mi wolno tak, czy trzeba, czy warto, czy to Cię obchodzi, czy to do Ciebie dociera. Różnimy się od siebie, na pewno, nawet bardzo się różnimy - i stąd u mnie od czasu do czasu to (...) zamknięcie się w sobie z pozostawieniem jednego tylko okienka, przez które możesz oglądać we mnie tylko Twoje sprawy. Niech Cię to nie dziwi i nie gniewa. Boję się istotnie Twego zubożenia, Twego bardzo młodzieńczego entuzjazmu. (...) Twoje kłopoty i opory przy pisaniu rozumiem, przejmują mnie one szczerą troską, obaw jednak Twoich nie podzielam. Jestem pewny, że przełamiesz złą passę - a musisz wiedzieć, że złą passę będziesz przeżywał jeszcze niejedną raz w życiu".

Od Jerzego Andrzejewskiego:

„Boli mnie, Marku, że tyle rzeczy w naszych stosunkach nie potrafisz załatwić po prostu, naprawdę jakoś rzetelnie i wobec siebie, i wobec mnie. Piszesz mi w liście, że tak bardzo czekasz na listy ode mnie i niepokoisz się o moje sprawy, a w kilka dni później przyjeżdżasz do Warszawy i jakoś ten Twój niepokój nie okazuje się dość silny, aby go rozwiązać (...) więcej: mnie robisz wyrzuty, że nie piszę, i dajesz do rozumienia, że bardzo cierpisz. Co to wszystko jest? Po cóż ty się wplątujesz w tak głupie i przykre sytuacje? (...) A może uważasz, że stosunki z Tobą powinny się układać na zasadzie, że dla Ciebie wszystko, a Ty ze swej strony nic, prócz słów zapewniających o uczuciach i wdzięczności? (...) Do dzisiaj nie mogę sobie darować, iż byłem tak głupi i telegraficznie prosiłem Cię o przyjazd na parę dni, ponieważ nauczyłeś mnie, że prosić Cię o coś to znaczy narazić się na zupełne niezrozumienie. Tak, Marku, tak jest, bo chyba sam sobie zdajesz sprawę, że gdyby wchodziła w grę Twoja sprawa, coś, na czym Ci zależy - to stanąłbyś na głowie i przyjechał. (...) Ciebie doprawdy pojąć nie potrafię, nie wiem właściwie, kiedy jesteś prawdziwy, i kiedy wikłasz się w jakieś niepojęte dla mnie <<kryjówki>>. Chciałbym mimo wszystko, żebyś sobie raz nareszcie uczciwie określił swój stosunek do mnie. Myślę, że i mnie się to należy i mam prawo tego od Ciebie żądać. Chcę jasnej sytuacji, a nie kręactw i niespodzianek (...) Znasz mnie, wiesz, czego chcę ja; wiesz, jaki jestem, mój stosunek do Ciebie jest chyba aż nadto jasny. Chcę, żeby Twój był też jasny. Zastanów się nad tym. Zrozum, Marku, że mogę ponieść klęskę, ale nie mogę wciąż z Twego powodu popadać w szarpaniny, które zupełnie mnie niszczą i wykołują. Zdaję sobie sprawę, że ten mój list nie pomoże Ci w pracy, ale mimo wszystko musiałem Ci to wszystko powiedzieć. Odpowiedz sobie wreszcie, czy różne Twoje postęпки to tylko wynik Twego niezrównoważonego charakteru, czy też to jest Twój zasadniczy stosunek do mnie".

Marek, który dotąd pisał w listach o swych mękach twórczych, chorobie wujka, ciężkiej zimie i podartych butach, odniesionych przez szwagra do szewca, tym razem wyznał otwarcie:

„Drogi Jerzy! Będę starał się pisać z całą uczciwością, na jaką tylko mnie stać, i bez przesady. Na pewno masz mi za złe, że nie wstąpiłem do Ciebie, kiedy byłem w Warszawie. Po pierwsze, w Warszawie to ja byłem raptem jeden dzień, po drugie, trochę się bałem. Muszę Ci to napisać szczerze, choć możesz mi wierzyć, że drogo mnie to kosztuje, gdyż wiem, że chcąc nie chcąc, może, a może nawet musi, się w ten sposób coś zmienić; ale, Jerzy, ja chyba nie będę mógł być dla Ciebie tym wszystkim, czym Ty byś chciał i czym - może nawet więcej - ja bym chciał. Nie jestem za to odpowiedzialny, gdyż ostatecznie nie decyduję o tym, jaki się urodziłem.

Jerzy! Ja Ciebie bardzo kocham; wiem to może lepiej teraz niż przedtem; teraz, kiedy jestem daleko od Ciebie, sam tutaj. Ale to nie o to chodzi. Jesteś człowiekiem, dla którego mogę zmienić wyznanie, religię, no nie wiem co, ale Jerzy - są przecież sprawy, o których ja nie decyduję. Ciężko mi o tym pisać. Ja mam swoje urazy i kompleksy; wybrałem się do

lekarza; on mi powiedział, że takie historie (mówię o swojej jakiejś niechęci do każdego erotyzmu) zdarzają się dość często na zasadzie jakichś urazów; że oczywiście nie ma się czym przejmować, on mówi, że to samo wyklaruje się po jakimś czasie itd. To oczywiście bzdury i nie o to chodzi, ale ja Ci muszę o tym szczerze powiedzieć, bo mnie ta sprawa gnębi tak, że mi się żyć odechciewa. Jerzy! Bóg mi świadkiem, że robiłem jakieś nieśmiałe próby; robiłem je tyl-ko dla człowieka, który jest mi może droższy ponad wszystko, lecz cóż ja jestem winien, że mi to nie wychodzi.

Ja wiem, Jerzy, że to Cię może zabołec; wiem, że Cię to zaboli. Ale Ty sam przecież uczyłeś mnie całkowitej szczerości w tych sprawach; często miałeś do mnie pretensje za mój stosunek do Wilka, któremu - jak Ci się wydawało - nie mówiłem całej prawdy. Ty pytasz mnie o mój stosunek do Ciebie, Jerzy. Cóż na to odpowiedzieć? Nie wiem; boję się, że po tym liście będziesz na mnie rozgoryczony i że słowa nie będą miały dla Ciebie dużego znaczenia. Ja sam wiem, Jerzy, że same słowa doprawdy nie są dużo warte. Nie wiem, czy będziesz chciał dalej znać mnie jakoś bliżej, lecz ja Ci powiem - Jerzy, ja Cię na pewno bardziej kocham, niż Ty myślisz, a może nawet więcej, niż ja sam myślę.

Ja Ci powiem, Jerzy, jestem szczery - tak myślałem: <<Boże święty, może lepiej, aby on myślał o mnie jako o niktzemniku i niewdzięczniku; może żeby stracił do mnie wszystkie uczucia, jakie ma - tak będzie lepiej dla niego>>. Nie wiem sam do dziś, czy takimi myślami popełniałem podłość, czy nie. Ale staram się w tym wypadku więcej myśleć o Tobie niż o sobie - to wiem na pewno. Może jakoś błędę beznadziejnie w tym wszystkim? Teraz ja Cię proszę, Jerzy, abyś do mnie napisał oczywiście jak najbardziej szczerze, co o tym myślisz. Ja liczę się z tym, że Twój list zaboli mnie bardzo, bardzo. Ale mimo to ja Cię nie przestanę kochać. Jerzy, mój kochany, wierz mi, że naprawdę staram się pisać z jak największą uczciwością, na jaką mnie stać".

Jerzy Andrzejewski nigdy nie przestał kochać Marka. Nie był też w stanie dłużej się na niego gniewać. Marek natomiast nadal unikał wizyt u niego w domu, wołał już, żeby Andrzejewski przyszedł na Żoliborz. Wymawiał się brakiem wytrwałości w abstynencji, a stąd brakiem odwagi, by pokazać mu się na oczy, przygnębieniem, bólem zęba... Ale ciągle zapewniał go: „Nie mam droższego człowieka poza Tobą. Wychowałem się na «Popiele i diamencie»». Autor tej książki był dla mnie ojcem; był dla mnie wszystkim, w co warto, w co trzeba wierzyć".

„Marek miał bardzo poważny stosunek do Andrzejewskiego, ale nie kochał go" - twierdzi Henryk Bereza.

Hłasko zbliżył się do Henryka Berezy w 1956 roku po „apogeum przyjaźni" z Andrzejewskim. Razem pili wódkę w „Kameralnej", razem urządzali eskapady po Polsce, razem wyjeżdżali pracować do Kazimierza. Przez dwa miesiące mieszkali w jednym pokoju. Marek pisał „Następnego do rajy". Potem Bereza wyjechał, a Hłasko został i odpoczywał od pisania, spacerując po „pełnych rozlanej gliny kazimierzowskich wąwozach", a towarzyszył mu Jerzy Putrament, który również zatrzymał się w Domu Architekta. „Przyznaję - i ja się nie oparłem chęćce przewrócenia w głowie temu smarkaczowi. (...) Ów wysoki młodzieniec, z urodziwym, ale banalnym obliczem, właśnie utlenionymi włosami (pisałem niebawem o nim, że nie jest cynikiem, bo któryż cynik tleniłby je sobie?), wywierał i na mnie fascynację szczególnego rodzaju: czułem jego talent. (...) Nie agitowałem go, rzecz prosta. Zresztą, wtedy nie miałem za czym go agitować. Ani nie przestrzegałem przed głupstwami, w które popychali go liczni protektorzy. Powiedziałem rzecz może groźniejszą. Przestrzegałem przed bieżącą skalą porównawczą. Szczyty, które rzucali nam przed oczy krytycy, cóż one znaczą naprawdę? Przeżywamy niż...". Mówił to ten sam Putrament, który dwa lata później, w 1958 roku, zamieścił w „Izwiestiach" artykuł-donos na Hłaskę, że jest on „deprawatorem, szkodnikiem społecznym, zdrajcą" itp. W 1980 roku Putrament przywoływał początek kariery Hłaski: „Rzuciło się nań całe środowisko literackie i dokołaliterackie... Pierwsze, cóż,

pobawiło się, pobawiło. Jeden pan podrzucał młodzieńca innemu. Przewrócili mu w głowie, owszem, ale każdy pisarz w końcu odkrywał w nim jego możliwości i zatykało go tym silniej, im sam był więcej wart. Dostrzegał bowiem tempo, w którym ten młodzieniaszek będzie go dopędząć. Wtedy zachwyty traciły jednorodność, spławiła się gościa następnemu. Krytycy byli «wierniejsi», pociągała ich szansa wylansowania gościa na niebo literackiej sławy, grania przy tym roli usługowej".

Henryk Bereza twierdził, że to Marek od każdego odchodził „i to nic nie znaczyło. Ze mną też wyprawiał rozmaite rzeczy i potem wracał". Na przykład wyjechał bez słowa do Zakopanego z Andrzejem Dołęgowym (tłumacz z języka niemieckiego). Zadzwoił, zachwycając się, jaki ten Dołęgowy cudowny, a trzy dni później prosił, żeby Bereza przyjechał do Zakopanego, bo ma już Dołęgowskiego dość. Bereza wtedy powiedział: „Nie chcę, nie mogę", czuł się dotknięty. Przed świętami Bożego Narodzenia 1957 roku Marek miał złamaną rękę po bójce, jaką stoczył w „Kameralnej" w obronie czci żony Jana Brzechwy, obrażonej przez jakiegoś pijanego. W okresie rekonwalescencji po-trzebował szczególnej opieki i zainteresowania swoją osobą. Zadzwoił w środku nocy, żeby Henryk Bereza natychmiast przywiózł mu lekarstwo na uśmierzanie bólu, podał nawet nazwę leku, bo bardzo źle się czuje. Bereza zerwał się z łóżka, wystąpił w długiej kolejce w nocnej aptece, a kiedy wreszcie lekarstwo przyniósł, Marek udał oburzonego, że bliski człowiek robi mu takie świństwo. Przynosi lekarstwo dla kobiet mających bolesne menstruacje. I rozповідаł o tym, gdzie mógł. Potem Agnieszka Osiecka, wtedy narzeczona Marka, robiła Berezie wyrzuty, że jest „ostatni skurwysyn". „Cała Warszawa" mu o tym donosiła, jaki to on „ostatni...". Bereza, choć znał zagrania Hłaski, tym razem obraził się na niego i przestał się odzywać. Po jakimś czasie spotkali się przypadkowo na schodach Czytelnika. Henryk uklonił się oficjalnie, a Marek podbiegł, pocałował go w czoło, mówiąc: „Heniu, zgódź się, żebym to samo odegrał wobec Olimpii". (Olimpia Grochowska, redaktorka w redakcji literatury polskiej w Czytelniku)

Od 1956 roku Bereza, uznany i wpływowy krytyk literacki, był pierwszym czytelnikiem i recenzentem utworów Hłaski. Marek polegał na opinii Henryka. Razem omawiali zamysł „Cmentarzy". To Henryk Bereza napisał w sprawie Marka list polecający do Konstantego Jeleńskiego z paryskiej „Kultury" i przez jakiś czas był pośrednikiem w kontaktach między Hłaską a Maisons-Laffitte. W tym czasie protektorzy ze Związku Literatów namawiali Hłaskę do wyjazdu za granicę. „Są projekty, aby wysłać mnie do Wietnamu, ale to jeszcze mgliste bardzo historie, a ja sam - po doświadczeniach Wiktora Grosza, Wilczka i Macha, który leży w szpitalu obsypany wrzodami jak Piotrowin - jakoś bez entuzjazmu o tym myślę. Jest w Warszawie kilku spośród pisarzy, którzy będą czynili starania, aby wysłać mnie do Stanów Zjednoczonych - ale to jest jedna szansa na sto albo może nawet i tyle nie. Tam pojechałbym z entuzjazmem - ten kraj chyba najbardziej ze wszystkich mnie interesuje". Wydawałoby się, że lata 1956-58 są okresem wielkich zwycięstw Hłaski. Jego utwory cieszą się ogromną popularnością. Ma poparcie wpływowych przyjaciół, co owocuje konkretnymi korzyściami. Na początku 1956 roku, a więc w okresie „październikowej odwilży", Wydział Kultury i Nauki KC informował najwyższych dostojników partyjnych i państwowych, między innymi pierwszego sekretarza Władysława Gomułkę i premiera Józefa Cyrankiewicza, o nowym, ciekawym zjawisku w literaturze, jakim były utwory Marka Hłaski, „atakujące w sugestywnej formie bolesne strony naszego życia". Wkrótce potem Hłasko otrzymał z puli Cyrankiewicza mieszkanie.

Nie przeceniał tych zwycięstw. Czuł się „udręczony i zszarpany". Po ukazaniu się „Cmentarzy" jeden z „najinteligentniejszych krytyków młodego pokolenia", jak go określił Hłasko, powiedział mu: „Wziąłeś się nie za swoje sprawy. Polityka to nie dla ciebie. Trzymaj się tego, o czym jedynie potrafisz pisać: on i ona". Hłasko, będąc na emigracji, przyznał, że okres przed wyjazdem nie należał do najszcześniejszych: „Mimo wszystkich pozornych oznak

mego powodzenia, mimo nagrody, którą otrzymałem, i dużych zarobków, mimo sympatii lub braku sympatii ze strony czytelników, nie byłem zdolny do kontynuowania pracy. Przestałem wierzyć w samego siebie, w to, co pisałem, i w to, co piszę. Nie brakło takich, którzy spotęgowali we mnie to uczucie". Koledzy namawiali go do wyjazdu za granicę, ale Marek długo bronił się przed podjęciem decyzji. Jarosław Iwaszkiewicz, jeden z wielkich protektorów, nie krył swego rozczarowania, pisząc Markowi w liście z 24 stycznia 1957 roku: „Bardzo mnie martwi, że nie chcesz jechać za granicę, trzeba będzie coś wymyślić dla Ciebie - żebyś mógł pracować i liczyć na trochę forsy na każdego pierwszego. Wszyscy Cię bardzo lubią u nas w redakcji i niewątpliwie się coś wymyśli”.

Jarosław Iwaszkiewicz, ten „kobietom niemal niedostępny mężczyzna”, nie uległ nawet Irenie Krzywickiej - wampowi międzywojnia - a jej, „gorszycielce”, mało kto się oparł: „Jarosławie, Pan jest jednym z najpełniejszych ludzi, jakich zdarzyło mi się spotkać: i ogród, i salon, i dzieci, i faceci, i muzyka, i książki, i snobizm, i prostota. (...) Mnie zaś chwilami w stosunku do Ciebie paraliżuje zupełnie myśl, że może w tej chwili odczuwasz do mnie wstręt, zwyczajny wstręt fizyczny”.

Iwaszkiewicz nie robił wielkiej tajemnicy z tego, że woli mężczyzn niż kobiety, nie tolerował tylko aluzji i rozmów na ten temat w swojej obecności. Ale wyraźnie dawał do zrozumienia panom, z jakimi się stykał, który z nich jest w jego typie. Lesławowi Bartelskiemu na przykład wyraźnie powiedział, że mu się nie podoba. „Wcale mnie to nie zmartwiło, wręcz przeciwnie” - zapewnia Bartelski. Marek Hłasko prezesowi Związku Literatów Polskich bardzo przypadł do gustu, co ten okazywał w listach: „Sprawiłeś mi prawdziwą przyjemność swoją wizytą i dedykacją na książkę napisaną. Odwiedź mnie kiedy na dłużej w Stawiskach lub pozwól przyjść do siebie” (29 lipca 1956).

„Stęskniłem się za tobą, chciałbym Cię zobaczyć. Lubię Cię mimo wszystko. Ja choruję na gardło i na chandrę, wódki pić nie mogę - i żyć mi się nie chce” (10 listopada 1956).

„Tak się zgrywałeś, Maruniu, dla mnie czy dla tych nędznych kobiet, jakie tam były? (...) Chciałbym zobaczyć tę fotografię z Wrocławia, przynieś ją kiedy i przyjdź kiedyś, kiedy będzie mniej ludzi. Całuję Cię bardzo mocno” (24 stycznia 1957).

W liście z Kazimierza Marek przeproszał Iwaszkiewicza za swe zachowanie w redakcji „Twórczości”: „Bóg mi świadkiem - nie myślałem, że sprawię Panu przykrość. (...) Czasem ogarnia mnie kilka minut jakiejś piekielnej wesołości, za które potem muszę w ten czy inny sposób bardzo drogo zapłacić, (...) zalewam się po prostu i tylko dlatego, żeby przez parę godzin nie myśleć na serio o wielu sprawach, na które sam sobie nie potrafię poradzić i na które nikt - wiem to - nikt, nawet najbardziej życzliwi mi ludzie, nie potrafi mi poradzić, (...) Po przyjeździe do Warszawy przyjdę do Pana i przeproszę osobiście, jeśli rzeczywiście uważa Pan, że sprawiłem Panu przykrość. (...) Ten dobry, trzeźwy - Marek”.

A tydzień później, 7 lutego 1957 roku, Iwaszkiewicz zapewniał go z Rabki: „Drogi mój Maruniu! (...) Po co się sumitujesz? Wiesz dobrze, że gdyby nawet było co do wybaczenia, tobym Ci chętnie i natychmiast wybaczył, ale nie mam Ci nic do wybaczenia, naprawdę. Serce mi zawsze mięknie jak masło, gdy Ciebie zobaczę. Bardzo to dziwne uczucie, bo w żadnym stopniu nie erotyczne, tylko tak ubóstwiam Cię jako symbol, bo jesteś młody, ładny, zdolny. (...) Czytam o młodości Gide'a i Valery'ego i podziwiam, jak oni wierzyli w prawdę literatury. Dla nas to bajka o żelaznym wilku. Jestem na ogół dosyć przygnębiony, a piszę jak mrówka. (...) Całuję Cię bardzo mocno, jak kocham - Jarosław”.

Henryk Bereza zapewnia, że to on spośród mężczyzn był dla Marka kimś najbliższym. Był, jego zdaniem, męską wersją tego, co łączyło Marka z Agnieszką Osiecką. „Marek mnie bardzo potrzebował. Ja go bardzo kochałem. Moja miłość, z natury bardzo skomplikowana, była większa niż homoseksualna. I Marek to rozumiał. Ja mam pełną świadomość swoich komplikacji uczuciowych, ale nie można tego odbierać kategorycznie”.

Bereza nie oczekiwał od Marka tego rodzaju odwzajemnienia, którego żądali na przykład Mach czy Andrzejewski. Może dlatego Hłasko się od niego nie odwrócił. Nawet kiedy znalazł się za granicą i kazał matce „pędzić do diabła” wszystkich tych, którzy podają się za jego przyjaciół. Wszystkich, oprócz Henryka i „Czaczkes”, „bo to najlepsi ludzie, jakich znałem w życiu”. Zaraz po przyjeździe do Paryża Hłasko był jednak na Berezę zły: „Zapytaj się zresztą - prosił Agnieszkę Osiecką - tego tchórza, Berezy, co przeżywam i co się dzieje w mojej duszy: on ma zawsze na ten temat więcej do powiedzenia niż ja i zna moją osobę o wiele lepiej ode mnie. Heroiczny gówniarz i tchórz. Czy wiesz, że nie napisał do mnie ani jednego słowa? Ten apostoł heroizmu moralnego i wierności wobec raz przyjętej postawy. Nigdy nie miałem specjalnych złudzeń co do ludzi, ale ta sprawa napęła mnie wyjątkowym obrzydzeniem”.

Na zagraniczne stypendium, które obaj otrzymali, mieli pojechać razem. Markowi jednak stypendium cofnięto i musiał uciekać przed służbą wojskową. Berezie wyjechać już nie pozwolono. Ale to nie zazdrość była powodem, że Bereza długo nie pisał, i nie względy polityczne. Nie był w stanie, tak jak Andrzejewski nie był w stanie przyjść na drugi pogrzeb Marka ani napisać okolicznościowego tekstu. Zbyt to było bolesne.

Marek natomiast pisał Henrykowi Berezie: „Rozstania są tym nożem chirurgicznym, który otwiera i przecina pewne sprawy. Mogę żyć bez Soni, bez Warszawy, bez matki - ale nie mogę żyć bez Ciebie. Ty musisz do mnie przyjechać do Paryża. Paryż - to dla Ciebie ja: a więc Paryż czeka na Ciebie. Natychmiast idź po wizę; depeszuj, przysyłaj Ci pieniądze na podróż, co w tej chwili nie przedstawia dla mnie wielkiej trudności. Mam dla Ciebie prawie na sto procent zapewnione stypendium tutaj; a jeśli nawet nie - podzielę się z Tobą wszystkim, co mam i co będę miał”. Nie udało się, granica dla Berezy była zamknięta przez wiele lat. Marek przychodził do niego tylko w snach:

„...zjawia się on przede mną w pełnym blasku  
swojej osobowości i osoby - czułości i serdeczności  
między nami poufałość i bliskość - jestem uszczęśliwiony  
...między nami jest milczące porozumienie -  
Marek przeżywa swoje sprawy, ja nie narzucam się, czuwam tylko nad nim -  
czuwamy wzajemnie nad sobą -  
wzajemna czułość widoczna jest w spojrzeniach  
Marek wygląda pięknie, ma jednak siwe włosy -  
to ślad jego przeżyć i dramatów

...jestem z Markiem Hłasko, on powrócił z Francji  
- przebywam wśród ludzi, którzy prowadzą  
literackie pismo i działają na emigracji -  
wiem, że Marek liczy na jakieś stanowisko -  
liczy na mnie -  
jest do mnie zdystansowany -  
zarazem widać w jego oczach uległość wobec mnie -  
obaj krążymy wokół siebie

...wrócił Marek Hłasko -  
przejmuję się jego powrotem ja, przejmuje prosta dziewczyna -  
Marek pojawia się i znika, śpi w moim łóżku -  
mówi się o jedzeniu dla niego -  
Marek rozmawia ze mną -  
przyglądam się jego stopie, jest jakby dziwna -

biorę jego stopę do ręki -  
myślę o Marku wyglądzie -  
nie wiem, jak to teraz będzie -  
Marek będzie przychodził w nocy -  
będzie żądał, żeby być ciągle dla niego -  
żeby być do jego dyspozycji

...rozlega się głos Marka Haski -  
o Marku wiadomo, że nie żyje -  
jest to wielka tyrada z oskarżeniem  
dorozumiewam się, że Marek oskarża Jerzego Andrzejewskiego -  
coś, w tej tyradzie dotyczy przedstawienia -  
swoją tyradę Marek kończy słowami,  
które chcę zapamiętać dokładnie -  
czy można przez całe życie kochać jedną kobietę? - nie można  
i to jest kłamstwo literatury  
czy można kochać po kolei stu pięćdziesięciu pięciu facetów? -  
nie można  
i to jest kłamstwo lit... przepraszam,  
i to jest kłamstwo życia".

Podświadomość jest bardzo wymowna. Tyle w tych snach czułości, intymności, bliskości. Bereza nie lubi słowa „podświadomość”, woli określenie „wyobraźnia oniryczna” i mówi, że jego sny są autentyczne, nie podkoloryzowane i że tworzą „fikcyjną historię Marka Haski”.

Henryk Bereza długo nie chciał rozmawiać o Marku. W 1990 roku powiedział, że jeszcze nie czas. Aż wreszcie, pięć lat później, sam wydrukował w „Twórczości” fragmenty „Oniriady” i część swojej korespondencji. Ciekawy jest list Berezy do Alicji Dryszkiewicz, osoby z kręgu bliskich znajomych Marka Haski, jeszcze z jego warszawskich czasów:

„(...) O tej rozmowie, po ćwierćwieczu od naszego spotkania, dużo myślę. W tym, co mi piszesz, olśniła mnie teoria gniazda rozpusty, w jakim mnie ulokował nasz miły znajomy.

Z tą teorią występują od czasu do czasu różne życzliwe osoby i zawsze to ożywia moją wyobraźnię.

Moja wyobraźnia, jak widać to w zapiskach onirycznych, nie wykazuje pod względem seksualnym szczególnej potencji, ale każda wzmianka o gnieździe rozpusty przywraca jej naturalną moc. Stają mi przed oczyma postacie żywych i zmarłych, są wśród jednych i drugich osoby o największej seksualnej atrakcyjności, niektóre z nich musisz pamiętać.

Zaczynam czytać wiersze miłosne jednych i drugich, ciała kłębią się jak w jednym moim zapisie onirycznym (o sytuacji w Polsce w czasie stanu wojennego), powstaje wielka kupa seksualna jak piramida Cheopsa.

Czuję się wtedy, jakby mi ubyło co najmniej pół wieku. Wtedy też od razu rozumiem, jak moje oceny literackie zależą od moich seksualnych fascynacji. Podziwiam przenikliwość naszego uczonego, cieszę się, że mnie przeświecił do samego dna, że wie wszystko, co wiem ja. Wybacz mi, Alicjo, ten list trochę rozrywkowy (...)

Tego listu Henryk Bereza nie chciał skomentować. „To jest ukryta sprawa” - powiedział. W prywatnej rozmowie z Krzysztofem Kąkolewskim Bereza wyznał, że lubi tylko twórczość Kochanowskiego, nikogo ze współczesnych. Zapytany, dlaczego zatem o Kochanowskim nie pisze, odparł: „Nie robi się tego, na co ma się ochotę, a to, co trzeba”.

Po latach, na emigracji, Marek Hasko najmilej wspominał swego przyjaciela z Polski, Edwarda Bernsteina, z którym wspólnie urządzili niejedną awanturę. W „Pięknych



dwudziestoletnich" napisał o Bernieście: „Był i jest moim największym przyjacielem”. A kiedy mówił o nim dziennikarce w czasie swego ostatniego pobytu w Izraelu, a więc na krótko przed śmiercią, był wyraźnie wzruszony. Ale Bernstein zwracał się do niego w listach: „Stary, kochany byku!” albo „Byku najdroższy!”, a nie „Ukochany, Ukochany, Marku mój”.

Iwaszkiewicz w ogóle nie chciał widzieć. Podczas jednej z podróży do Włoch prezes Związku Literatów Polskich zadzwonił do Marka, proponując spotkanie. Hłasko opowiedział o tym Henrykowi Rozpędowskiemu z wyrazem niechęci i dodał: „Wielkiego Knuta Hamsuna nie ma w bibliotekach, bo mu się zdawało, że Hitler nie był diabłem. Dlaczego Iwaszkiewicz ma w nich być? Dlatego, że Bierutowi na imieniny pisał wiersze, a że Stalina chciał uczynić Polakom postać godną czci i kochania?”.

W tym samym mniej więcej czasie (rok 1961) Iwaszkiewicz miał kłopoty w kraju: „właził w jakąś kabałę z chłopakami - szantaże itp. - zwrócił się do partii o pomoc. Gdzie są te dobre stalinowskie czasy! Wtedy tego nie było, bo Iwacha mógł spowodować aresztowanie facetów przy pierwszym szantażu, a w tym liberalniejszym świecie jednakże go trochę kosztowało”.

W stosunku do Jerzego Andrzejewskiego Hłasko pozostawał przyjacielski, chociaż nie jednoznacznie. W Izraelu na przykład planował napisanie powieści - odpowiedzi na „Popiół i diament”, na „całą jego prawdę, która jest kłamstwem” - jak mówił. Po filmie Wajdy wyszedł roztrzęsiony. „Długo złorzeczył obu, Andrzejewskiemu i Wajdzie. (...) Chciał być łaskawszy dla Cybulskiego, ale mu się to nie udało, szydził z Maćka-akowca, jego zdaniem nieporadnego jak przedszkolanka z rewolwerem, (...) potępiał komunizm coraz ostrzej”.

Jednak kilka lat później, w roku 1965, po spotkaniu w Paryżu z synem Jerzego Andrzejewskiego, Marcinem, Hłasko napisał do dawnego swego mistrza serdeczny list. Na ile szczerzy, trudno powiedzieć, w każdym razie w liście powtórzył, że jego „przywiązanie do «Popiołu» jest straszliwe”. Zapraszał Andrzejewskiego do odwiedzin: „Nie wiem dlaczego, ale mam jakieś głębokie, wewnętrzne przekonanie, że wspólnie spędzony czas zrobi nam obu dobrze; mogę Ci przysiąc, że będę Twoją niańką i wszystkim, co tylko chcesz. Przemyśl to”. Zygmunt Hertz przewidywał, „że Jerzy tu spłynie, bo jego największą miłością był i jest Hłasko. Powiedziałem Irenie (Szymańskiej, redaktorce Czytelnika - B.S.) i zapowiedziałem Markowi, że ja się w tym wypadku wyłączę. Jednego drania jeszcze wytrzymam, ale dwóch na pewno nie. Hłasko ma sentyment do Jerzego - po swojemu myślę, że głęboki - Jerzy go w pewnym sensie formował, opiekował się nim, lansował, wywalczył niewzięcie do wojska, wtedy miał swoje "poselskie" stosunki. Marek - ku mojemu zdumieniu - pamięta to dobrze i właściwie bardzo chciałby przyjazdu Jerzego. Myślę, że będzie pasmo awantur. A może i nie”.

Zanim Andrzejewski dojechał do Paryża, Hłasko był już w Ameryce. Z Los Angeles namawiał go do odwiedzin, podpowiadał pomysły, jak to zrealizować: „Myślę, że gdybyś chciał tu przyjechać i, powiedzmy, gdyby Stany Cię zainteresowały, to bez trudu mógłbyś - gdybyś chciał napisać książkę o Stanach - dostać sporą zaliczkę i siedzieć tutaj. Mógłbyś poza tym mieć odczyty na uniwersytecie; chociaż Bogiem a prawdą nie bardzo sobie wyobrażam, aby Ci to odpowiadało”.

Andrzejewski bardzo cierpiał po wyjeździe Marka; tak jak kobiety, szukał go w innych mężczyznach, i - też tak jak one - nie znajdował. Jerzy doszedł dna w pijaństwie, w historyjkach seksualnych”.

Opowiadał Andrzej Brycht 11: „On był ważny, na pewno. Absolutnie. Ale ja go zapamiętałem bardziej z różnych scen obyczajowych. Pewnego razu wziął mnie do szkoły głuchoniemych. Mieliśmy ze sobą wódkę i wino. Jakies ze trzy butelki wina miałem w kieszeniach, on miał butelkę wódki. Wciągnął mnie do ogrodu za tym domem i tam wypiliśmy po parę łyków wódki. I on mówi: «Chłodno się robi, dokąd pójdziemy?». Do knajpy już nie chciał, był tak pijany.

Mówi: «Musimy gdzieś iść i pić». I tam właśnie, przy tych głuchoniemych, on mnie objął i chciał mnie tak jakby pocałować, miał taki odruch jakiś, ale ja to odczytałem jako przyjazny i pijacki gest. Zaczął mi opowiadać o Skolimowskim, w którym się kochał. I tak siedzimy i nie wiemy, co robić. I w pewnym momencie on mówi: «Chodź, pójdziemy do Wilka Macha». A Mach mieszkał niedaleko przy Kruczej. I poszedłem do Wilka Macha pierwszy raz. Mieszkał na samej górze... Wilek otwiera drzwi, a tu bum! Rozlało się czerwone wino. A on tak dbał o porządek. (...) w środku siedzi Kawalerowicz. Zmęczony Andrzejewski momentalnie padł na tapczan i tylko co chwilę wyciągał rękę po kieliszek i pił. I mówił: «Ach, jak ja cierpię, jak ja strasznie cierpię. Marcyczku. Marcyczku».

A Wilek z kuchni mówi: «Jerzy, zapomnij o Marku. Marek jest w Paryżu i szybko go nie zobaczysz», (...) Hłaskę, jak się potem okazało. Ja miałem wątpliwości, bo on w tym czasie znał innego Marka, młodego chłopaka, siedemnastolatka ze szkoły ogólnokształcącej, który rzucił szkołę i z nim był, o czym jeszcze wtedy nie wiedziałem. Kawalerowicz patrzy na nas, bo to jest normalny mężczyzna, i pewnie myśli sobie, że może ja jestem pedałem.

A Mach zwraca się do Andrzejewskiego: «Przecież przyszedłeś tutaj z panem Andrzejem Brychtem, to się nim zajmij, proszę bardzo». Andrzejewski leży na tapczanie i mówi tak: «Ten Brycht to jest kłoda, to jest drzewo, to jest cbłop». (...) Mówię do Kawalerowicza: «Wie pan, Jerzy to ma problemy, ja takich nie mam». (...) Chciałem się odciąć od tej czyści seksualnej, (...) to jest dla mnie wielki pisarz. Ja tu jestem mały, początkujący, ale nie przez łóżko. Ja się nie nadaję do tego».

Wilhelm Mach wcześniej zrozumiał, że musi zrezygnować z Marka. Zapałał wielką miłością do filmowca z Bułgarii, który jednak zdradzał go z Andrzejewskim i z własną dziewczyną. Aż wreszcie wrócił do swojego kraju i się z nią ożenił. Mach w 1965 roku popełnił samobójstwo. Marek od siedmiu lat przebywał na emigracji, z Palermo napisał do matki: „Śmierć Wilhelma bardzo mnie poruszyła. Znałem go dobrze. Wiem, że bardzo cierpiał nad swymi nieszczęsnymi skłonnościami. Wiem, że ludzie wyzyskiwali go bez litości. I wiem, że zawsze starał się czynić dobro w miarę swoich skromnych możliwości. Nasze drogi rozeszły się jakoś pewnego dnia, ale zawsze byliśmy w przyjaźni».

Na emigracji, w Izraelu, w chwilach regresu pisarskiego, nękany biedą i wątpliwościami, gdzie i jak żyć, co robić, czy kiedykolwiek jeszcze coś napisze, czy warto, czy to jest zajęcie dla mężczyzny, Marek zwykł mawiać, że „Hłasko to wynalazek alkoholików i pederastów”. Jak wspomina Henryk Rozpędowski, wypowiadał to „ze złośliwą satysfakcją, śmiejąc się z ironią i rubasznie”. Rozpędowski ma własny - nie do końca jednak przemyślany i uzasadniony - pogląd na temat uczuciowych powikłań Marka: „Nie wiem, czy Hłasko w pełni zdawał sobie sprawę ze swoich kompleksów, nie wiem też, jak bardzo te kompleksy wyolbrzymiała lektura pism Dostojewskiego. Nie wątpię przecież, że dawał im mocny wyraz w swojej twórczości. Nie wątpię też, że w pewnych okresach miał, słabsze lub silniejsze i niekoniecznie realizowane, skłonności homoseksualne, które mogły być poszukiwaniem rekompensaty lub rekompensatą za uczucia niechęci i pogardy, za brak szacunku dla kobiet. I nie tylko dla kobiet».

Zygmunt Hertz przypuszczał, że Marek „nie miał wielkiej skłonności do kobiet, stąd jego powodzenie, przez obojętność. Miał homoseksualny podkład i starannie to ukrywał, był w nieustannym wewnętrznym konflikcie. Właściwie nienawidził kobiet; matkę, Sonię, inne, które znam, traktował en canaille, I tak poszło!».

Pierwszą młodzieńczą miłością zapałał jednak do kobiety, Wandy. A wcześniej, w 1945 roku, dziecięcą do Ali Kozłowskiej, u której rodziców zatrzymał się razem z matką w czasie wojennej wędrówki. „Nie dała mi się nigdy pocałować” - użalał się jedenastoletni Marek w swoim pamiętniku. A Hanka Golde? Jak zapewnia Henryk Bereza, który znał Hłaskę bardzo dobrze, Hanka była nie tylko wielką miłością Marka, ale i największym spełnieniem seksualnym.

Śmiało pytanie zadał Markowi Władysław Tubielewicz, do którego jeszcze w Warszawie dochodziły różne pogłoski. Hłasko odpowiedział: „Daj spokój, to tak przyłgnie do człowieka. No, mieszkałem u Andrzejewskiego, ale to nic nie znaczy. Pedał, pijak i pracuje w SB, tak można załatwić każdego”. Tubielewicz zapewniał, że w Izraelu Hłasko otoczony był jedynie uwielbiającymi go kobietami, a także mężczyznami, którzy lubią, kobiety.

Andrzej Roman spędzał w towarzystwie Marka nieraz kilka dni z rządu w nocnej „Kameralnej”. W czasie jednego z takich „maratonów”, na wiosnę 1957 roku, Marek nagle zaproponował wyjazd do Kazimierza nad Wisłą. W Środku nocy zadzwonił do kierownika parku maszynowego w gmachu Komitetu Centralnego PZPR, „miał takie znajomości”, i zamówił pojazd na piątą rano. Punktualnie o tej godzinie służbowy samochód podjechał pod „Kameralną”. O tej porze roku Kazimierz był spokojny i niemal pusty. Marek z Andrzejem zamieszkali w Domu Architekta, spali do południa, szli na spacer, „żeby się natlenić”. Po obiedzie Hłasko zamykał się w pokoju i „tworzył w mękach”, a Roman szedł do baru. Potem kolacja, rozmowy, szli spać około jedenastej, czytając przedtem w łóżkach. „Może nie byłem u jego typie - mówi Roman, który, jak by powiedział Brycht, jest normalnym mężczyzną - ale w stosunku do mnie nie okazał nawet najmniejszego gestu, będącego czymś więcej niż kumplostwem. A po wódce wychodzi prawdziwa natura człowieka”. W towarzystwie z kręgów „Kameralnej” liczyli się wzajemnie dla siebie mężczyźni, niezależnie od preferencji seksualnych. Razem się zapijali i razem rozstrzygali owe „sprawy ostateczne”. Kobiety były dodatkiem, lepiej było się nie przyznawać, jak ważnym. To nie był ten styl.

Idolami Hłaski „byli ci, którzy ryzykują życie, płyną pod prąd. Lub na takich wyglądają. Pilot wielkich linii lotniczych, Humphrey Bogart, James Dean i reżyser, który stworzył Deana, Nicholas Ray. W Ameryce Hłasko sam został pilotem, żeby się zbliżyć do ideału. Ale czy te fascynacje miały podtekst erotyczny, czy też bardziej wiązały się z kompleksem „prawdziwego mężczyzny”, który tkwił w nim od dziecka? Cioteczny brat Hłaski, Andrzej Czyżewski, pamięta, że Marek jako chłopiec, potem nastolatek, cierpiał z powodu dziecinnego wyglądu, wydawał się młodszy od rówieśników. I to w nim pozostało. Mając osiemnaście lat, marzył, by mieć pooraną bruzdami, zeschniętą twarz. By być silnym, odważnym, twardym.

Marek Porębowicz ocenia „przyszywanego” kuzyna tak: „Był miękkim facetem, psychicznie i fizycznie, wbrew imponującej posturze. Miał wiele cech kobiecych, na co nie miały wpływ miała matka. Wiedząc o tym, podejmował męskie gry”.

Wspomnienie Andrzejewskiego, zwłaszcza pobytu w jego domu, wróciło do Marka Hłaski w dwójnasób pod koniec 1965 roku w Paryżu. Wtedy to bowiem Marcin Andrzejewski przywiózł mu wiadomość z Polski, że ich służąca, Urszula, ma z Markiem dziecko. O dziecku, które urodziło się w 1955 roku, Hłasko wiedział już wtedy, ale wówczas nikt go nie poinformował, że to on miałby być jego ojcem. Przez dziesięć lat żył więc w przekonaniu, że chłopiec o imieniu Janusz jest synem męża Urszuli albo Andrzejewskiego. W jednym z listów do autora „Popiołu i diamentu” uczynił nawet aluzję: „I ojcowie zostają ojcami”. W 1965 pytał więc Andrzejewskiego zaskoczony: „Czy to prawda, że Urszula ma syna ze mną? Jeśli jest podobny, to napisz mi coś na ten temat. I jak on się nazywa? Czy to w ogóle prawda?”. Nie wiadomo, co Andrzejewski odpisał Markowi, list się bowiem nie zachował. Natomiast rok później, czyli w 1966, Urszula J. przyszła w tej sprawie do Marii Hłasko. Pani Maria dała jej amerykański adres syna i sama również do niego napisała. Marek nie mógł zrozumieć, „o co chodzi w tej sprawie z dzieckiem”. Rozmawiał na ten temat ze znajomym lekarzem, który powiedział mu, że grupa krwi może ojcostwo wykluczyć, ale w żadnym wypadku ustalić. I poradził, by obserwować dziecko, bo wcześniej czy później muszą wystąpić jakieś cechy podobieństwa, ale równie dobrze mogą się one ujawnić w dwudziestym roku życia. „Zresztą ja też nie jestem podobny do ojca, a raczej do Ciebie - rozważał w liście do matki. (...) Co do dziecka, to jak ładne - brać, brzydkie - zastanowić się. Ale w żadnym wypadku nie wyrzucać

tej kobiety i jej dziecka, nie odpychać od siebie, bo gdyby dziecko było moje, tobyśmy zrobili straszną krzywdę temu dziecku i tego by nam Bóg nie przebaczył.

PS. Przyślij mi zdjęcie pętaka".

Maria Hłasko przysłała zdjęcie, a Marek nadal nie wiedział, co o tym sądzić: „Ładne, chyba miłe dziecko - ale czy ja wiem. Nie o to chodzi; jeśli dziecko jest moje, zajmujemy się nim, to jasne, jeśli nie, to po co ta cała komedia. Tu trzeba poruszyć pierwsze dwie zasadnicze sprawy; dlaczego, jeśli dziecko jest moje, dowiedziałem się o tym dopiero w roku 1965? Dlaczego nie dowiedziałem się o tym w Polsce czy też choćby wcześniej? Druga: dlaczego jej mąż, ten biedny człowiek, żył tyle lat oszukiwany? To najbardziej okrutna rzecz, jaką można wyrządzić człowiekowi; w końcu musiał to dziecko jakoś po swojemu kochać czy też choćby lubić. A nawet jeśli nie jest najgłupszym z ludzi, to też ma jakąś człowieczą dumę w sobie; jakąś godność, której być może nie dostrzegamy my, ale o której wie tylko Bóg i ten mężczyzna; a może tylko sam Bóg; dlaczego więc Urszula obeszła się z nim tak okrutnie? A jeśli kłamała jemu - jaką mamy pewność, że nie kłamię nam? Ja byłbym szczęśliwy, gdyby dziecko było moje, i chętnie pomogę w jego utrzymaniu; lecz tylko, kiedy będę miał stuprocentową pewność, że to dziecko jest moje.

Urszula być może myślała, iż jestem za młody czy też za dziki; czy też, że łączą nas pewne różnice uniemożliwiające małżeństwo, i może tą drogą to wszystko poszło; może dlatego ten inny człowiek krzyczał być może na moje dziecko. Gdyż to jest jedyne logiczne wytłumaczenie. Jednak logika nie zawsze zbiega się z moralnością. To prawda, że żyłem z nią jak jej narzeczony, gdy jej mąż był w wojsku w ułanach czy też coś w tym rodzaju. To było wiele lat temu; dzisiaj nie tknąłbym kobiety zamężnej czy też zaręczonej. Niemniej jednak, jeśli to dziecko jest nasze, musimy je ratować; jeśli nie jest nasze, to pozostaje tylko zwykła sprawa o oszustwo i wtedy możesz zrobić z tym, co zechcesz".

Hłasko poddał się medycznym metodom ustalania ojcostwa i zażądał, by Urszula ze swej strony również nie zaniebyszała sprawy. W związku z tym prosił matkę, by przysłała mu wykaz wszystkich chorób, jakie przeszedł w dzieciństwie, a także by przyglądała się chłopcu, zwracając szczególną uwagę na kształt rąk. Ustalili, że najodpowiedniejszym miejscem do obserwacji będzie wiejski dom w Stoczku, dokąd Maria zaprosi dziecko, najlepiej razem z jego matką; „trudno, będziecie się najwyżej zreć przez parę dni" - przewidywał Marek. W każdym liście na temat swego ewentualnego ojcostwa zapewniał, że będzie szczęśliwy, jeśli dziecko okaże się jego. Maria również cieszyłaby się, gdyby tak było. Jednak jej spostrzeżenia wskazywały na co innego. Opowiadała siostrzeńcowi ze strony drugiego męża, Markowi Porębowiczowi, że „Urszula wmawia, że to dziecko jest Marka, ale to nie jest Marek. Niepodobny i za mało ruchliwy jak na jego dziecko". A chłopiec rzucał się „babci" na szyję. Hłasce się to bardzo nie podobało. Ostrzegął matkę: „Nie angażuj się uczuciowo w sprawy wątpliwe; jeśli milczą, nie odzywaj się, to znaczy, że chodzi o jakąś grę, a nie o szczerze wyjaśnienie sprawy. Tak długo jak to będzie grą - zupełnie mnie to nie interesuje. Tylko szczerze, uczciwe postawienie sprawy; przedstawienie dowodów - wtedy ja się włączę, (...) odczekaj nieco i nie przejmuj się".

Urszula nie ograniczała się do kontaktów z matką Marka. Napisała również do niego, wyjaśniając: „Wydaje mi się, że nie ma w tej chwili sensu, Panie Marku, tłumaczyć, dlaczego jeszcze przed urodzeniem Janusza, a nawet i później, nie robiłam niczego, aby sytuację wyjaśnić". Z punktu widzenia Marka było całkiem inaczej. Ja w końcu mam prawo czuć się trochę zaskoczony, będąc ojcem dziecka, które za cztery lata pójdzie do wojska". Kiedy Hłasko pisał te słowa, był już rok 1968. Urszula nie ustępowała. Nie przedstawiając dowodów, wciąż pisała do Marka listy, a w jednym z nich zażądała dla siebie pomocy. „W ten sposób sprawa się wyjaśnia - podsumowywał Marek - i tym razem zakończę ją na dobre. Nie ma co do tego wracać". Dla Marii Hłasko historia z dzieckiem jeszcze się jednak nie zakończyła, bo Urszula J. nadal nie dawała jej spokoju. Pani Maria zaprosiła więc któregoś

dnia do siebie Jerzego Andrzejewskiego, który potwierdził jej opinię co do braku podobieństwa Januszka do Marka i wziął pod uwagę sugestię pani Marii, że chłopiec ma pewne jego cechy. Po jakimś czasie Andrzejewski usynowił Janusza.

Urszula J. była dziewczyną z podkrakowskiej wioski, kiedy poszła na służbę do Andrzejewskich. Poprzez syna związana jest z rodziną do tej pory. Agnieszka Andrzejewska nie chciała podać jej adresu, usilnie zapewniając, że rozmowa z nią nie ma sensu. Najpierw Urszula była chora, potem wyjechała do sanatorium, przedłużyła pobyt; następnie wyjechała gdzieś Andrzejewska, a wreszcie podała niewłaściwy numer telefonu i kazała nie brać na serio wszystkiego, co mówi Urszula, bo „to prosta kobieta i mitomanka”. Udało się jednak odnaleźć Urszulę J. bez pomocy Andrzejewskiej. Zgodziła się na rozmowę, ale przed podjęciem ostatecznej decyzji chciała się poradzić „pewnej osoby”. Zapytana, potwierdziła, że chodzi o Agnieszkę Andrzejewską. Po konsultacji odmówiła. I tak kilka razy na przestrzeni ośmiu lat: wahanie, konsultacja, odmowa.

## MATKA

W posłowie do „Matki Hłaski” Krzysztof Kąkolewski napisał: „Czytając tę książkę, można odnaleźć załączek tragedii Marka w jego stosunku do matki. Matka Marka jest osierocona przez syna, który odszedł przed nią, odwracając porządek śmierci, co matkę Marka upodabnia do matek chłopców poległych w latach 1939-45, ale zarazem jest kimś oskarżonym, kimś, kto usprawiedliwia się przed samym sobą. Potem matką dla niego byli koledzy, przyjaciele, Polska, cały świat. Nigdy nie darował matce związku z Gryczkiewiczem. Nie lubił ojczyzna, czuł się obrabowany z najcenniejszego skarbu: miłości matki, (...) matka zaczęła naprawdę kochać Marka z chwilą, gdy go straciła i została na zawsze sama. Ale on już tego nie wiedział. U Prousta było to zaledwie niepocałowanie na noc - wyobraźmy sobie uczucia Hłaski! Przewrażliwienie i nadspozregawczość, które karmiły jego talent, stały się załączkiem jego zagłady”.

Rodzina Marii była tą konstatacją oburzona. Jej zdaniem życie jest o wiele bardziej skomplikowane niż literackie pointy.

Rodzice Marka rozwiedli się, gdy miał on trzy lata. W rok później Maciej Hłasko ożenił się ponownie, a w następnym roku, czyli 1939, zmarł na gruźlicę. Na łożu śmierci - jak podaje rodzinny przekaz - pragnął wrócić do swojej byłej żony i ponownie wziąć z nią ślub.

Trudno dziś dokładnie ustalić, kiedy Maria Hłasko poznała Kazimierza Gryczkiewicza, w każdym razie jeszcze przed wojną, w czasie pobytu w sanatorium. Kazimierz był starszym od niej o trzynaście lat, przystojnym i dobrze wtedy sytuowanym dyrektorem Państwowych Zakładów Ubezpieczeń. Oficjalnie zaczął się pojawiać w towarzystwie Marii podczas wakacji w latach 1939-44 w jej rodzinnej posiadłości w Szczakach-Złotokłosiu, gdzie każdego roku mieszkała z synem od wiosny do jesieni. To dla niej Kazimierz porzucił rodzinę. Jego siostrzeniec, Marek Porębowicz, mówił o wuju: „To był święty człowiek, z tym jednym, wielkim grzechem. Ale do końca życia, jak mógł, pomagał córce i byłej żonie. W czasie wojny, zanim się rozwiódł z pierwszą żoną, wspierał również Marię Hłasko, a w 1945 roku ścisnął ją do Białegostoku, gdzie został oddelegowany do pracy w Państwowym Zakładzie Ubezpieczeń Wzajemnych. Zamieszkali razem przy ulicy Mohylewskiej 22 m. 6.

„Ci, którzy srogo osądzają ciotkę - podkreśla jej siostrzeniec, Andrzej Czyżewski (syn Teresy) - niech pamiętają, że miała ona tylko dwadzieścia dziewięć lat, kiedy została bez

męża. A kiedy zdecydowała się zamieszkać z innym mężczyzną - trzydzieści siedem. Jej majątek stanowił tobolek, z którym wyszła po Powstaniu Warszawskim, reszta zniknęła w płomieniach".

W 1945 roku Marek miał jedenaście lat i dotąd matka była tylko jego własnością, z nikim nie musiał się dzielić jej miłością. Swoje uczucia odnotował w pamiętniku 3 marca tego roku, kiedy mieszkali jeszcze w Częstochowie i byli tylko dla siebie: „Auu! auu! O ja biedny! O ja nieszczęśliwy! O ja biedne opuszczone dziecko! auu! auu! Moja mama pojechała do Warszawy i nie wraca, a ja nieszczęsny tęsknię okropnie. Co prawda przyjechać miała dopiero jutro, ale ja się tak stęskniłem, że dla mnie jeden dzień to tyle, co septylion lat. A być bez matki to straszna rzecz! oj tak”.

Kiedy był jeszcze młodszy, nie pozwalał mamie nawet zatańczyć ze szwagrem. Chwytał ją za nogę i mówił: „To jest moja prywatna mama, ja sobie ją wybrałem”. Nic więc dziwnego, że kiedy pojawił się rywal, znenawidził go i traktował jak wroga. Maria Hłasko długie lata stała pośrodku drogi, dzieląc i godząc dwu wzajemnie o siebie zazdrosnych i wciąż zwaśnionych, męża i syna. Marek od urodzenia nie był dzieckiem ani spokojnym, ani łatwym. Ruchliwy, wrzaskliwy, zaborczy, bystry, inteligentny. Gdy miał sześć lat, prowadził „Kontrolkę mojej grzeczności”, rodzaj pamiętnika, w którym pisał: „I byłem bardzo niegrzeczny. I mama chciała mnie uderzyć, ale ręka jej się zatrzęsła, bo przecież wcześniej mówiła: «Boziu, daj mi synka, daj mi synka»”. Tylko raz dostał lanie, kiedy na podwórku uderzył młotkiem koleżankę.

Na początku 1946 roku Kazimierz Gryczkiewicz został służbowo przeniesiony do Wrocławia, gdzie otrzymał nowe zadanie - organizowanie oddziału PZUW. Zabrał ze sobą Marię i jej syna. Zamieszkali w segmencie domu przy ulicy Borelowskiego 44. Latem tego samego roku Marek pojechał na obóz harcerskim do Obornik Śląskich. Po odwiedzinach u Marka matka wysłała mu list:

„Mój Maleńki Synku - moja Wielka Tęsknoto. Tak jak Ci obiecałam, już dzisiaj piszę do Ciebie. Jestem pod wrażeniem mojej wczorajszej wizyty u Ciebie. Taki byłeś inny niż zwykle, tak kochany, bliski, spokojny, taki czuły i kochający. Mój Synu - gdybyś wiedział, jak inaczej się obcuje z Tobą, kiedy jesteś taki właśnie, a nie taki rozhukany jak zwykle.

Jeszcze odczuwam smutek wczorajszego rozstania z Tobą i jeszcze mam przed oczyma Twoją drobną sylwetkę stojącą na peronie”.

166

W dwupoziomowym domku we Wrocławiu Marek najpierw zbiegał z hukiem po schodach, a potem wbiegał w zabłoconych butach na górę. Matka zmęczona migreną leżała po pracy w łóżku, a pedantyczny ojczym - którego Marek nazywał „Massą”, co w języku Murzynów znaczyło „pan” - ciągle go upominał: „Marek, uspokój się, matka śpi. Marek, wytrzymaj buty, nie kładź tam, połóż tu. Marek, umyj ręce...”. I Marek uciekał z domu; do znajomych, do rodziny.

16 marca 1948 roku zostawił matce list:

„Kochana Mamo! U Babci nie będę, bo ja jestem tam więcej niż niepotrzebny. «Massa» złamał mi życie i przez niego jest taka sytuacja. Z domu nie ukradłem nic. Pieniądzy nie mam, ale dam sobie radę. Kocham Ciebie tak samo, jak kochałem, tak mi przykro, że wolisz obcego człowieka niż mnie. Nie dziw się, że uciekłem, lecz powiedział mi: «Paszoł won», powiedział, że mnie zabije. Natomiast ja zabije go z przyjemnością, gdy tylko zdobędę broń”.

Przeszedł przez „zieloną granicę” do Czechosłowacji, ale tam obowiązywały kartki na żywność, wrócił więc głodny do domu. Często przychodził do ciotki Jadzi, która mieszkała wówczas z mężem po przeciwnej stronie ulicy, siadał w kąciку, śpiewał piosenki albo narzekał:

- Nie wytrzymam z nimi, tylko Marek to, Marek tamto.

Ciotka proponowała:

- Masz teraz piętnaście minut, możesz szaleć u mnie, ale miej wzgląd na chorą, matkę.

We wrześniu 1948 roku rozpoczął we Wrocławiu kolejny etap nauki, ale w trakcie roku szkolnego pojawiły się „kłopoty wychowawcze”. Ciekawe, że wcześniej problemów ze szkołą nie było. Mimo wojennej i powojennej tułaczki oraz związanych z nią zmian szkół, Marek ukończył podstawówkę w terminie. 17 lutego 1949 roku Maria Hłasko zwróciła się do Robotniczego Towarzystwa Przyjaciół Dzieci z podaniem o przyjęcie Marka do szkoły z internatem w Legnicy, motywując swą prośbę następująco: „Chłopiec jest trudny do prowadzenia, wymaga większej niż inni opieki, a moja opieka jako matki jest fikcją, ponieważ pracując w biurze (Państwowa Żegluga na Odrze), jestem najwcześniej w domu o godz. 17.30. Pozostawiony cały niemal dzień sam sobie, o temperamencie wybujałym, przyczynia mi wiele trosk i kłopotów częstym niechodzeniem do szkoły. Według opinii władz szkolnych syn mój jest bardzo zdolnym dzieckiem”.

Andrzej Czyżewski mówił, że dla Marka internat miał być w zamierzeniu szkołą życia. Nauczka, konieczną wobec ciągłego niezadowolenia z atmosfery domu rodzinnego.

Z bursy Marek pisał do matki dramatyczne listy:

„Kochana Mamo!

Niestety, stała się rzecz straszna. A właściwie dwie rzeczy straszne. Mamo, dziś kierowniczka wezwała mnie do siebie i oświadczyła mi, że nie będę mógł jeździć do domu co tydzień, ponieważ musi mnie odseparować od Ciebie i <<Massy>>. Będzie mi wolno pojechać tylko na Święta Wielkanocne.

Mamo, ręce mi się trzęsą ze zdenerwowania i nie wiem, co robić. Musisz porozmawiać z nią przez telefon i musi mi pozwolić jeździć co tydzień, gdyż w przeciwnym razie ucieknę stąd. To jest nieodwracalne i jeżeli do soboty nie dostanę pozwolenia, to w sobotę jadą do domu, a właściwie do Wrocławia, bo domu już nie mam. Więc zastanów się dobrze, bo ja tak zrobię. Nie potrzebujesz się łudzić, że będzie inaczej. Nawet gdy mi nie prześlesz pieniędzy na drogę”.

„Nie będę ukrywała, miałam z Markiem wiele kłopotów – powiedziała Maria Hłasko – uparł się, by pójść do Liceum Technik Teatralnych w Warszawie. Był to wtedy dla mnie ogromny problem, mieszkałam wówczas przecież we Wrocławiu, a on się uparł przy tej szkole. Kiedy mu się znudziło liceum, zaczął robić kawały. Pewnego dnia otrzymałam od niego list, że ma atak ślepej kiszki, straszne bóle i konieczna jest operacja. Nie zdążyłam nawet pomyśleć, a on już się zjawił u mnie we Wrocławiu, skrzywiony, zbołały... operowano najzdrowszą ślepą kiszkę”.

Wcześniej, w Legnicy, również narzekał na zdrowie:

„U nas w bursie jedzenie coraz gorsze. Chodzę stale głodny. Mamo, przyślij mi trochę pieniędzy na szewca i doktora. Ostatnio bardzo źle się czuję. Chciałbym, żebyś przyjechała i poszła ze mną do jakiegoś dobrego doktora. Na przykład zauważyłem, że na lewe ucho nic nie słyszę, a prawe mnie ciągle boli. Mamo, nie wiem co to jest, ale codziennie po parę razy mam torsje. Co tylko zjem, to zaraz z powrotem. Mamo, nie opuszczaj mnie w biedzie. Wiem, że jesteś na mnie zła i rozgoryczona, ale ja mam wrażenie, że coś złego się ze mną dzieje. Mamo, przyjedź koniecznie, bo sobie zrobię coś złego”.

Chorobami próbował zwrócić na siebie uwagę matki, choć przez chwilę mieć ją wyłącznie dla siebie, spotęgować jej miłość. Aż weszło mu to w nawyk, stało się drugą naturą. Później chorobą lub samobójstwem straszył kobiety, przyjaciół – wszystkich, na których mu zależało. Jego podświadomość zapełnił lęk o utratę ich miłości, przyjaźni... Więc bał się miłości, uciekał przed nią, a jednocześnie jej pragnął. Prowokował i niszczył. Kochał i nienawidził.

Cezurę w stosunku Marka do matki wyznacza przeprowadzka do Stefana Łosia. Dotąd zebrał o miłość matki; taką miłość, jakiej od niej pragnął; bezwzględną, wyłączną, jedyną. Im

bardziej czuł, że przegrywa rywalizację, tym bardziej przysparzał matce trosk, tak jakby chociaż w ten sposób chciał zaprzętnąć sobą jej myśli. Wtedy miał jeszcze blade pojęcie o tym, czym jest związek mężczyzny i kobiety i po co są dla siebie. I że miłość do partnera jest nieporównywalna z miłością do dziecka. Mając kilka i nawet kilkanaście lat, pojmował miłość jednoznacznie, nie rozumiejąc, że istnieją różne jej rodzaje. Autobiograficzny wątek tego dramatu można odnaleźć w „Sowie, córce piekarza”.

„Ojciec mój zginął w roku 1939; matka poznała innego mężczyznę. Nie rozumieliśmy się z nim; uciekłem z domu i błąkałem się przez długi czas, lecz nie umiałem zniszczyć w sobie miłości do matki i po jakimś czasie wróciłem, i poprosiłem matkę, aby porzuciła tego człowieka.

- Są sprawy, których jeszcze nie rozumiesz – powiedziała matka moja. – Kiedy dorośniesz, zrozumiesz, czym dla siebie są mężczyzna i kobieta. – I to było już wszystko; i odszedłem z powrotem.

Wiedziałem, o czym mówi. Dziewczyny nie zwracały na mnie uwagi; wyglądałem o wiele młodziej; byłem przesadnie wstydlivy i piłem nawet, lecz i to nie pomagało... po rozmowie z matką postanowiłem zrozumieć, wieczorem poszedłem na ulicę, po której chodziły ladacznice”.

Poszedł z jedną z nich, a potem mówił do siebie:

„Poznałeś to, co dla wielu najważniejsze. Poznałeś tę rzecz, dla której twoja matka wybrała innego człowieka i zostawiła ciebie. I właśnie przez to musiałeś odejść; a teraz nie masz już domu; i nie dla ciebie pada deszcz; i nie dla ciebie ktoś tam śpiewa na górze”.

A jego twarz naznaczona była „rozpustą i wiedzą o wszystkich matkach i wszystkich siostrach, i narzeczonych; chwyciłem za łom stojący w kącie; na sprawie Wuj Józef bronił mnie i dostałem wyrok domu poprawczego do pełnoletniości”.

Henryk Rozpędowski twierdził, że Marek opowiadał mu „niemal identyczną wersję wczesnego rozdziału życia” długo przed napisaniem „Sowy, córki piekarza”. Piotr Wasilewski, który sporządził kalendarium życia Marka Hłaski, wyszperał w archiwach skierowanie – datowane na 4 kwietnia 1948 roku – do Zakładu Wychowawczego im. T. Kościuszki, zaliczające Marka w „poczet wychowanków Domu Dziecka”. Czy należy to łączyć w jakiś sposób z historią, którą opisał i opowiedział Rozpędowskiemu? Andrzej Czyżewski, kuzyn, a po śmierci Marii Hłasko również opiekun spuścizny po Marku, zapewnia, że nic na ten temat nie wie, a przecież mieszkał w sąsiedztwie.

Bohater „Sowy, córki piekarza” – zdaniem niektórych alter ego pisarza – myślał, że płacąc za miłość, pojmie sens damsko-męskich związków, a odkrył tylko najbardziej zwierzęcą ich formę, bo odarta z uczucia. I bohater, tak jak Marek, nabral chorobliwego urazu do kobiet, do uczuć, do miłości w ogóle. I tak naprawdę nigdy matki nie rozumiał. A sam potrafił kochać tylko ideały; wszystko, co było próbą ich ucieleśnienia, rozczarowywało go.

Matka zaś „pluła na <<Sowę, córkę piekarza>>, bo w niej były rodzinne zapiski” – mówił zaprzyjaźniony z Marią Marek Porębowicz.

Wzgarda Hłaski w stosunku do kobiet spotęgowała się, kiedy zaczął przebywać w towarzystwie mężczyzn, próbujących we własnym interesie kompensować mu wszystkie uczucia, których brak odczuwał: matczyne, ojcowskie, braterskie, a dodatkowo chcieli mu zastąpić kochanki - jednak tych Marek miał aż nadto. Już w momencie przeprowadzki do Stefana Łosia pojawia się pierwszy przejaw rogatej postawy w stosunku do matki: „Zrobiłem tak, jak mi było wygodniej. (...) I zawsze będę tak robił”. „Oświadczam stanowczo i raz na zawsze, że pisać (listy - B.S.) będę tylko wtedy, jeśli będę miał o czym, bo nie znoszę głupiego gładzenia”. Potem przeproszał, i tak w kółko, całe życie. W kraju i za granicą. Marek zachowywał się tak, jakby miał dwie matki; jedną, tę ukochaną, tylko jego, z najwcześniejszego dzieciństwa; i tę drugą, która go w jakiś sposób zdradziła, nie rozumiała; uzurpatorkę wyłącznych racji. W zależności od nastroju, własnej sytuacji życiowej pisał raz



do jednej, raz do drugiej. Ale nie chciał i nie potrafił z matką zerwać, gdyż ta pierwsza tkwiła w nim zbyt mocno, aż zrodził się z tego kompleks maminsynka. Druga zajmowała równie silną pozycję, bo utrwalił ją w literaturze, tej najwcześniejszej i tej późniejszej, dojrzałej: „Wanda wiedziała, że trzeba mu teraz dać coś ciepłego, jakąś matczyną pieszczotę, której nie miał. Wstała i przytuliła się do niego swoim gorącym, dziewczęcym ciałem. Oczy ich spotkały się na jeden krótki moment, przebiegły po sobie spojrzeniem. Całowali się wśród ulewnego deszczu, wśród gruzów. Czuła na ustach słony smak jego łez spływających ciurkiem po policzkach”.

Na początku lat sześćdziesiątych, pisząc wspólnie z Henrykiem Rozpędowskim scenariusz, Hłasko upierał się, by dodać taką oto scenę: Hans, górnik, prowadzi synka między węglowe hałdy, chcąc, by dziecko ujrzało swoją matkę zdradzającą męża z obcym mężczyzną. „Patrz. Patrz i zapamiętaj - zwraca się do synka; do jego matki ma inne słowa: Wszystkie jesteście takie same. Moja matka była taka jak ty, moja siostra była taka sama i ty jesteś dziwka jak one. Wy nawet na krzyżu nie widzicie Chrystusa, a tylko to, że on jest nagi. Boli cię tam? I twoje ładne usta też cię pewnie bołą. Ale to nic, to przejdzie. Potem się podmyjesz i możesz zaczynać od początku. Co wy robicie między nami, wy, przekłete dziwki? Przekłete, nylonowe zwierzęta”.

Synek dziwi się: „To przecież mama - a ojciec mu na to: Ona nie jest twoją matką. Ona Cię tylko urodziła”.

Również w sposobie bycia Hłaski było coś z dziecka spragnionego ciepła. Wiele kobiet, u których wywoływał macierzyńskie uczucia, chciało się nim opiekować. Kiedy Helena Wilczkowa, kierowniczka działu literatury polskiej w Czytelniku, dowiedziała się, że Marek nocuje na stołach w redakcji „Po prostu”, zaprosiła go do własnego domu. Jej mąż, ówczesny minister kultury i sztuki, był ponoć niechętny tej decyzji, między innymi dlatego, że „Po prostu” wchodziło już na polityczny indeks. W każdym razie jego niezadowolenie nie było tak ostantacyjne, skoro Marek mieszkał u nich przez kilka miesięcy. Helena Wilczkowa wspominała, że Marek „dobrze czuł się poza domem matki. Myślę – mówiła - że stosunek pomiędzy nim a jego matką miał zasadniczy, destrukcyjny niestety, wpływ na jego losy. Unikał kontaktów z matką, która chciała uformować syna - wbrew jego woli - na mieszczaucha, krytykując go za niewłaściwe - jej zdaniem - zachowanie, ubiór, dobór towarzystwa.

Zanim ukazał się zbiór jego opowiadań «Pierwszy krok w chmurach», Marek był w bardzo ciężkiej sytuacji finansowej. Na pomoc ze strony matki nie mógł liczyć. Czasami coś zarobił, wynajmując się jako szofer, ale robił to rzadko, bo większość czasu zajmowało mu pisanie. Korzystał z różnych zapomóg od przyjaciół, miał długi. Wydana książka pozwoliła mu popłacić częściowo zaciągnięte długi. Szeroki gest, o którym dzisiaj niektórzy opowiadają, dotyczy okresu, kiedy Hłasko był już szalenie popularny, kiedy od pochlebstw i pieniędzy przewróciło mu się w głowie. Sypał złotówkami naokoło. Podobnie było z alkoholem w jego życiu. W okresie, w którym go poznałam, pijał mało, smak wódki go brzydził, potem wszystko się zmieniło i zasmakował w wódce na dobre”.

Matka straciła nad Markiem kontrolę. Mieszkał, gdzie chciał, robił, co chciał, i mówił lub pisał jej tylko to, co chciał.

Czasem pośrednikiem w sporach między nimi próbował być Gryczkiewicz. 28 maja 1954 roku wysłał do Marka ośmiostronicowy list. Napisał w nim, że matka chciałaby „każdy jego krok na drodze życia, każdą trudność w burzliwym marszu jego talentu, każdą troskę codziennego dnia, a nawet każde drgnienie jego serca, widzieć na ekranie cudownych marzeń, którym na imię «Serce Matki»”. Ojczym tłumaczył Markowi, że może on być dla „chorych nerwów” matki „balsamem albo trucizną”. „Nie dlatego Ci o tym mówię, (...) aby miała być dla Ciebie kulą u nogi. Tę troskę o Nią pozostaw mnie”. Gryczkiewiczowi chodziło o to, aby matka mogła odzyskać do syna zaufanie, którego do tej pory miała mniej niż ojczym. „Stale

drży o Twoją przyszłość, nie tę «literacką», ale po prostu czysto ludzką, (...) modli się za Ciebie codziennie, sądząc, że nawet ja o tym nie wiem. Piszę Ci o tym nie dlatego, ażeby Ci prawić morały. Pójdiesz drogą, jaką będziesz uważał za najwłaściwszą dla siebie, jeżeli masz charakter, albo taką, na jaką zepchną Cię okoliczności, ale chciałbym, ażebyś nie zapomniał o tym, że dla swego własnego dobra powinienes ratować jedno z najpiękniejszych serc, jakie Bóg zesłał na ten pełen bólu i cierpień padół. (...) Gdybym mógł za cenę swego życia zapewnić Wam Obojgu szczęście na tej wspianiałej, ale jakże nikczemnej w interpretacji ludzkiego życia, ziemi - nie zawahałbym się ani na chwilę. Chcę przez to powiedzieć, chłopcze, że gdyby Jej nie stało, a ja bym się jeszcze kołatał na tym świecie - możesz na mnie liczyć. (...) Przyznaję, że dopiero przed dwoma laty zrozumiałem, że to ten Twój burzliwy talent włóczy Cię po bezdrożach życia, jakkolwiek od dawna już wiedziałem, że masz ogromne zdolności literackie i umysł humanisty. Zapatrzony w tęsknoty Matki dla Ciebie, zasugerowałem się Jej pragnieniami i nie tylko Ci nie pomogłem w Twoich kłopotach życiowych, ale niewątpliwie jeszcze je pogłębiłem. Na pewno tego nie chciałem”.

Matka miała powody, by być. zaniepokojoną zachowaniem syna i towarzystwem, w jakim się obracał, bo „to oni nauczyli jej syna pić wódkę i chcieli nauczyć wielu rzeczy ohydnych”. Mach, Andrzejewski sami przychodzili do niej i wyznawali, że kochają Marka. Inni jego kumple siusiali po pijanemu do wazoników. Dochodziły też do niej wieści o towarzyskich awanturach Marka, na przykład z Mazur, gdzie pojechali z Edwardem Bernsteinem, a potem dołączył do nich Wilhelm Mach. Posterunek MO w Orzyszu zawiadomił, że „Obywatel (Hłasko Marek Jakub) dn. 2 VI 54 w Orzyszu w gospodzie zakłócał spokój publiczny i jak również odnosił się nieprzyzwoicie do władz odgórných”, za co otrzymał karę grzywny w wysokości 150 złotych. „Sprawa Hłaski” dotarła do Związku Literatów Polskich i Igor Newerly wycofał swoje poparcie dla młodego pisarza: „Nie wierzymy w talenty pozbawione woli, samoopanowania i poczucia odpowiedzialności. Nie będziemy i nie chcemy nadal się wami zajmować, dopóki nie wylegitymujecie się rzetelną pracą lub nauką. W tej chwili interesuje nas nie powieść, jaką piszecie, ale niezbite dowody przełomu w Waszej postawie moralnej i trybie życia”.

Reprimendy udzielił Markowi również ojczym:

„Marku, przesyłam Ci dyplom uznania dla Twojej działalności «zawodowej» i podpisuję się pod recenzją Bocheńskiego, że jesteś utalentowanym chuliganem literackim. Bądź spokojny, Matki o tym nie powiadomię, a ja mam Ci do powiedzenia w tej sprawie tylko tyle, że jesteś najnędrniejszą szmatą wśród chuliganów”.

Marek powiadomił matkę o incydencie na Mazurach sam. Tego lata, może mając w pamięci słowa ojczyma z długiego listu, pisał do niej częściej. W jednym z nich - z datą 12 sierpnia 1954 - żalił się:

„Mnie żyć się nie chce. Ja się trzymam, staram się nie histeryzować, ale naprawdę to mam dosyć wszystkiego. Czemu nikt mnie nie kocha? Nie mówię o Tobie. Czy to jeszcze tamte straszne sprawy z dzieciństwa?”.

Ilekoć było mu ciężko, wracały do niego dawne urazy i w nich upatrywał przyczyny swoich nieszczęść. A trzeba przyznać, że rok 1954 był dla Hłaski niezwykle bogaty w różne zarówno przyjemne, jak i trudne przeżycia. Wielki krok w literaturę i uwikłanie w jej towarzyską sferę, zwłaszcza w „nieporozumienia” z kochającymi go panami, początek dramatycznej miłości do Hani Golde, groźba wojska, „olbrzymie trudności z pisaniem”, przy tym wszystkim brak własnego kąta i pieniędzy. „Ze mnie już wszystkie ciuchy opadają, nie mam sobie za co kupić i chodzę w pożyczonych butach, spodniach i tak dalej”.

Matka odpisała z troską na Markowe wyznanie, jakoby nie był kochany:

„Moje Najdroższe dziecko - dostałam Twoją kartkę i Twój list, za który bardzo Ci dziękuję. Gdybyś wiedział, jak głęboko przeżywam wszystko, co Ciebie dotyczy. Jak cieszę się każdym Twoim najmniejszym nawet sukcesem. Dlaczego czujesz się źle? Synuś drogi -

Jak możesz mówić, że nikt Cię nie kocha? Czy spotkał Cię jakiś zawód? Nie mówię o moim sercu, którego każde drgnienie do Ciebie należy. Ale przecież masz dużo przyjaciół i ludzi oddanych, życzliwych - dlaczego i skąd ten smutek? Tak marzę o tym, żebyś mógł być razem ze mną. Czy nie mógłbyś z kimś wpływowym porozmawiać o naszych warunkach mieszkaniowych, czy naprawdę sądzisz, że byłoby Ci źle w domu, gdybyś miał swój pokój? Wszystko bym zrobiła żeby Ci było dobrze, jak długo tak będziesz gdzieś u ludzi to tu, to tam? Tam mnie zupełnie wyłączyłeś ze swego życia i tak bardzo mi trudno z tego powodu. Obcy ludzie dzielą Twoje radości i smutki, a ja stoję na boku. Czy na to zasłużyłam? Mój Maleńki Syneczku - Pomyśl o tym dobrze, co przeżyłam przez ten cały okres, kiedy nic o Tobie nie wiedziałam, a przecież wtedy «leczyłam» się i najbardziej potrzebny był mi spokój. Myślę również o Twoim zdrowiu, które nie jest w porządku. (...) Wydaje mi się, że gdybyś był ze mną, to coś byś z tego miał. Nie wydawałbyś tyle pieniędzy, mógłbyś sobie coś kupić, a tak wszystko, co masz, roztrzęsione jest po świecie, sam nie wiesz, co masz i gdzie. Trzeba mieć, Syneczku, takie jedno miejsce na świecie i wydaje mi się, że dopóki nie ma się swojego własnego gniazda, takim miejscem jest dom matki, gdzie zawsze na Ciebie czeka najwierniejsze serce".

Własny dom pozostał nie spełnionym marzeniem Hłaski, zarówno w kraju, jak i za granicą. W dzieciństwie dom matki był jednocześnie domem ojczyma, od którego wolał uciekać. Mieszkanie, które otrzymał z puli Cyrankiewicza, było tylko czterema ścianami wypełnionymi kilkoma sprzętami. Miejscem bez duszy. Podobno - tak podaje Stanisław Manturzewski - Marek brzydził się sobą z tego powodu, że dostał je od Cyrankiewicza. Poza tym miał tam mieszkać z Hanią, a ona go zostawiła. Częściej więc stanowiło przystań dla zbłąkanych kolegów niż własne gniazdo. Nigdy do niego nie zatęsknił, kiedy znalazł się za granicą.

Wyjeżdżając, zabrał ze sobą jedynie figurkę Matki Boskiej z kości słoniowej. Matka z Kazimierzem wydali pożegnalny obiad dla najbliższej rodziny. Marek prosił: „Tylko żadnych łez i pożegnań, przecież zaraz wracam".

Nie wrócił ani tej jesieni (1958), jak przypuszczał, ani żadnej innej. A w kraju nazwano go zdrajcą i zakazano o nim mówić. Tylko matka, dostrzegając tragiczną groźbę utraty syna, a nie znając mechanizmu pozbycia się z kraju niewygodnego pisarza, słała błagalne listy do ministra kultury i sztuki Tadeusza Galińskiego, do premiera Józefa Cyrankiewicza, by pozwolili Markowi na powrót. „Matce wolno wszystko robić, aby ratować dziecko, i dlatego o ten ratunek dla mego jedyne dziecko zwracam się (...) i gotowa jestem zwrócić się wszędzie, gdzie będzie potrzeba. Zdaję sobie sprawę z tego, że jeśli mój syn nie wróci do kraju - może się zmarnować i zaprzepaścić talent".

Maria Hłasko powtarzała za tymi, którzy wmówili Markowi jeszcze przed wyjazdem, że tylko tutaj, w Polsce, może tworzyć, gdyż jego literatura karmi się rodzimą biedą, tutejszymi smakami. Uwierzył w sugestywne kłamstwo pseudoprzyjaciół, biorąc je za swoją wewnętrzną prawdę. Przyjął tym samym kolejne narzędzie samozagłady. Jak trafnie zauważył Krzysztof Kąkolowski w posłowie do „Matki Hłaski": „Była to teza propagandy antyeimigracyjnej. (...) Markowi udało się ujawnić swój talent w Polsce dzięki temu, że jego wybuch był zsynchronizowany przez los ze zbliżeniem się polskiego Października 1956 roku, towarzyszył Październikowi, ale za to przyszło zapłacić dodatkową cenę. Już dwa dni po dojściu do władzy Gomułka na wiecu pod Pałacem Kultury zaczął odwrót od Października. Trzeba było go (Marka - B.S.) się pozbyć z Polski, a jego wyjazd dodatkowo wykorzystać. Marek nie uciekł, jak to przedstawiano, ale nie wrócił. Okazał, że jest wolny, nie poddający się rozkazom, nieposłuszny prowokatorom, zarazem umożliwiając im dokonanie prowokacji, ale innego wyjścia nie miał. Było to potrzebne Putramentowi i innym do wykazania, jak groźny jest liberalizm w sferze kultury, a twórcy do jakiego stopnia niebezpieczni i

zdradzieccy. (...) Mechanizm sprowokowania Marka do zostania na Zachodzie, jak napisał ktoś, do «drugiego kroku w chmury», był tylko nieznacznie zmodyfikowany w stosunku do tego, który zastosowano przeciw Czesławowi Miłoszowi - sprawę tę opisała w 1981 roku w paryskiej «Kulturze» Natalia Modzelewska<sup>12</sup>. Analitycy z góry przewidzieli reakcję Marka na prowokację".

Przewidzieli, że jego godność, bunt przeciw narzuceniu jakiegokolwiek woli będą silniejsze niż chęć powrotu do kraju. Tak było. W sposób „absolutnie stanowczy” prosił matkę, by nie czyniła żadnych starań. Bał się, że w swej macierzyńskiej nadgorliwości poniży go, ośmieszy w oczach władz, wobec ludzi. I znowu wróciły zadry dzieciństwa. „Nigdy, dopóki będę żył - i choćbym żył jak najgorzej - nie przebaczę matce jej postępowania, choć próbowałem już nieraz. Nie chcę, nie pozwalam na to, aby moja matka cokolwiek robiła w mojej sprawie. Pod tym względem nigdy się nie zmienię, (...) pamiętaj - tłumaczył w liście z Izraela Agnieszce Osieckiej że (matka - B.S.) jest człowiekiem, przez którego najwięcej w życiu wycierpiałem". Nie życzył sobie, by Agnieszka działała wspólnie z jego matką. Innym razem prosił narzeczoną: „Idź do mojej matki i uspokój ją, chociaż i tak nigdy jej nie wytłumaczysz, że nie jestem nędznikiem, bandytą i tak dalej”. A kiedy później Agnieszka relacjonowała mu swoje wrażenia z tej wizyty, złorzeczył, że tam w ogóle poszła. Tę, która go urodziła, nazwał nieraz „matką z przypadku”. Tą „z wyboru” miała być matka Agnieszki Osieckiej.

Takie chwile goryczy przychodziły też później. W 1964 roku Henryk Rozpędowski odwiedził Marka w czasie jego kolejnego pobytu w szpitalu. Oto relacja: „Marek leży w łóżku. Dzwoni telefon, więc podnosi słuchawkę, lecz po sekundzie podaje, a raczej rzuca ją mnie. Telefonistka w centrali informuje, że będzie rozmowa z Warszawą.

«Nie chcę mówić z tą k...! Czego ode mnie chce ta stara k...!» - krzyczy Hłasko. Zakrywam słuchawkę dłonią i mówię matce, że Marka chwilowo nie ma w pokoju; matka pyta, z kim mówi, i prosi o mój adres. Następnego dnia otrzymuję telegram z Warszawy: «Niech Marek wyśle natychmiast sto pięćdziesiąt dolarów PKO list wysyłam - matka».

«Ta stara k... wie, że jestem chory, ale szarpie mnie o pieniądze» - mówi".

W tym, nie w całości przytoczonym przez Rozpędowskiego, bezwzględny „monologu przeciw matce” Marek dwa razy powtórzył z naciskiem: „Ona nie jest moją matką, ta k... tylko umie urodzić”. Matkę obwiniął o wszystkie swoje słabości i upadki.

Kiedyś znowu, było to w Monachium, gdy ogarnęła go wewnętrzna rozpacz, której nikt nie rozumiał, jak długo mógł, przykrywał ją pozorem wesołości. Grał, bawił się kosztem tych, którzy nie pojmowali wahań jego duszy. Kilka razy tej samej nocy budził Sonię telefonem i śpiewał jej miłosną piosenkę. Chciał pić z Rozpędowskim, a kiedy ten odmówił, rzucił w niego, chybiając, szklanką z whisky. Lecz w pewnym momencie poddał się: „Hłasko pada na podłogę. Nie wstaje, patrzy na mnie, płacze. Wyciąga do mnie ręce. Mówi przez łyż, jest pijany, ale nie alkohol to mówi, mówi to człowiek, którego alkohol otworzył, rozwarł do dna: «Porzuciła mnie matka, porzucił mnie Bóg. Ulepiłem się sam, wywyższyłem się nad siebie. Cierpię, piję, nie mam sił, zginę. You are my brother - błagał Henryka Rozpędowskiego - pomóż mi. Ratuj. You are my brother».

Nigdy nie powiedział - jesteś moim bratem. Żenował się tych słów w polskim brzmieniu?”.

Być może. Tak przecież mówili do niego mężczyźni, którzy się w nim kochali. „Bracie, Braciszku”. A Hłasce chodziło o inny rodzaj braterstwa z Rozpędowskim. „O gotowość przyjęcia przyjaźni i oddania przyjaźni, tak samo wiernej i wiecznie lojalnej”. Przyjaźni, która każe dzielić się z przyjacielem miską owsianki, nakazuje podać drugiemu rękę, by go wyciągnąć z dna, i pozwala się przed nim otworzyć, żeby oczyścić duszę z tego, co ją ugniata. Henrykowi, który widział Marka w skrajnych sytuacjach, tłumaczył siebie następująco: „Czy to moja wina, że mnie takiego urodziła ta stara k...”. W innych chwilach

miął dla matki najczulsze słowa i myśli: „Kochana Mamusiu Moja”. „Mamucha! I ja tęsknię bardzo za Tobą i ciągle myślę. Nawet nie wiesz, ile mi taki list od Ciebie sprawił radości”. „Kochana Moja - jestem z Tobą każdej minuty i każdego dnia”. Żadna z tych postaw nie wydaje się udawana. Miłość i nienawiść są względem siebie wprost proporcjonalne, jeśli połączy je jakiś uraz, wyrządzona krzywda.

Siebie, tak jak swoją matkę, dzielił na dwie części. Wręczając żonie Henryka Rozpędowskiego pęczek lilii zerwanych nad morzem w Izraelu, powiedział: „To jest lepsza połowa mojej duszy”. To samo powtórzył w Monachium, kiedy wciskał w rękę Marka, syna Rozpędowskich, dużą wówczas sumę 50 marek. Rozpędowski zaprotestował, a Hłasko rzekł: „To jest ta lepsza połowa Marka i Haski, szanuj ją”.

Lepsza część duszy Marka kochała matkę najbardziej ze wszystkich ludzi i odpowiedziała na jej refleksję, że oto teraz jej syn mieszka za granicą, z dala od niej, a jedynym przyjacielem „na miejscu” jest jej mąż. „Nie każę Ci kochać go, ale proszę, byś był przyzwoity w stosunku do ojczyma. Jest on bowiem człowiekiem bardzo oddanym mnie i Tobie”. I wtedy, w 1965 roku, po wielu latach milczenia, Kazimierz Gryczkiewicz otrzymał od Marka list z Paryża, po raz pierwszy zatytułowany „Kochany Tato”:

„Wysłałem do matki list, potem drugi i nie dostałem odpowiedzi. Co się stało? Napisz mi, Kochany, ale możliwie najwyraźniej, co jest i co trzeba robić. Z mojej strony możecie się spodziewać znacznej tym razem pomocy finansowej za miesiąc, sześć tygodni. Przykro mi, że przez długi czas nie mogłem wam pomóc, ale różnie w życiu bywa. Spodziewajcie się około dziesięciu tysięcy i dajcie mi znać, jak tylko forsa przyjdzie. (...) Całuję Cię z całego serca. Twój Marek”.

Kazimierz po przeczytaniu listu ukrył twarz w dłoniach i płakał. Dotąd, z rzadka, porozumiewali się za pośrednictwem Marii. Z listów wynika, że czas i odległość działały na korzyść wzajemnych kontaktów Marka z ojczymem. „Kazimierzowi wysłałem najlepszą, jaka istnieje, maszynkę do golenia. Mógłby napisać: pocałuj mnie w dupę! Ty też mogłabyś wysłać synowi depezę świąteczną za pięć złotych. Trochę głupio wobec własnej żony. Tym bardziej że ja chyba pamiętałem, nie? Mniejsza z tym” (10 stycznia 1960).

„Do Kazimierza wysłałem wczoraj, bardzo krótki, pisałem w aptece. Ucałuj go ode mnie po synowsku, jak najczulej, i prosz, aby pisał do mnie, jak mu tylko przyjdzie ochota” (20 lutego 1964).

„Co u Kazimierza? Jak z jego ręką? Czy nie potrzeba mu czego? Ten człowiek mnie nigdy o nic nie poprosił i dlatego wyślę mu zawsze wszystko, czego pragnie... Powiedz mu, żeby był tak miły i napisał do mnie w tej sprawie, a mnie będzie przyjemnie uczynić coś dla niego” (21 sierpnia 1964).

„Najserdeczniejsze ucałowania dla Starego” (14 listopada 1964).

Mając męża, Maria nie czuła się samotna. „Wujek kochał ciotkę nieprzytomnie - wspomina Marek Porębowicz - o wiele bardziej niż ona jego”. Tę opinię potwierdzają wszyscy, którzy znali tych dwoje. Zimą mieszkali w Warszawie, lato spędzali w Stoczku, posiadłości, którą - jak mówił Porębowicz - Marek Hłasko kupił przed wyjazdem za nagrodę literacką PTWK. 4 tysiące metrów kwadratowych, z drewnianym domem, ogrodem i lasem. Maria chodziła do lasu na spacer. Najbardziej lubiła w dżdżyste dni zbierać grzyby. Do ogrodu szła rozmawiać z kwiatami. A najczęściej leżała w łóżku i czytała. W ogrodzie pracował Kazimierz. Mawiał: „Śniąc własną śmierć, nigdy się nie obudzić, tak bym chciał umrzeć”. Pewnego lipcowego dnia 1966 roku położył się do łóżka i już nie wstał. Miał sześćdziesiąt dziewięć lat.

Marek mieszkał w tym czasie w Los Angeles. Telegram, który otrzymał, wstrząsnął nim. „Nie wiem, czy jestem w tej chwili w stanie napisać coś, co mogłoby Ci przynieść ulgę. Ale pamiętaj o tym, co powiedział pewien mądry człowiek, którego zawsze cytują: «Żaden człowiek nie jest wyspą samą dla siebie, a stanowi tylko część kontynentu. Jeśli umiera jeden

człowiek, to życie jego zostaje przetłumaczone na język Boga». Żył długo i dobrze, nikt Go nie będzie źle wspominał i tylko ja najbardziej ze wszystkich ludzi na świecie mogę cierpieć, że tak dużo czasu (sic!) upłynęło, zanim ja z Nim nauczyłem się mówić. (...) Nikt Ci nie może zabrać tego wszystkiego dobrego, co z Nim przeżyłaś, i nie popadaj w zwątpienie i rozpacz; pamiętaj

(I U V MAUKA II I A S K

o tym, że tylko Bóg jest; jedyną istotą, która może kochać wiecznie. Ja nie czuję się w tej chwili na siłach napisać Ci coś pokrzepiającego, gdyż czuję się zrozpaczony i przeraża mnie świadomość, że nie mogę być przy Tobie i pomóc Ci w niczym. Tu słowa, nie zdadzą się na wiele. Wierze, że Twoja wiara w Boga pomoże Ci przetrwać nasze wspólne nieszczęście. Niech Cię Bóg ma w swojej opiece i módl się za Niego, bo był jednym z niewielu ludzi, których znam, wartych tego".

Słowa syna nie pokrzepiły jednak matki. Dodatkowo była przybita faktem ukazania się w Paryżu „Pięknych dwudziestoltnich”. „Co on zrobił?! - lamentowała, zła i zrozpaczona, kiedy zapoznała się z treścią książki. - Odciał sobie drogę powrotu".

Jej list, który Marek odebrał w Kalifornii 13 lipca 1966 roku, zaginął wraz z innymi jego rzeczami. W każdym razie musiał być tragiczny w swej wymowie, bo syn odpowiedział jej tego samego dnia:

„Kochana Mamo!

Tego listu, który dziś otrzymałem, będziesz się pewnie wstydzić przez całe życie. Dobrych ja się rzeczy dowiaduję o sobie. W każdym razie dziękuję Ci serdecznie; w moim życiu pełnym radości list ten stanowi jeszcze jedną słoneczną niespodziankę.

Jeśli nie umiesz czytać i nie rozumiesz różnicy między parodią a autobiografią - cóż mogę Ci powiedzieć, najlepiej nie czytaj. Gdybyś przeczytała uważnie, to dowiedziałabyś się wielu rzeczy. Między innymi o tym, kto nauczył mnie czytać i komu zawdzięczam miłość do książek. Niestety, nauczyć czytać trzeba się samemu. Nie ma sensu straszenie mnie samobójstwem. Samobójstwo jest zawsze pomyślane dla dwóch osób; i każdy psychiatra może Ci to powiedzieć. Masz rodzinę, masz dom, a ja, tak jak tylko będę mógł, to rzecz jasna zawsze Ci pomogę. Jeśli tego nie zrobiłem teraz, to znaczy, że nie jestem w stanie. O ile pamiętam, to robiłem to zawsze, o ile tylko mogłem. Dziwisz się memu milczeniu. Napisałem do Ciebie trzy listy, na które nie dostałem odpowiedzi. Mój telefon doprowadził Cię do rozpacz. Moje milczenie również Ci nie odpowiada. Więc cóż Ci odpowiada, jeśli na listy nie odpisujesz, a mój telefon doprowadza Cię do rozpacz tylko dlatego, że czekając na połączenie do świtu, wypilem parę kieliszków wódki? Cóż ja mogę zrobić? Zawsze, przez całe życie, wszystko robiłem źle. Ty myślisz o sobie, iż jesteś osobą łatwą i uroczą w obejściu, podczas gdy mnie wyznaczasz rolę potwora i nikczemnika. Pomyśl o sobie, pomyśl o tym, że stan Twoich nerwów nigdy nie był dobry, tak samo jak i stan moich. Dlaczego nie podejdziesz do tego zagadnienia jak człowiek dorosły i poważny? Dlaczego mi wyznaczasz operetkową rolę? Czy rzeczywiście jestem aż tak złym dzieckiem? W jaki sposób mogę wiedzieć, czy pisać do Ciebie, czy nie, jeśli Ty nie odpowiadasz na listy? Wytłumacz mi to. Ile listów ja do Ciebie stąd napisałem, ile razy do Ciebie w tym roku telefonowałem? Czy pomyślałaś o tym? Ja rozumiem Twoją rozpacz i osamotnienie!, ale na miłość Boską, nie wolno zatracać wszelkich proporcji, nic wolno poddawać się myśli o samobójstwie. I po co się zabijać? Wytłumacz mi to logicznie. I tak wszyscy umrzemy pewnego dnia. Całe życie mi oświadczałaś, że jesteś wierzącą katoliczką. Czy wiesz, że z punktu widzenia Kościoła jest to jedyny grzech, za który nie ma odpuszczenia? I po co? Przecież śmierć jest jedyną pewną rzeczą na świecie. Brak Kazimierza? Czy pamiętasz, co mówiłaś na jego temat w Jugosławii? Pamiętasz? Chcesz się zabić, mając kochające siostry i kochającego Cię syna, o czym możesz naprawdę nie wątpić? Zastanów się.

Jeśli paczek nie wysyłałem, to odpowiedź na to jest prosta; nie opłacało się. Przyjechałem tutaj, nie mam prawa pracy, rozszedłem się z żoną, sam nie bardzo wiem, co mam robić, i zastanawiam się nad tym głęboko. Czy moja sytuacja nie wymaga zrozumienia? Tutaj nie ma szpitali za darmo, o czym piszesz w swoim liście, ani opieki społecznej, ani niczego w tym rodzaju - dla ludzi takich jak ja. Pomyśl i o mnie. Ja Ci nic konkretnego o sobie napisać nie mogę oprócz tego, że rzeczywiście głęboko się zastanawiam, co robić. Sam jestem pełen wątpliwości. Proszę Cię, staraj się to zrozumieć. Jeśli tylko postanowię coś konkretnego, to dam Ci znać.

Boskiej Cię polecam opiece. Marek".

Maria Hłasko spotkała się z synem tylko raz od chwili jego wyjazdu za granicę, jeszcze za życia Kazimierza, w 1964 roku. Wcześniej, mimo prób, do spotkania nie doszło. Albo - kilkakrotnie - odmawiano jej paszportu, albo Marek popadał w jakieś kłopoty. A od początku 1961 roku zawiesił korespondencję z matką, co było odpowiedzią na jej zarzuty pod jego adresem. W październiku 1963 roku nawiązał do tego w liście do ciotki, Teresy Czyżewskiej: „Ja tylko przyjmuję tę koncepcję, którą założyła Mama”. Amplituda wzajemnych uczuć matki i syna przybierała nieregularne kształty.

Na początku 1964 roku Marek odnowił czuły kontakt z matką i zorganizował spotkanie w Jugosławii. Tam było dla obydwojga najłatwiej. Matka bez trudu mogła wykupić wycieczkę do politycznie obojętnego kraju, a syn, ze względu na niewielką odległość, mógł tam dojechać samochodem. Miał oczekiwać na matkę, ale to ona dotarła pierwsza do Hercegnovi i zaniepokojona wypatrywała go w hotelu. Po powrocie opowiadała Markowi Porębowiczowi: „Wyobraź sobie, pod wieczór przychodzi po mnie hostessa. Prowadzi na hotelowy gościniec. Widzę Marka, w bandażach. A on z daleka wymachuje rękami i krzyczy: «Mamo, nic się nie stało». Mało nie zemdlałam. Witając mnie, padł przede mną na kolana na oczach ludzi i zawołał: «Mamusi!»». W tym momencie lunął deszcz. Hostessa rozłożyła parasol i wyobraź sobie, nad Markiem, nie nade mną; bo to on był gościem dewizowym”.

Marek podawał inną wersję wypadku; twierdził, że na stacji benzynowej kazał mechanikowi zrobić szybki przegląd swego BMW 527. Mechanik wlał bardzo dobry olej i chciał wypróbować samochód. Sto metrów za stacją wypadł z zakrętu. „Myślałem, że w Jugosławii samochodowy mechanik wie, co to samochód”, Czy tak było rzeczywiście? Nie wiadomo. Matka wiedziała swoje - że „zawsze jeździł Jak szalenciec”.

Spędzili ze sobą kilka dni. Odłączyli się od wycieczki i zamieszkali razem w hotelu Topla.

„Strasznie nam się było żegnać. Nigdy nie zapomnę jego wzroku. Miałam wrażenie, że już go więcej nie zobaczę” - mówiła potem siostrze. Przywiozła prezenty od Marka: złoty naszyjnik, bransoletę i pieniądze.

Po śmierci Kazimierza Maria została w mieszkaniu przy Mickiewicza sama. Przedzieliła kuchnię i urządziła w jednej części sypialnię. Odtąd miała dwa pokoje. W jednym urządziła prywatną stołówkę, którą prowadziła w czasie roku szkolnego, latem podobną organizowała dla wczasowiczów w Stoczku. W Warszawie pomagała jej sąsiadka spod siedemnastki, pani Nalejowa, i czasem siostra Jadwiga. Na obiady przychodziły przede wszystkim dzieci.

Maria Hłasko długo nie mogła się pogodzić z samotnością, coraz bardziej dręcząc tym Marka. A on wtedy, w Ameryce, sam był w biedzie - materialnej i duchowej. Nie miał możliwości wesprzeć matki ani finansowo, ani psychicznie. „Wszystko, co mogę zrobić, to modlić się do Boga, tak jak to robię każdego dnia”. Jak zwykle kłócili się i godzili, tym razem za pośrednictwem poczty. „Tak więc znów się obraziłaś na mnie. Ale czy to ma sens? Czy stać Cię na to, aby wprowadzać się w stany napięcia i nerwowości; w stany depresji i choroby? I czy ja tu jeszcze muszę się denerwować? I jeśli nawet napisałem Ci w swoim

liście, że nie masz racji - to czy jako człowiek dorosły nie mam prawa do własnego zdania i do własnej opinii?". W listach Marek nie przedstawiał całej prawdy o sobie, miał wzgląd na stan jej nerwów, a i tak matka martwiła się o niego. Kiedy w fabryce przenosił blachę i miał od tego pocięte ręce, informował ją, że pracuje „w biurze, albo w fabryce”. Mówił jej o sobie zgodnie z zasadą: „Wszystko jest u mnie w porządku. Tak jak zawsze. Tak jak zawsze”. Mając nadzieję na przyjazd do Europy, obiecywał spotkanie, co potwierdził w króciutkim, kilkudzaniowym liściku z Izraela. Ostatnim, jaki Marła Hłasko otrzymała. Część ich korespondencji ginęła po drodze, nim dotarła do adresata. Można się domyślać, kto ją przechwytywał. Służby specjalne nie przestały się interesować Maską do końca jego życia. Mylą się ci, którzy twierdzą, że „Piękni dwudziestolenni” są zmyśleniem. To szczerą prawdą, ukazana w krzywym zwierciadle groteski. Tak też mówiła Maria Hłasko - że fakty w tej książce są prawdziwe. Marek napisał w niej, iż przez dwa lata był szantażowany przez policję. Próbowano uczynić z niego informatora. W roku 1952 pracował w Warszawskiej Spółdzielni Spożywców jako kierowca i korespondent terenowy „Trybuny Ludu”. Pewnego dnia wieczorem, kiedy „zjechał na bazę”, został wezwany do „samodzielnego”. „W owych czasach w każdym dużym przedsiębiorstwie był tak zwany Samodzielny Wydział Wojskowy”, inaczej mówiąc: komórka Urzędu Bezpieczeństwa. I tam usłyszał: „Nie potrzebujecie więcej pisać (jako korespondent „Trybuny Ludu” - B.S.). O wszystkim będziecie mówić mnie”. Oficerowi Tadeuszowi Barwińskiemu. „Aresztowano mnie parę dni później za odmowę współpracy (...) - pisał w «Pięknych dwudziestolennich»». - W Pałacu Mostowskich nie siedziałem długo. Pomyślałem sobie: potrzymają cię do śledztwa, a potem dostaniesz swojego piąta. To nieważne, że nikt nie będzie wiedział dlaczego (...) zostałem konfidentem policji pracującym pod kryptonimem "Wanda". A potem wrócił na bazę i powiedział chłopakom, że „jest lewy”. „Od czasu do czasu zjawiało się u mnie dwóch facetów wyglądających jak łapsy z filmu i groziło: «Oj, bo się pogniewamy»». Milicjanci przenieśli mnie z WSS do MHD i tam rozpocząłem swoją działalność pisarską uskrzydłony myślą, że jestem jedynym na świecie konfidentem a rebours. (...) Donosy pisałem regularnie". Henryk Piecuch, który w swoim czasie miał dostęp do archiwum MSW, widział „teczkę Hłaski”, między innymi z jego donosami. Czytając je, Piecuch odniósł wrażenie, jakby posadzony przy maszynie Marek puszczał wodze fantazji, która nikomu nie mogła zaszkodzić. Najwyżej oficerowi prowadzącemu. „Narobiłem im straszego burdelu: nie połapali się nigdy - przyznał w «Pięknych dwudziestolennich»». - Nie moja wina: sami tego chcieli". Kiedy został literatem, „łapsy” zjawily się znowu. I straszily, iż mają dowody, że po pijanemu wygłaszał antypaństwowe treści. „Wiedziałem, że nie da się już dłużej bawić z moimi łapskami”. Poszedł do znajomego literata, który miał konszachty ze Służbami Specjalnymi, i tak się od nich uwolnił.

Kiedy oczekiwał na azyl w Marienfelde, obawiano się zemsty Służb, toteż przyznano mu specjalną ochronę - uzbrojonego tajniaka, którego pewnego dnia spił, rozbroił i sam zaczął ćwiczyć strzelanie. Polskie Służby nadal z niego nie rezygnowały. Próbowaly wykorzystać w tym celu Lesława Bartelskiego, który w owym czasie pojechał w delegację ze Związku Literatów Polskich do NRD. Sekretarz ambasady zasugerował Bartelskiemu: „Może by pan pojechał do Marka, porozmawiał z nim?”. Ale Bartelski się obruszył: „A w jakim charakterze?” - spytał. I do wizyty nie doszło.

17 kwietnia 1968 roku Maria Hłasko była w Stoczku. Tego dnia na Mickiewicza przyszło czterech panów z nakazem rewizji. Jadwigi Oraczewska, która zastępowała siostrę w stołówce, nie przestraszyła się - „nie było nic do ukrycia”. Tamci pytali o kożuch Marka, maszynę do pisania i rewolwer. Kożuch i maszynę wzięta wcześniej Agnieszka Osiecka. Broni w ogóle nie było. Przeszukali całe mieszkanie i piwnicę. Czytali wszystkie listy. Przeglądali każdą książkę. Powiedzieli, że książki Hłaski nie mają debitu, i kazali każdą podpisać. Jeden wspiął się na antresolę; grzebał tam w rzeczach i się ubrudził: „Coś



straszego, żeby taki kurz był w domu" - narzekał. „No cóż, taką wybrał pan sobie pracę" - odrzekła spokojna z natury Jadwiga Oraczewska.

Przeszukiwanie przedłużało się, a zbliżała się pora obiadowa.

- Panowie, nie zdążę wydać obiadów - powiedziała pani Jadwiga i wskazując na Nalejową, dodała: - Tu jest moja pomocnica, niech ona będzie świadkiem.

- A gdzie jest pani siostra? - zapytał jeden groźnym głosem. - Tylko niech pani nie próbuje kłamać, bo i tak ją znajdziemy.

-Ja panu powiem dokładnie. Siostra się nie ukrywa. Jest w Stoczku, miejscowości pomiędzy Garwolinem a Wilgą.

Pani Oraczewska zrobiła im kawę i zajęła się obiadami, a jeden z przeprowadzających rewizję pojechał po Marię Hłasko. Po przyjeździe odmówiła podpisania protokołu.

„Potem byli nawet grzeczni - mówi pani Jadwiga. - Na koniec zostawili swój numer telefonu i powiedzieli, że «jak pani Hłasko będzie chciała odebrać skonfiskowane książki, niech zadzwoni>>”.

Nim zadzwoniła, nastał poniedziałek, 16 czerwca 1969 roku. Jadwiga Oraczewska, jak zwykle, gdy Maria przebywała w Stoczku, przyszła rano na Mickiewicza do pracy w stołówce. Sąsiadka powiedziała: „Przyszedł jakiś telegram po niemiecku”. Pani Jadwiga przeraziła się. Zadzwoniła do męża, żeby mu przeliterować treść telegramu, ponieważ sama nie знаła niemieckiego. Mąż przetłumaczył:

**„DROGA MATKO MARKOWI STAŁO SIĘ COŚ STRASZNEGO PROSZĘ  
ODTELEFONUJ CZY MOŻESZ NATYCHMIAST PRZYJECHAĆ DO WIESBADENU  
HOTEL SCHWARZERBOCK STOP KOSZTY PODRÓŻY ORAZ POBYTU OPŁACAM  
JA STOP Z WYRAZAMI MIŁOŚCI TWOJA SONIA”.**

Telegram został nadany 15 czerwca o trzynastej dwadzieścia pięć. Tego samego dnia przyjechał do Warszawy Andrzej Czyżewski. O śmierci Marka dowiedział się z radia. Kiedy pojechali z ciotką Jadzią do Stoczka, zastali Marię we łzach. Już wiedziała, od sąsiadki, która też usłyszała wiadomość przez radio.

Natychmiast wrócili do Warszawy i przystąpili do załatwiania formalności paszportowych. Najpierw poszli do tłumacza, potem błagać fotografa, żeby od ręki zrobił zdjęcie, a następnie do Pałacu Mostowskich. Wtedy to Maria Hłasko skorzystała z numeru telefonu, który zostawili jej przeprowadzający rewizję. W Pałacu Mostowskich czekał tłum ludzi, ale ją wywołano poza kolejnością. Stamtąd odesłano do Biura Paszportowego na Mokotowską.

Maria Hłasko niecierpliwie ponaglała urzędniczkę, a ta odrzekła zdenerwowana: „To jest Hłasko! Czy pani zdaje sobie sprawę? To musi potrwać”. Ale później, gdy wręczyła dokumenty i powiedziała „załatwione”, wyglądała na zadowoloną – wspomina Jadwiga Oraczewska.

Maria Hłasko nie miała dolarów na podróż. Wprawdzie posiadała je Jadwiga, gdyż otrzymała pieniądze za pośrednictwem banku od kuzyna ze Stanów, ale nie mogła przekazać je siostrze. Wtedy wolno było podarować dewizy rodzinie tylko w pierwszej linii pokrewieństwa, czyli w relacji rodzice – dzieci. Skorzystali więc z oferty Soni, która opłaciła podróż.

Wyjeżdżając 18 czerwca na pogrzeb do Wiesbaden, Maria Hłasko zabrała ze sobą torebkę ziemi ze Stoczka, dla Marka. Do ostatniej chwili nie wiedziała, czy będzie wolne miejsce w samolocie. W Sali odlotów zjawił się Stanisław Dygat. Rozejrzał się, uściśnął Marii rękę, wręczył drobne kwiatki i szybko odszedł.

„Takie to były czasy” – przypomina Oraczewska. Nazwisko Hłaski jeszcze wciąż było wyklęte.

Maria Hłasko zdążyła na pogrzeb, który odbył się 20 czerwca 1969 roku. Do trumny włożyła Matkę Boską z kości słoniowej, którą zabrał, wyjeżdżając z Polski, a z wierzchu

posypała polską ziemią. Wśród bardzo wielu wieńców znalazł się również jeden z napisem: „Kochanemu Markowi - literaci polscy”. Przywiózł go ksiądz katolicki z Wiednia.

Z chwilą śmierci Marka życie jego matki przybrało tylko jedną treść. Spełniło się marzenie jego życia - miał matkę wyłącznie dla siebie. „Jego śmierć nigdy nie pogodzi mnie z życiem. Wszystko stało się obojętne i obce, wszystko stało się inne: dom, sprzęty, przedmioty lubiane kiedyś. Wszystko w jakiś magiczny sposób wiązało się z Nim, z myślą o Jego powrocie, z myślą o tym, jak Jemu się podoba, co On na to powie, Mój Synuś Najdroższy. I pomyśleć, że granicą tej «inności» stał się Dzień Śmierci Mego Dziecka. Tak, nie istnieje słowo «zawsze», ale istnieje słowo «nigdy»”. I jakby chcąc nadrobić wszystko to, co stracone, robiła co mogła dla Marka, który był już tylko cieniem.

## OD AUTORKI

Czas był sprzymierzeńcem tej książki. Powstawała w ciągu ośmiu lat.

Z ich upływem otwierały się archiwa, a ludzie zaczęli mówić. Nie ma tu zmyśleń. Wszystkie fakty pochodzą ze wspomnień dziesiątek moich rozmówców, z listów - wielu nigdy dotąd nie drukowanych - dokumentów i publikacji. Dziękuję wszystkim, którzy pomogli mi w ich gromadzeniu.

Barbara Stanisławczyk

1 Zbigniew Kulikowski, związany z Wrocławiem prozaik, historyk literacki, w latach 1972-76 redaktor naczelny miesięcznika „Odra”, prezes wrocławskiego oddziału ZLP (1961-68), od 1980 sekretarz generalny ZG ZLP. Autor cytowanej książki „Wrocław literacki”.

2 Elżbieta Szaniawska, z domu Landsberg, żona Klemensa Szaniawskiego, dziennikarka, poetka, osoba „z towarzystwa” w Warszawie lat pięćdziesiątych, zaprzyjaźniona między innymi z Hanną Golde, Markiem Hłasko, Krzysztofem Kąkolewskim. Wiele wskazywało na to, że umarła śmiercią samobójczą. Krzysztof Kąkolewski opisał ją w reportażu „Znachor psychiatra”.

3 Marek Niziński, pisarz. Wyemigrował do Stanów Zjednoczonych. Po śmierci Hłaski „rozkladał swoje małe muzeum po Marku i powstrzymywał szloch: <<jeśli on, genialny, lub choć w części genialny, nie żyje, to po co ja żyję?(...) Po śmierci takiego człowieka wszyscy przyjaciele powinni odebrać sobie życie na znak solidarności>>”. Popęłił samobójstwo w styczniu 1973 roku. Cytat pochodzi z „Jak umierają nieśmiertelni” Krzysztofa Kąkolewskiego, Warszawa 1994.

4 Julliard – francuskie wydawnictwo, które wydało zbiór opowiadań Hłaski.

5 Andrzej Bobkowski – pisarz osiadły w Gwatemali.

6 Jan Rojewski – z wykształcenia architekt, znany w warszawskim środowisku intelektualnym bardziej jako osoba z towarzystwa niż autor. W 1958 wyjechał do Niemiec Zachodnich, gdzie ożenił się z Niemką i pracował jako architekt. Z Hłaską znali się już w Polsce, zaprzyjaźnili za granicą.

7 Władysław Tubielewicz – semitolog, profesor hebraistyki na Uniwersytecie Warszawskim.

8 Wojciech Frykowski – polski playboy lat sześćdziesiątych. Syn ówczesnego milionera.

9 Ostatni wywiad przed śmiercią udzielony dla „Hor Zu” w Wiesbaden w 1969 roku.

10 Leszek Szymański – literat, dziennikarz, wyemigrował do USA, tam zetknął się z Markiem Hłaską. W Polsce, w redakcyjnej dyskusji na łamach „Współczesności” (1958), tak

ocenił postępowanie Marka Hłaski za granicą: „Hłasko popełnił jednoznaczny akt polityczny, nasze ustosunkowanie się do tego rodzaju aktu politycznego powinno być też jednoznaczne”.

11 Andrzej Brycht – prozaik i reportażysta. W 1971 roku osiedlił się w Kanadzie.

12 Natalia Modzelewska – żona Zygmunta Modzelewskiego, w owym czasie ministra spraw zagranicznych. Czesław Miłosz, który był wtedy attache kulturalnym Ambasady PRL w Waszyngtonie, został pilnie wezwany służbowo do Warszawy, po czym odebrano mu paszport. Będąca w zaawansowanej ciąży żona Miłosza przebywała w USA i nie wyrażała ochoty na powrót. Miłosz znalazł się w pułapce, z której wyrwał go Zygmunt Modzelewski. Poręczył za Miłoszem i pomógł w uzyskaniu paszportu. Putrament pisał w „Pół wieku”: Oddanie paszportu po tym, gdy się go odebrało było równoznaczne z wypchnięciem Miłosza z kraju „na zawsze”. Natomiast Natalia Modzelewska napisała w „Kulturze”: „Kiedy <<ucieczka Miłosza>> stała się warszawska sensacją, wybiła dla Putramenta godzina tryumfu. Nie krył się już z rolą konstruktora <<pułapki>> na Czesława Miłosza – przeciwnie, przechwalał się przezornością i czujnością wobec wroga politycznego.

??

??

??

??